

Karen Hawkins

Wyznania łotra

Słyszała pani historię o talizmanie St. Johnów? Powiadają, że jest magiczny! Ten z braci, który go nosi, spotyka prawdziwą miłość. Obecnie pierścionek wisi na wstążce przy płaszczu najprzystojniejszego, Brandona St. Johna.

Anne, nowa pokojówka państwa Pemberly, do swojej przyszej pani, panny Lizy Pritchard, podczas adresowania zaproszeń na ślub.

1

Brandon St. John jest bardzo zmysłowym mężczyzną. Gdy na mnie patrzy, czuję rozkoszne dreszcze aż po... Och, przepraszam! Zapomniałam, z kim rozmawiam.

Panna Liza Pritchard do swojego narzeczonego, sir Royce'a Pemberly'ego, na Bond Street, w trakcie szukania prezentu dla siostry sir Royce'a.

- Nie żyje.

Tonący w oparach brandy umysł Brandona St. Johna rozpoznał głos młodszego brata.

Co on, do diabła, robi w moim śnie? Devon był wystarczającym utrapieniem na jawie.

- Niemożliwe - odezwał się ktoś inny. - Nie pozwoliłby sobie umrzeć w taki nudny sposób, we własnym łóżku.

Brandon jęknął. Drugi głos należał do jego brata przyrodniego, Anthony'ego Elliota, hrabiego Greyleya.

Na tym się jednak koszmar nie kończył, teraz bowiem przemówił najstarszy brat Marcus:

- Nie jest martwy. Chrapał, kiedy weszliśmy.

- Szkoda, że nie możemy podpalić łóżka - powiedział Devon wesołym tonem. - To by go obudziło.

Ktoś chwycił go za nogę i szarpnął.

- Odejdź - wymamrotał Brandon w poduszkę.

Uparta ręka potrząsnęła nim jeszcze raz.

- Wstawaj, Brand! Czeką na ciebie praca.

- Teraz śpię.

Ale pozbyć się Devona nie było tak łatwo.

- Wstawaj!

Brandon zaczął unosić głowę, ale łupanie w skroniach sprawiło, że się rozmyślił.

- Poole! - zawołał ochrypłym głosem. - Gdzie jest ten człowiek? Potrzebuję pistoletu.

- Pistoletu? - W głosie Anthony'ego brzmiało rozbawienie. - Wybierasz się na polowanie?

- Tak. Zapoluję na przeklęte gryzonie, które rozpleniły się w moich pokojach.

- Poole nie może teraz przynieść ci broni - oznajmił Devon, zawsze chętnie dzielący się złymi wieściami. - Powiedzieliśmy mu, że umieramy z głodu. Poszedł zobaczyć, czy znajdzie się dla nas jakieś śniadanie.

Do czarta, co za straszny początek dnia! Brandon nienawidził poranków. Akurat o tej porze różne irytująco wesołe typy uwielbiały dręczyć ludzi, którzy potrzebowali snu po nieprzespanej nocy.

- Może zamówimy dzbanek zimnej wody - podsunął Anthony. - To powinno postawić śpiocha na nogi.

Brand naciągnął poduszkę na głowę. Gardło miał jak dno beczki z solą, szorstkie i suche, a w ustach smak kredy. Poza tym bolała go głowa, żołądek się burzył.

Poprzednią noc pamiętał bardzo mgliście. Piękną kobietę o złotorudych włosach i grę w karty, w trakcie której stawki zmieniały się od gwinej przez części ubrania po inne, dużo bardziej atrakcyjne trofea. Celeste była dla niego ideałem pod każdym względem: piękna, inteligentna, utalentowana w łóżku i poślubiona innemu. Mężczyzna nie mógł oczekiwać więcej. Z wyjątkiem Brandona St. Johna.

Od stóp łoża dobiegł cierpki głos Marcusa:

- Zdaje się, że nasz brat ma za sobą jeszcze jedną ciężką noc.

Brand chciał wzruszyć ramionami, ale w ostatniej chwili zrezygnował z nazbyt gwałtownego gestu. Marcus się mylił. Noc wcale nie była ciężka. I w tym rzecz. Po dwóch tygodniach choćby najlepszego romansu Brandon musiał szukać nowego wyzwania.

Niestety od dłuższego czasu każda rozrywka wydawała mu się nudna. Używał życia aż do przesytu, a jednocześnie miał wrażenie, że coś ważnego traci.

Sentymentalne bzduury! Najwyraźniej od brandy robił się ckliwy. Od tej pory będzie wierny porto. Uniósł bolącą głowę i zmusił się do uchylenia powiek. Jego oczy przeszły oślepiające światło. Jęknął, a następnie po omacku zaczął szukać do połowy opróżnionego kieliszka, który stał przy łóżku. Przełknął piekący trunek i z hukiem odstawił puste naczynie na stolik.

- Klin? - zaśmiał się Anthony.

Brandon wytarł usta grzbietem dłoni i zerknął przez ramię.

- Mówcie, czego chcecie, i wynoście się do diabła.

- Jaki nieuprzejmy - skomentował Devon. - Spodziewałem się przynajmniej powitania.

- Od Brandona? - W głosie Anthony'ego brzmiało zdumienie. - Jeśli nie nosisz spódnicy, nie masz wydatnego biustu i męża, nie poświęci ci chwili uwagi.

Brandon zastanawiał się przez moment, czy spiorunować go wzrokiem, czy zignorować. Po prawdzie, ze wszystkich braci ten był mu najbliższy. Mimo flegmatycznego sposobu bycia miał więcej energii i determinacji niż osobnicy hałaśliwi i dwa razy od niego silniejsi. A jego ostry dowcip niezmiennie wprawiał Brandona w dobry humor.

Oczywiście nie teraz. O tej porze dnia nikomu nie jest do śmiechu.

- Myślałem, że to twój miesiąc miodowy - burknął, łypiąc na brata.

- Anna i ja wróciliśmy zeszłej nocy, w samą porę na spotkanie.

Do diabła, spotkanie! Brandon pomasaował skronie.

- Zapomniałem.

- Zauważyliśmy - rzucił Marcus sarkastycznym tonem.

W jego niebieskich oczach malowała się surowa naga. Najstarszy St. John żelazną ręką zarządzał rodzinnym majątkiem oraz życiem swoim i młodszych członków rodu.

Jako drugi pod względem starszeństwa, Brand powinien bardziej się angażować w finansowe przedsięwzięcia dynastii, ale nawet w młodym wieku Marcus dążył do kontrolowania wszystkich i wszystkiego, co nieraz przyprawiało rodzeństwo o irytację.

Dlatego w wieku dwudziestu dwóch lat, kiedy większość jego przyjaciół piła i oddawała się rozpuście, Brandon zgromadził tyle pieniędzy, ile zdołał, i kupił dwie zaniedbane posiadłości niedaleko Shropshire. Po kilku latach połączył je w jedną, kwitnącą i bardzo dochodową. Od dawna nie brał pieniędzy z kont bankowych St. Johnów, co bardzo denerwowało Marcusa.

Nie żeby Brandon się tym przejmował. Nie usamodzielił się dla niego, tylko po to, żeby sobie coś udowodnić. Bardzo się cieszył, kiedy majątek po raz pierwszy przyniósł dochód. Szybko jednak stwierdził, że jest już trochę... znudzony. Uczucie to nasilało się przez następne miesiące i lata. Teraz westchnął i spojrzął na Marcusa.

- Jak trzeba, to trzeba. - Przetoczył się na plecy i wetknął poduszkę pod głowę. - Skoro jesteśmy tu wszyscy, zaczynajmy.

- Nie możemy odbyć narady w twojej sypialni - zapro-

testował Devon, krzywiąc się z niesmakiem. - Cuchnie tu francuskim burdelem.

Anthony przekrzywił głowę i zmrużył oczy.

- Poznaję te perfumy...

- Wyoście się! - huknął Brandon, po czym dźwignął się na łokciu i wskazał drzwi. -. Dajcie mi się ubrać. Potem do was dołączę.

- Oby - powiedział Marcus. - Bo przestaniemy być mili.

- Mili? Czy to grzecznie wlamywać się do czyjegoś domu i brutalnie budzić gospodarza?

- Nie wlamaliśmy się, tylko zapukaliśmy. Poole nam otworzył i poinformował, że śpisz. My z kolei oświadczyliśmy, że nas to nic nie obchodzi. I weszliśmy.

Brandon postanowił w duchu, że od tej pory jego lokaj i kamerdyner będzie nosił broń za każdym razem, gdy otworzy komuś drzwi przed południem.

- Masz pięć minut na ubranie się - oznajmił Marcus.

- Pięć minut?

- To więcej, niż ja bym ci dał - wtrącił Anthony i obejrzał się na drzwi. - Przykro mi, że cię rozczaruję, Bridgeton. Wiem, że chciałeś zobaczyć, jak podpalam jego łóżko.

Brandon poszedł za wzrokiem Anthony'ego i zobaczył, że w progu w niedbałej postawie stoi jego szwagier. Nicholas Montrose, hrabia Bridgeton uśmiechnął się, podchwyciwszy spojrzenie jego przekrwionych oczu.

- Uroczy poranek, prawda?

- Idź do diabła - odburknął Brandon.

Bracia specjalnie przyprowadzili Bridgetona, choć go nie znosili. A właściwie nienawidzili go, zanim ożenił się z ich siostrą Sarą. Musiał ją poślubić, bo najpierw skompromitował, ale ku zaskoczeniu całej rodziny okazali się dobrym małżeństwem.

Skończony drań udowodnił, że jest oddanym mężem

i ojcem. Trudno było zachować zdrową nienawiść do człowieka, który traktował ich siostrę jak księżniczkę. Mimo to Brandon się starał.

Usiadł ostrożnie i odrzucił kołdrę.

Devon potrząsnął głową.

- Na miłość boską, włóż coś na siebie.

Brand wstał bez pośpiechu. Dla większego efektu przeciągnął się leniwie, choć musiał chwycić się poręczy łóżka, żeby zachować równowagę. Cały świat wirował mu przed oczami.

- Chodźcie - rzucił Marcus władcym tonem. - Zaczekamy na niego w gabinecie.

I pomaszzerował do drzwi. Bracia ruszyli za nim. W progu Devon się zatrzymał i przekrzywił głowę. W jego niebieskich oczach pojawił się złośliwy błysk.

- Warta była zachodu?

- Kto?

- Rozkoszna Celeste. Wyraźnie dawała do zrozumienia, że wy dwoje możecie stać się kimś więcej niż przyjaciółmi.

- Myli się. Nie łączy nas nic więcej oprócz krótkiego romansu.

Devon wzruszył ramionami, ale na jego twarzy malowała się ciekawość.

- A właściwie dlaczego? Wszyscy wiedzą, że jej mąż stoi jedną nogą w grobie... zresztą od dawna. Jest co najmniej dwadzieścia lat starszy od Celeste, a kiedy umrze, ona odziedziczy fortunę. Gdybyś się postarał...

-... ubrać, zanim Marcus straci cierpliwość. Idź już, Devon. Chyba nie chcesz, żebym podczas rodzinnej narady siedział na golasa.

Brat zamierzał jeszcze coś powiedzieć, ale najwyraźniej się rozmyślił.

- Dobrze. Po prostu starałem się pomóc.

Wyszedł z sypialni i zamknął za sobą drzwi.

Brandon odgarnął włosy z twarzy. Głupi smarkacz. Małżeństwo zupełnie go nie interesowało, podobnie jak każdego mężczyznę zdrowego na umyśle.

St. Johnowie zawsze byli celem wszystkich matek w mieście. Przez lata kolejne zastawiały się na niego albo braci. Najpierw ich podchody go bawiły, po jakimś czasie stały się męczące, a w końcu śmiertelnie nudne. Gardził chciwymi kobietami, którym zależało wyłącznie na jego pieniądzach. Postanowił, że jeśli się ożeni, to jedynie z osobą o wysokiej pozycji i majątną. Doszedł bowiem do wniosku, że związek będzie udany tylko wtedy, gdy oboje będą sobie równi pod każdym względem.

Do pokoju wszedł Poole, niosąc tacę z listem i wysoką szklanką z jakąś żółtą miksturą.

Brand łypnął na nią ponurym wzrokiem.

- Nie cierpię tego paskudztwa.

- Tak, sir. - Lokaj podał mu naczynie.

- Nie chcę.

- Oczywiście, sir. - Poole nie cofał ręki.

- Jesteś niepoprawny.

- Istotnie, sir. To mój obowiązek.

Brand z westchnieniem wziął od niego szklankę, wypił gęsty płyn i otrząsnął się z obrzydzeniem.

- Boże, co to było? - wykrztusił.

Kamerdyner odebrał od niego puste naczynie.

- Dwa surowe jajka, gotowana ner...

- Wystarczy! Nie chcę wiedzieć.

Zamknął oczy i próbował oddychać przez nos, żeby zwalczyć mdłości. Poole odstawił tacę na stół i wziął z niej list.

- Przyszedł dziś rano, sir.

Gdy służący ruszył do garderoby, Brandon otworzył kopertę.

Sr. John

Muszę się z tobą zobaczyć. Przyjeżdżam jutro wieczorem. Przyślij mi wiadomość, kiedy będziesz wolny. To bardzo ważne.

Twój Wycham

Roger Carrington, wicehrabia Wycham, był jego starym kolegą. Poznali się w Eton i choć nigdy nie łączyła ich serdeczna przyjaźń, utrzymywali ze sobą kontakt.

- Ciekawe, czego chce?

- Sir?

- Nic. - Brandon odłożył list na tacę. - Mam nadzieję, że moi bracia nie sprawili ci kłopotu, kiedy zjawili się rano.

- O, nie, sir. Już nie spałem. Przykro mi jednak, że pa-na obudzili. Próbowałem ich powstrzymać, ale mi się nie udało.

- Nie można powstrzymać St. Johnów - stwierdził Brand, po czym zaczerpnął tchu i dodał silniejszym głosem: - Beżowe spodnie i granatowy surdut.

Umył się i ubrał w ciągu niecałych dziesięciu minut, co było prawdziwym osiągnięciem, zważywszy na skomplikowane wiązanie fularu. Magiczny napój Poole'a jak zwykle zdziałał cuda. Brandon czuł się lepiej z każdą chwilą.

Z zadowoleniem wygładził rękaw nowego surduta. Teraz był gotów stawić czoło braciom.

- Poole, moja nowa dewizka, proszę. Nie, zaczekaj.

Lokaj zatrzymał się przy komodzie.

-Sir?

- Dzisiejsze spotkanie wymaga czegoś specjalnego. - Brandon się uśmiechnął. - Czegoś, co zdoła wyprowadzić z równowagi moich braci, tak jak oni zirytowali mnie.

Poole uniósł brwi.

- Pierścienia St. Johnów.

- Pierścień, sir? Kazał mi pan go schować i pod żadnym pozorem nie mówić gdzie.

- Przynies go. Znajdź też szpilkę i wstążkę.

Lokaj uklonił się, po czym sięgnął po małą szkatułkę stojącą na komodzie. Przez chwilę grzebał wśród łańcuszków do zegarka, aż w końcu wyłowił z nich srebrną obrączkę. Gdy wręczył ją swojemu panu, poranne słońce odbiło się od wygrawerowanych na niej runów.

Brandon stwierdził, że metal jest dziwnie ciepły. Matka wierzyła, że ten, kto ma pierścień, znajdzie prawdziwą miłość. Udało się Anthony'emu, który poślubił swoją Annę niecałe sześć miesięcy po tym, jak dostał obrączkę. Lecz jeśli chodzi o niego... Był w posiadaniu talizmanu od prawie dwóch miesięcy i jeszcze nie zdarzył się żaden cud.

Nie żeby tego pragnął. Nieważne, co sądzili bracia, on uważał się za szczęśliwego człowieka. Tak naprawdę chciał podstępem zmusić kogoś z nich - może Devona - żeby uwolnił go od tej śmiesznej rzeczy.

Poole wręczył mu krótką czerwoną wstążkę. Brand przywiązał do niej pierścień, a następnie przypiął go do surduta tuż nad sercem. Czerwień kontrastowała z granatową tkaniną, obrączka lśniła.

- No - powiedział z satysfakcją. - To powinno ich zdernować.

- Istotnie - przyznał Poole. - Tak samo działa na mnie. Brandon uśmiechnął się szeroko i ruszył do gabinetu.

- A, jesteś - powitał go Anthony; stał oparty o półkę nad kominkiem. - Właśnie... - Nagle jego oczy się rozszerzyły. - Talizman.

Devon gwałtownie uniósł głowę. Siedział na krawędzi biurka i od niechcienia bawił się mosiężnym przyciskiem do papieru.

- Boże, nie! Tylko nie myśl, że wciśniesz mi to cholerstwo. Wykluczone!

- Jest w moim posiadaniu. Mogę go nosić, kiedy chcę.

- Próbujesz mnie zdenerwować - rzucił Devon oskarżycielskim tonem.

- Doprawdy?

Brandon minął szwagra i Marcusa, którzy rozsiedli się w fotelach stojących przed kominkiem. Sam wybrał sofę.

- Jesteś diabłem - wymamrotał Devon. - Już miewam koszmary, że znajduję ten diabelski przedmiot pod poduszką.

- Nie podsuwaj mu pomysłów - ostrzegł Anthony, mrugając okiem.

Brand zmierzył go spojrzeniem.

- W przeciwieństwie do ciebie, najdroższy bracie, nie zamierzam nadziewać cudzych ciastek niespodziankami. Cud, że nie złamałem sobie zęba.

Anthony parsknął śmiechem.

- Chciałem podzielić się bogactwem.

W rzeczywistości obrączka, choć wyglądała na starą, nie była dużo warta. Lecz dla St. Johnów stanowiła pamiątkę równie bezcenną, jak irytującą. Żaden nie chciał jej zatrzymać z obawy przed rzekomą magiczną mocą. Nie żeby wierzyli w takie bzdury... Tyle że na samą myśl o ewentualnych konsekwencjach cierpła im skóra. Ale ponieważ kiedyś pierścionek należał do matki, nie można było tak po prostu go schować i raz na zawsze o nim zapomnieć.

Brandon zerknął na błyszczący drobiazg, który budził w nim taki lęk, i próbował przypomnieć sobie dzień, kiedy matka po raz pierwszy nie wsunęła go na palec. Jej synowie po kolei wymigiwali się od przyjęcia daru, zwłaszcza Chase, który zawsze...

Rozejrzał się po pokoju.

- Gdzie Chase? Sądziłem, że wszyscy mieliśmy się zebrać.

- Właśnie on jest powodem naszego spotkania - rzekł Marcus z posępną miną.

Devon uniósł przycisk, jakby chciał ocenić jego wagę.

- Nasz ukochany brat wyjechał z miasta dwa dni temu.

- Z własnej woli i w dobrym zdrowiu - dodał Marcus. - Niepokojące jest to, że ostatnio często przebywał w towarzystwie wicehrabiny Westforth.

Westforth. Brandon przez chwilę szukał w pamięci.

- Słyszałem o niej. Wesoła osóbką, prawda? Należy do półświatka.

Marcus skinął głową.

- To ona.

- A gdzie wicehrabia?

Devon wytarł przycisk rękawem.

- Zginął cztery lata temu, pędząc kariolką przez Bristol.

- Postrzelony młokos?

- Pijany. Na Bristol Road rzucił wyzwanie młodemu Oglethorpe'owi. Obaj mieli mocno w czubie. Westforth okazał się trochę bardziej szalony.

Devon podrzucił przycisk i wyciągnął rękę...

Brandon pochylił się i złapał go w locie, po czym odłożył na stolik, poza zasięg brata.

- Dopowiem resztę historii. Od śmierci męża wdowa przejada jego majątek.

Devon wzruszył ramionami.

- Coś w tym rodzaju. Ojciec Westforth, hrabia Rutland, obwinia synową o śmierć syna. Uważa, że to ona zachęcała męża do szaleństw i była zadowolona, kiedy zginął. Rutland zadbał o to, żeby nie dostała wiele po śmierci męża, ale jakoś wystarcza jej na utrzymanie. Albo raczej wystarczało. Zastanawiam się, czy nagle nie zabrakło jej pieniędzy.

- Jednym słowem lady Westforth może polować na bogatego mężczyznę - skwitował Marcus.

Brandonowi nie podobała się myśl, że jego mały braciśzek znalazł się w szponach takiej kobiety. Chase wydał się bezbronny i podatny na zranienie.

Kiedyś był najbardziej niefrasobliwym z St. Johnów, wciąż robił pozostałym psikusy. Zmienił się raptem przed rokiem, choć nikt nie wiedział, co się dokładnie wydarzyło.

Powoli stał się zgorzkniały, sprawiał wrażenie, jakby nienawidził samego siebie, często pił, nawet przed południem.

Brandon z bólem obserwował, jak zawsze szczęśliwy i beztroski Chase marnieje na ich oczach. Dlatego właśnie bracia zaczęli się wtrącać w jego życie. Nie był już sobą.

- Jak poważnie jest zaangażowany?

Marcus spochmurniał.

- Jeśli czegoś wkrótce nie zrobimy, poślubi tę kobietę.

- Do diaska! Dlaczego ten głupiec chce się żenić?

Anthony uniósł brew.

- Niektórzy z nas nie uważają stanu małżeńskiego za godny ubolewania.

Brandon stłumił westchnienie. Niech Bóg wybawi go od fałszywej błogości młodych żonkosiów. Ciekawe, czy on kiedykolwiek doświadczy prawdziwej? Zaraz jednak skarcił się w duchu. Najpierw musiałby znaleźć kobietę, której udałoby się zainteresować go na dłużej niż dwa tygodnie.

- Gdzie jest teraz Chase?

- Wyjechał poczynić ostatnie przygotowania - odparł Marcus. - Trzeba działać, póki nie ma go w mieście.

Zważywszy na zmienne usposobienie Chase'a, oczywiście był to najlepszy sposób postępowania.

- Natychmiast musimy coś zrobić.

- Dobrze, że się z nami zgadzasz - rzekł Marcus z lek-

ką irytacją w głosie. - Właśnie dlatego zwołałem dzisiaj spotkanie.

Brandon bez mrugnięcia popatrzył bratu w oczy.

- Zaspąłem - powiedział cicho. - Nie będę znowu przepraszał.

Marcus zacisnął usta, mierząc się z nim wzrokiem.

Anthony westchnął ciężko.

- Dość tego, wy dwaj. Brandonie, powinieneś pamiętać, że dziś rano jest rodzinna narada.

- Powzięliśmy pewne decyzje. - Devon błysnął w uśmiechu białymi zębami.

Brandonowi nie spodobał się jego ton.

- Jakie decyzje?

- Ktoś musi złożyć wizytę tej kobiecie - oświadczył Marcus. - Poznać jej plany i w razie konieczności zapłacić.

Psiakrew! To niemożliwe, żeby...

- Nie odwiedzę kochanki Chase'a. Spłaciłem jego ostatnią aktorkę, a on omal nie urwał mi za to głowy. Nie popełnię drugi raz tego samego błędu.

Marcus skrzyżował ramiona na piersi. Zacięty wyraz jego twarzy złagodził uśmiech satysfakcji.

- Przegapiłeś naradę.

Brandon odchylił bolącą głowę na oparcie sofy.

- Bardzo chciałbym wam pomóc, ale jestem dzisiaj zajęty. Zbyt zajęty, żeby prowokować Chase'a do wyzwania mnie na pojedynek.

- Jeśli sam nie możesz pójść, poproś kogoś innego - podsunął Marcus. - Najważniejsze, żeby sprawa została szybko załatwiona.

To była jakaś myśl. Brandon spojrzął na Devona.

- Nie mogę - zastrzegł się pospiesznie najmłodszy brat. - Wyjeżdżam z miasta.

- Kiedy?

- Zaraz.

- A ja umówiłem się z Anną u modystki - uprzedził z góry Anthony.

- Twoja żona z pewnością obejdzie się bez ciebie przez godzinę - rzekł Brand cierpkim tonem.

- Najwyraźniej nie znasz swojej bratowej.

Brandon rozmawiał z Anną wiele razy i musiał przyznać bratu rację. Jego żona była taka sama jak ich siostra Sara. Obie miały stalowy kręgosłup. Prawdopodobnie dlatego zostały dobrymi przyjaciółkami.

Wspomniawszy Sarę, z nadzieją zerknął na szwagra. Bridgeton nader gorliwie próbował wkupić się w łaski St. Johnów.

Drań potrząsnął głową, jakby czytał w jego myślach.

- Wypadłoby niezręcznie, gdyby ktoś inny niż członek najbliższej rodziny załatwiał tak delikatną sprawę.

Brandon spiorunował go wzrokiem.

- To po co w ogóle przychodziłeś?

Nick uśmiechnął się łagodnie.

- Oczywiście, żeby obejrzeć spektakl.

Brandon doszedł do wniosku, że naprawdę nie lubi szwagra.

- Do diabła z tobą.

Marcus wstał z fotela.

- I w tym nastroju się rozstajemy. Lady Westforth nie jest potulną kobietą jak niektóre znajome Chase'a. Doradzam ci ostrożne podejście.

- Jest również piękna - dodał niespodziewanie Devon. - Ma fiołkowe oczy, czyste jak... - Zarumienił się, gdy spostrzegł, że wszyscy na niego patrzą. - Przynajmniej tak słyszałem.

Brandon westchnął.

- Aktorka, śpiewaczka operowa czy sprzedawczyni po-

marańczy... Co za różnica? Zaproponuję dziewczynie pieniądze, żeby wyjechała z miasta, a ona je przyjmie. Wszystkie przyjmują.

- Zatem ustalone - powiedział Anthony i spojrzął na głowę rodu. - Skończyliśmy?

- Tak, natomiast Brandon dopiero zaczął. - Niebieskie oczy Marcusa rozblęły. - Chodźmy. Nasz brat ma przed sobą pracowity dzień.

- Myślałem, że zostajecie na śniadanie.

- Zostalibyśmy, ale nie chcemy odrywać cię od obowiązków - odparł Marcus chłodno. - Zjemy u White'a.

Wyszli w takich dobrych humorach, że Brandon z trudem się pohamował, by nie wszczać burdy na schodach własnego domu.

Jeszcze długo po tym, jak ucichły ich wesołe głosy, siedział na sofie z głową opartą na poduszkach i żałował, że nie może zasnąć.

Co za poranek! Czuł się podle, był zmęczony, w dodatku bolał go kark, jakby spał w złej pozycji. Nagle przypomniał sobie o liście Wychama i westchnął ciężko. No, tak. Nie dość, że musiał ratować brata, który po powrocie do miasta będzie na niego wściekły, to jeszcze przyjaciel zamierzał obarczyć go swoimi kłopotami.

Fatalny sposób na rozpoczęcie dnia.

2

Jest przykrym faktem, że bardzo niewiele kobiet zaszczycających swoją obecnością sale balowe Londynu ma choć jedną dziesiątą urody i dowcipu tych, które spotyka się w najbardziej pospolitych jaskiniach gry. Dlatego tym bardziej cenię moją Lizę.

Sir Royce Pemberly, próbując rozweselić swojego przyjaciela, pana Scrope'a Daviesa, który markotnym spojrzeniem wodził po pannach na wydaniu stojących pod ścianą u Almacka.

- Zagraj przynajmniej jedną partię, żeby zachować zręczność palców.

Lady Verena Westforth popatrzyła na karty, które wprawą tasował jej brat. W palcach poczuła znajome mrowienie. Zacisnęła ręce i przywołała na usta słaby uśmiech.

- Przyjechałeś taki szmat drogi z Włoch, żeby namawiać mnie do złego?

James uśmiechnął się szeroko. Jego złote włosy lśniły w porannym świetle.

- Ty masz talent, a nie złe skłonności. Ojciec mówi...

- Oszczędź mi mądrości ojca. On uważa każdą wadę za dar, póki jest dobrze wykorzystana.

Uśmiech brata stał się jeszcze szerszy.

- Drugiego takiego trudno znaleźć, prawda?

- Dzięki Bogu. Świat dawno by się skończył, gdyby chodził po nim człowiek choć trochę do niego podobny.

- Mówisz zupełnie jak matka. - James popatrzył na nią z czułością. - Dobrze cię znowu widzieć, Ver. Tyle czasu minęło.

Siostra odwzajemniła uśmiech. Między nimi istniała silna więź. Nie osłabił jej nawet dystans, który od lat dzielił Verenę i jej rodzinę. Może dlatego, że byli bliźniakami, choć nikt by w to nie uwierzył. Wprawdzie oboje mieli jasne włosy, ale ona o złocistym odcieniu, natomiast James ciemniejsze, z pasmami brązu.

Różnili się ponadto kolorem oczu. Vereny były fiołkowe, jej brata piwne, ale też w kształcie migdałów. Łukowate brwi oboje chyba odziedziczyli po jakimś słowiańskim przodku. Ojciec zawsze twierdził, że wywodzą się z rosyjskiej arystokracji. Z drugiej strony on mówił wiele niestworzonych rzeczy.

Verena odpowiedziała uśmiechem na pytający wzrok Jamesa.

- Ja też się cieszę, że przyjechałeś, mimo że w środku nocy.

- Nie było aż tak późno.

- Prawie o świcie. A ponieważ minęły miesiące od twojej ostatniej wiadomości, zastanawiałam się już, czy nie jesteś w kłopotach.

Rysy brata stężyły, ale po krótkiej chwili w kącikach jego oczu pojawiły się zmarszczki wesołości.

- Zawsze jestem w kłopotach. Ale nie martw się. Lansdowne'owie urodzili się pod szczęśliwą gwiazdą. Nasze ścieżki są z góry wytyczone.

Verena musiała się uśmiechnąć, choć oczywiście nie uwierzyła w jego buńczuczne zapewnienia. Aż za dobrze

znała wady Jamesa, większość stanowiła odbicie jej własnych: niecierpliwość, głód ekscytujących przeżyć, głęboko zakorzeniona niechęć do słuchania poleceń.

- Chciałabym, żebyś przynajmniej zatrzymał się w moim pokoju gościnnym.

- Nikt nie wie, że jestem twoim bratem, i lepiej, żeby tak pozostało. To dla twojego dobra.

- Gdybym musiała dbać o swoją reputację, może bym się z tobą zgodziła. Ale dzięki ojcu Andrew nie mam czego chronić.

James spochmurniał na wzmiankę o hrabim Rutlandzie.

- Nadal usilnie dąży do zniszczenia twojego spokoju?

- Przy każdej okazji - odparła Verena lekkim tonem, choć kosztowało ją to dużo wysiłku.

Zawsze wiedziała, że teść jej nie lubi, ale do czasu śmierci Andrew nie zdawała sobie sprawy z siły jego niechęci. Mąż dbał o to, żeby nie docierały do niej gorzkie uwagi czy złośliwe plotki.

Gdy zginął, nie miał kto temperować jego ojca. Hrabia Rutland robił wszystko, żeby synowa stała się pariasem, przyjmowanym tylko w najniższych kręgach londyńskiej society.

Zamierzał usunąć ją z Westforth House, a najlepiej przepędzić z miasta, lecz Verena zamiast uciec, znalazła sobie miejsce w półświatku i uczyniła z rodowej siedziby dom, jakiego nigdy nie miała.

- Cholerny Rutland! - warknął James. - Przebiłbym mu gardło szpadą, gdybym uważał, że to coś pomoże. - Z nieobecną miną rozdawał karty na cztery osoby. - Ver, jesteś szczęśliwa?

- Oczywiście, że tak. Dlaczego pytasz?

- Nie wiem. Po prostu wydaje mi się, że... jesteś zbyt samotna. - Brat westchnął i odłożył talię na stół. - Nadal tęsknisz za Andrew?

- Codziennie. - Wypowiedziała to słowo normalnym tonem i z zadowoleniem stwierdziła, że czuje tylko lekkie ukłucie smutku. Życie z Andrew było krótkie i barwne. Mąż przemknął przez nie jak spadająca gwiazda i zgasł. Zostawił jej niewiele poza sercem pełnym wspomnień oraz prawem do Westforth House. Lecz ona ceniła sobie jedno i drugie. - Chyba najbardziej brakuje mi jego śmiechu.

- Muszę oddać twojemu zmarłemu mężowi, że cieszył się każdą minutą - przyznał James z nutą zazdrości w głosie. - Mam nadzieję, że to samo będzie można powiedzieć o mnie, kiedy odejdę.

W jego tonie pobrzmiwał dziwny smutek. Verena obrzuciła brata podejrzliwym wzrokiem.

- Mów, o co chodzi.

- Ver, ja nie...

- Mów albo napiszę do ojca, że wydajesz się nieswój i przydałaby ci się jego wizyta.

Oczy Jamesa zapłonęły.

- Nie zrobisz mi tego!

- Przekonaj się.

James potarł brodę gestem znanym jej z dzieciństwa, a świadczącym o zadumie.

- Może po prostu przyjechałem zobaczyć, co u ciebie.

- A ojciec naprawdę jest rosyjskim arcyksięciem, jak lubi się przedstawiać.

- Nic przed tobą nie ukrywam - zapewnił brat i sięgnął do kieszeni kamizelki. - Wystarczy nam czasu na małą partyjkę, zanim powóz... - Zmarszczył czoło. - Do diaska!

- O co chodzi?

- Mój zegarek. Zniknął. Miałem go, kiedy wysiadałem z powozu, bo pamiętam, że sprawdzałem godzinę...

- Do licha - mruknęła pod nosem Verena.

Wstała z fotela i pociągnęła za sznurek dzwonka mocniej, niż to było konieczne.

- Ver, co...
- Zaczekaj.

Nie usiadła, tylko skrzyżowała ramiona na piersi i utkwiła spojrzenie w drzwiach.

Po chwili do pokoju zająrzył wysoki, przeraźliwie chudy osobnik.

- Wzywała mnie pani?
- Tak. Wejdz, Herberts.

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko, błyskając złotym zębem.

- Co mogę dla pani zrobić, milady?
- Pan Lansdowne zgubił zegarek.
- Jaka szkoda!

James zmarszczył brwi.

- Vereno, nie rozumiem, dlaczego opowiadasz o tym swojemu kamerdynerowi. On nie może wiedzieć...

- Doprawdy? - Lady Westforth przeszła sługę wzrokiem. - No więc?

Herberts zeszytniał.

- Może i wiem, gdzie jest zegarek tego dżentelmena. A może nie. - Wsadził ręce w kieszenie i zakołysał się na piętach. - Pewnie zostawił go w powozie.

- Dobrze wiesz, że nie.

- Milady, mam nadzieję, że nie sugeruje pani niczego przykrego na temat mojego charakteru - rzekł kamerdyner urażonym tonem.

Z gardła Jamesa wyrwał się zduszony śmiech. Verena zignorowała brata.

- Oddaj go, Herberts - rozkazała, podnosząc głos. - Natychmiast.

Sługa potrząsnął głową. Jego długa, chuda twarz wyrażała dezaprobatę.

- To nieładnie, żeby dama zachowywała się jak pies, który broni swojej kości.

Lady Westforth tylko uniosła brew. Kamerdyner westchnął ciężko.

- No, dobrze, zwinąłem go, ale chłopak sobie na to zasłużył. Nie dał mi nawet pół pensa za otworenie drzwi.

- Co? - wykrztusił James. Już się nie śmiał. - Oczekujesz napiwku za zwykłe otworenie drzwi, człowieku?

Herberts obrzucił wyniosłym spojrzeniem jego doskonale skrojony wieczorowy strój.

- Dają go prawdziwi dżentelmeni.

James już miał odpowiedzieć, ale uprzedziła go siostra.

- Nawet jeśli pan Lansdowne jest ci winien napiwek, co kwestionuję, nie wolno ci go okradać. - Podeszła do małego stolika i odsunęła go od ściany. - Opróżnij kieszenie.

Kamerdyner zbliżył się do niej z posępną miną. Ze smutkiem potrząsnął głową i wyłożył na blat całą garść lśniących przedmiotów.

- Dobry Boże! - James aż wstał z krzesła, żeby obejrzeć łup: cztery pierścionki, dwie dewizki, ozdobną tabakierkę, zegarek i co najmniej siedem złotych spinek do krawata. Z podziwem spojrzął na Herbertsa. - Niezły jesteś. Czy kiedykolwiek myślałeś o... Auu! - Rozmasował żebra po kukuśniku, który wymierzyła mu siostra. - Za co to było?

- Za to, co chciałeś powiedzieć - odparła Verena i zwróciła się do sługi: - Znasz zasady: żadnego okradania gości. Za karę wyczyścisz wszystkie srebra w stołowym. Dwa razy.

Kamerdyner zamrugał.

- Dwa razy? Nie sądzi pani, że raz wystarczy?

- Dwa razy - powtórzyła lady Westforth surowo. - Albo możesz złożyć wymówienie, a ja na twoje miejsce zatrudnię innego kamerdynera.

Herberts rozprostował ramiona, a jego twarz przybrała wyraz szlachetnego cierpienia.

- Dobrze. Wypoleruję całe srebro. Dwa razy.

- Dziękuję. To wszystko.

- Tak, milady. - Sługa ruszył do drzwi. W progu raptownie się odwrócił. - Psiajucha! Omal nie zapomniałem. - Wykonał prawie doskonały ukłon i uśmiechnął się zadowolony z siebie. - Dobrze mi poszło, co, proszę pani? - Następnie opuścił pokój.

James poczekał, aż zamkną się za nim drzwi, i wybuchnął śmiechem.

- Dobry Boże, gdzie znalazłaś tego typa?

- W stowarzyszeniu, które daje referencje zwalnianym służącym. Prowadzi je wicehrabina Hunterston. Mają tam rozsądne ceny.

Verena stłumiła westchnienie. Niezależność, choć z początku mile widziana, okazała się kosztowna i czasami trochę męcząca. Właściwie nie czasami, tylko zawsze.

Mimo dezaprobaty dla poczynań ojca była mu wdzięczna za to, że w ogóle potrafiła sobie radzić. Rutland zszargał jej reputację zarówno w towarzystwie, jak i w bankach, kiedy po śmierci Andrew odziedziczyła Westforth House. Stary hrabia wynajął całą armię prawników, żeby uprzykrzyć jej życie i odebrać dom.

Wtedy nie pozostało jej nic innego, jak tylko skorzystać z umiejętności, które zdobyła dzięki ojcu. Wkroczyła do półświatka i tam, przy zielonych stolikach najbardziej ekskluzywnych londyńskich domów gry, zarabiała na utrzymanie, zachowując dużą ostrożność.

Nie była chciwa. Wygrywała tylko tyle, ile potrzebowała. Nie chciała zwracać na siebie uwagi i nie musiała niczego udowadniać. Już nie. Mimo to czasami ją korciło, żeby poddać swój talent sprawdzianowi.

James schował zegarek do kieszonki i z miną znawcy obejrzał tabakierkę.

- Już myślałem, że zmieniłaś się w świętą, tymczasem ty znalazłaś sobie zabawę.

Verena wyjęła mu z ręki skradziony przedmiot i odłożyła go na stolik.

- Zatrudniłam Herbertsa jako kamerdynera, i nic ponadto. Prawda jest taka, że tylko na niego mogłam sobie pozwolić. Poza tym wicehrabina Hunterston bardzo mnie prosiła, żebym go przyjęła, bo nie sprawdził się na ostatniej posadzie.

- Nie rozumiem dlaczego - rzucił James z przekąsem i wziął ze stosu wyjątkowo dużą rubinową szpilkę do krawata. - A to czyje, tak przy okazji?

- Nie mam pojęcia. Herberts zjawił się miesiąc temu, ale jestem pewna, że oduczę go złych nawyków.

- Nie da się zreformować kieszonkowca.

- Każdy człowiek może się zmienić. - Verena zgarnęła cały łup Herbertsa i zaniosiła go do swojego sekretarzyka. Otworzyła górną szufladę i schowała w niej wszystkie precjoza. - Ale teraz mam kłopot. Muszę znaleźć jakiś sposób, żeby zwrócić je właścicielom.

- Jeśli chcesz, żebym się tym zajął...

- Nie. - Zamknęła szufladę i schowała kluczyk do kieszeni. - Sama to zrobię.

Brat uśmiechnął się szeroko i wrócił na swoje miejsce. Sięgnął po talię i zaczął ją tasować. Verena obserwowała jego palce. W pewnym momencie James podniósł wzrok i, napotkawszy jej spojrzenie, uśmiechnął się, błyskając białymi zębami. Gdyby nie znała go tak dobrze, nie dostrzegłaby w jego swobodnym zachowaniu śladu desperacji.

Usiadła naprzeciwko brata.

- Chodzi o kobietę?

Dwie karty spadły na podłogę. James poczerwieniał, schylił się po nie szybko i włożył je z powrotem do talii.

- Nigdy przed tobą niczego nie ukrywałem.
- Wiem. Byłbyś bardzo głupi, gdybyś próbował. Mów.

Uśmiech zniknął z jego twarzy. Po długiej chwili brat westchnął i powiedział bez ogródek:

- Jestem szantażowany.
- Przez kogo?

Posłał jej wdzięczne spojrzenie.

- Nie wiem, ale popełniłem we Włoszech błąd, który może kogoś kosztować życie.

- Kogo?

Na policzki Jamesa wypełzł rumieniec.

- Wolałbym nie mówić.

Verena milczała przez chwilę.

- Domyślam się, że jest mężatką.

Napięcie widoczne na twarzy brata zmieniło się w szczerą udrękę.

- Zbliżam się do kresu wytrzymałości, Ver.

- Ile chcą pieniędzy?

- Jeszcze nie wiem. Kazali mi przyjechać do Londynu. Tutaj się ze mną skontaktują, ale podejrzewam, że zażądadają co najmniej pięciu tysięcy funtów. Może więcej.

- Dobry Boże! To majątek.

James się skrzywił.

- Mąż Sabriny jest... bardzo zazdrosny.

- Najwyraźniej ma powody.

Brat zarumienił się jeszcze mocniej.

- To nie było tak!

- Oczywiście.

- Grasz nie fair.

- Hm. Niech zgadnę. Jest nieszczęśliwa i samotna, mąż nie zwraca na nią uwagi. Zapewne powiedziała ci, że po

raz pierwszy go zdradziła, a ty, jako donkiszotowski, romantyczny głupiec, jej uwierzyłeś.

James potarł twarz ręką.

- W trakcie romansu myślałem, że Sabrina... Cóż, teraz wiem, że się myliłem. Jej mąż domyśla się prawdy. Jeśli odkryje, że to ja, będę zgubiony.

- Nie wracaj tam. Trzymaj się z dala od Włoch, póki wszystko się nie uspokoi.

- Nie mogę. Mam zbyt dużo do stracenia. Właśnie załatwiałem pewną ważną sprawę... - Zerknął szybko na siostrę. - Stracę dużo więcej niż pięć tysięcy funtów, jeśli stanę tu dłużej niż kilka tygodni.

- A co dokładnie ma na ciebie ten szantażysta?

- Listy. A właściwie nie listy, tylko wiersze.

Verena wytrzeszczyła oczy.

- Miłosne?

James uśmiechnął się blade.

- Jestem w tym całkiem dobry, wiesz.

Siostra nie zdołała pohamować śmiechu.

- Na pewno. Jak szantażysta je zdobył?

- Miesiąc temu ktoś włamał się do pokoju Sabriny i ukradł szkatułkę, w której trzymała wiersze.

- Zabrał coś jeszcze?

James potrząsnął głową.

- Zupełnie nic. Ktokolwiek to był, musiał dobrze wiedzieć, czego szuka.

- Jesteś pewien, że chce pieniędzy? Wydaje się niedorzeczne, że kazał ci tutaj przyjechać, jeśli one są jego jedynym celem.

Na twarzy brata odmalowała się troska.

- Właśnie. Zastanawiałem się, czy... Ale nie. Musi chodzić o pieniądze. Czego innego mogliby chcieć?

Miał rację.

- W takim razie pozostaje pytanie: ile? Wiedza, że tu jesteś, w moim domu?

- Na pewno nie. Nikt się nie domyśla, że jestem twoim bratem.

- Sytuacja bez wyjścia.

- Tak. Jeśli nie zapłacę tyle, ile zażąda ten łotr, odda listy mężowi Sabriny. Nigdzie się nie ukryję, a cała moja praca... - James oparł łokieć na stole, a czoło na dłoni. - Pójdzie na marne. Będę upokorzony.

- Upokorzenie to najmniejsze z twoich zmartwień, jeśli ten człowiek rzeczywiście jest niebezpieczny.

- Zabił już trzech ludzi. Kłopot polega na tym, że zainwestowałem cały swój kapitał. Nie mam wolnej gotówki.

- Kiedy się z tobą skontaktują?

- Lada dzień. - James przełknął ślinę. - Co zrobimy?

- Właściwą rzecz - odpowiedziała Verena z pewnością siebie, której wcale nie czuła. - Może, jeśli dopisze mi szczęście, znajdę bogatego adoratora, który się ze mną ożeni i w prezencie ślubnym podaruje mi okrągłą sumkę.

Tylko żartowała, próbując rozładować napięcie, ale James od razu się ożywił.

- Świetnie! Kręcą się przy tobie jacyś bogaci mężczyźni? Potrafiłabyś któregoś skłonić do zaręczyn?

Verena musiała się roześmiać.

- James! Nie mam ochoty sprzedawać wolności za parę gwinei. Nawet dla ciebie.

Brat z trudem ukrył rozczarowanie.

- Oczywiście, że nie. Chociaż z drugiej strony... nie musiałabyś za niego wychodzić. Zwodziłabyś go jedynie i ku siła, a wreszcie oznajmiła, że potrzebujesz pieniędzy na rachunek u modystki albo inne bzdury... - Dostrzegłszy uniesione brwi siostry, James uśmiechnął się z przymusem. - Wiem, wiem. Tylko się droczę. Ojciec zawsze po-

wtarza, że trzeba by greckiego boga, żebyś ponownie wyszła za mąż.

To była smutna prawda. Choć Verena nie narzekała na brak wielbicieli, żadnemu nie oddałaby ręki. Nawet przystojnemu i dwornemu Chase'owi St. Johnowi. Już chwilę po poznaniu młodego arystokraty stwierdziła, że mają zbliżone poczucie humoru. Doskonale się rozumieli, a nie potrafiła całkiem go odtrącić wyłącznie dlatego, że tak bardzo przypominał jej Jamesa.

- Co robić, Ver? Wiem tylko, że chcą więcej pieniędzy, niż mogę zebrać. Jestem zgubiony.

Verena zagryzła wargę. Jak mogła pomóc bratu, skoro sama musiała walczyć o przetrwanie? Powędrowała wzrokiem ku talii leżącej na stole. Był pewien sposób.

Dotknęła kart i uśmiechnęła się, gdy po jej plecach przebiegł dreszcz podniecenia. Miała dość ukrywania się, wiązania końca z końcem, ostrożności. Nadszedł czas na śmiałe działanie. Ożywiona jak nigdy w ciągu ostatnich czterech lat, wzięła do ręki talię, potasowała ją z wprawą i rozłożyła na cztery osoby.

- Odwróć górne.

James spełnił polecenie. Na wierzchu każdej kupki leżała królowa. Brat uśmiechnął się szeroko.

- Jesteś najlepsza.

Zrobiło się jej cieplej na sercu. Tęskniła za rodziną. Próbowała wprawdzie zastąpić ją przyjaciółmi, ale najczęściej zrywała je już na samym początku; smutny skutek wychowania. Uważała, że motto Lansdowne'ów powinno brzmieć: „Zawsze samowystarczalni” albo „Nie ufaj nikomu”.

Ale człowiek powinien mieć choćby znajomych, więc zaczęła urządzać kolacje w pierwszy wtorek miesiąca. Zapraszała najróżniejsze osoby, zwykle co bystrzejszych przedstawicieli półświatka. Goście jedli, pili, śmiali się

i rozmawiali, ona natomiast się starała, żeby jedzenie było wyśmienite, wino doskonałe, a konwersacja zawsze ciekawa. Dlatego chętnie do niej przychodzono.

Ostatnie przyjęcie wydała przed niespełna dwoma tygodniami. Do stałych gości należał nowy wielbiciel lady Jessup, lord Humford, który wkrótce potem zniknął bez śladu. Szeptano, że miał duże długi z powodu swojego zamiłowania do hazardu i w związku z nimi stanął przed wyborem: ucieczka z kraju albo więzienie. Na jego miejscu Verena też wybrałaby ciekawe podróże.

Spojrzała na brata i poklepała go po ręce.

- Nie martw się o pieniądze. Nieważne, ile zażądamy szantażyści. Znajdziemy jakiś sposób, żeby je zdobyć. Ale na moich warunkach albo wcale.

- Dziękuję, Ver! Jesteś pewna, że nie będziesz miała żadnych kłopotów?

- Nawet Lansdowne zasługuje na szczęście w grze. - Oczywiście tylko raz. Ale tyle wystarczy.

Uśmiechnęła się do siebie i zaczęła rozdawać karty.

3

Jest trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku, ale tylko siedem grzechów głównych. To oznacza, że człowiek może popełnić każdy z nich pięćdziesiąt jeden razy w roku i jeszcze zostaje mu tydzień na pokutę. Oczywiście tak jest wtedy, gdy dopuszcza się tylko jednego grzechu dziennie. Naprawdę zdeterminowany osobnik nie musi sobie narzucać żadnych ograniczeń.

Pan Scrope Davies do Edmunda Valmonta, obserwując walkę bokserską u Jacksona.

Czarno-żółty faeton zatrzymał się przed wąskim domem przy Kings Street. Z kozła zeskoczył starszy mężczyzna w granatowej liberii St. Johnów i pobiegł przytrzymać dwa zadbane siwki.

Brand łypnął ponurym wzrokiem na szare niebo. Przekłęty deszcz. Tylko tego było trzeba, żeby do końca zepsuć mu dzień.

Spojrzał na stangreta.

- Przejdź się z końmi. Nie będzie mnie góra dziesięć minut.

Ruszył do frontowych schodów. Na dolnym stopniu przystanął, żeby zdjąć rękawiczki. Wiatr szarpnął jego długim płaszczem.

Rezydencja wyglądała przyzwoicie, co było zaskakują-

ce, zważywszy na to, jakiego rodzaju kobiety podobały się Chase'owi. Brandon doskonale potrafił sobie wyobrazić tajemniczą lady Westforth. Nie wątpił, że wdówka maluje twarz i nosi suknie z dekoltem do pępka, jeśli w ogóle coś na siebie wkłada. Dobrze znał gust swojego brata.

Cieszyłby się tym małym przedstawieniem, gdyby nie bolał go kark, a oczy nie piekły, jakby ktoś sypnął w nie piaskiem. Miałyby przynajmniej zabawną historyjkę do opowiadania u White'a.

W oddali rozległ się grzmot. Brandon schował rękawiczki do kieszeni płaszcza. Wiedział, że czeka go stosunkowo łatwe zadanie. Musiał jedynie przekonać lady Westforth, że w jej najlepszym interesie jest zostawić Chase'a w spokoju na kilka tygodni. Przez ten czas jego zainteresowanie osłabnie, jak zawsze do tej pory. Przed południem sprawa będzie załatwiona.

Wszedł po schodach i zapukał lekko w szerokie dębowe drzwi. Obok niego przemknęły brązowe i żółte liście niesione przez wiatr. Brandon przestąpił z nogi na nogę; zimno przenikało przez podeszwy butów.

Znowu zagrzmiało, wiatr się wzmógł, lodowate palce przeczeszały jego włosy. Dlaczego nikt nie otwiera? Sięgnął do mosiężnej kołatki i zastukał mocno.

Minęła dłuższa chwila. W końcu dało się słyszeć człapanie i w uchylonych drzwiach stanął wychudzony osobnik o podejrzanie czerwonym nosie. Otaczał go słaby zapach brandy.

Mężczyzna podciągnął spodnie i zmierzył St. Johna od stóp do głów. Potem odezwał się dobrotliwym głosem:

- To pan bębnił?

Irytacja Brandona wzrosła.

- Tak, ja. Czy inaczej by mi otworzono?

Sługa zmarszczył nos, jakby się nad czymś zastanawiał.

- Mogłem się domyślić, że ktoś przyjdzie, bo słyszałem, jak zatrzymuje się powóz. - Rozpromienił się, jakby właśnie udowodnił skomplikowane matematyczne twierdzenie. - Nie uważa pan?

Brandon zaczerpnął oddechu, żeby się uspokoić.

- Lady Westforth jest w domu? Chciałbym z nią porozmawiać, jeśli można.

- No, tak lepiej! Nie trzeba się zaraz denerwować. Słyszysz pana dobrze. Po co krzyczeć?

Dobry Boże, nie dość, że musiał układać się z kobietą pokroju lady Westforth, to jeszcze trafił na fatalnie wyszkoloną służbę. Na domiar złego akurat dzisiaj, kiedy nie był w najlepszej formie.

Już nigdy więcej nie przegapi żadnej z porad Marcusa. Przenigdy. Do licha, właściwie mógłby się wprowadzić do Treymount House, żeby nie tylko się nie spóźnić, ale być pierwszym na każdym cholernym spotkaniu.

Potarł ręką czoło.

- Czy lady Westforth przyjmuje?

- Może tak. - Kamerdyner hałaśliwie pociągnął nosem i wytarł go wierzchem dłoni. - A może nie. Kim pan dla niej jest?

Jeśli personel świadczył o pani tego domu, zadanie powinno być wyjątkowo łatwe.

- Poinformuj lady Westforth, że przyszedł Brandon St. John. - Sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął z niej grubą welinową wizytówkę. - Zajmę jej dwie minuty.

Nawet nie tyle, jeśli gospodyni tak rozpaczliwie potrzebowała pieniędzy, jak na to wskazywał wybór kamerdynera.

Służący wziął wizytówkę w dwa palce.

- Pan St. John, tak? Powiem jej, że pan czeka.

Posłał gościowi ostatnie podejrzliwe spojrzenie, po czym zamknął mu drzwi przed nosem.

Brandon osłupiał. Nigdy w życiu nie zdarzyło się, żeby zostawiono go na schodach jak domokrażcę, który pomylił adres.

Na Boga, nie przyszedł tutaj, żeby stać na ganku. Gdy sięgał do kołatki, wrzał w nim gniew. Zanim uderzył mosiężnym pierścieniem w drewno, drzwi otworzyły się gwałtownie.

Kamerdyner posłał mu skruszony uśmiech, błyskając złotym zębem.

- Pani powiedziała, że nie każe się gościom czekać na schodach. - Usunął się na bok i machnięciem ręki zaprosił go do środka. - Mam pana zaprowadzić do saloniku. I co, nie jest pan szczęściarzem?

Brandon żałował, że nie może wrócić do faetonu i pojechać do domu. W ten sposób jednak tylko odwłókłby nieuniknione, więc przełknął gniew i wszedł do holu. Czekał, aż kamerdyner weźmie od niego płaszcz, ale ten stał bez ruchu i szczyrzył się jak głupiec.

- To mój pierwszy tydzień, wie pan. Jeszcze nie znam wszystkich zasad.

Brandon nie zaprzeczył. Zdjął okrycie i wręczył je służącemu.

- O, nie powinien pan tego robić! Chętnie bym przyjął ten hojny podarunek, ale pani kazałaby wygarbować mi skórę.

Niechętnie oddał płaszcz gościowi. Brandon wziął go tak zaskoczony, że nie mógł wydobyć z siebie słowa.

- Jeśli chce pan mnie wynagrodzić, wystarczy szyling.

- Szyling?

- Za otwarcie drzwi...

- Herberts! - rozległ się kobiecy głos.

Kamerdyner stanął na baczność.

- Tak, proszę pani?

W samą porę. Brandon poszedł za jego wzrokiem, ale gdy zobaczył gospodynię stojącą u stóp schodów, półuśmiech zamarł na jego wargach, a potem całkiem zniknął.

Devon się mylił. Lady Westforth nie była piękna. Dolną wargę miała za krótką, podbródek zbyt zdecydowany, figurę bynajmniej nie szczupłą i wiotką zgodnie z modą panującą w wyższych sferach. Jej włosy, gęste i proste, miały barwę dojrzałej pszenicy i nie okalały twarzy loczkami uwielbianymi przez damy z towarzystwa.

Marcus najwyraźniej popełnił błąd. Chase nie mógł zakochać się w tej kobiecie. Brandon uznał, że stracił czas, przychodząc tutaj, ale w tym momencie gospodyni spojrziała na niego pytająco.

Jej oczy były fiołkowe, w oprawie gęstych rzęs, cera kremowobiała z delikatnym rumieńcem.

Brandon nie potrafił tego wyjaśnić, ale kiedy posłała mu uśmiech, który zaparł mu dech w piersiach, jego ciało zareagowało tak, jakby znał ją... intymnie.

Gospodyni ukłoniła się z wdziękiem.

- Pan St. John. Proszę wybaczyć Herbertsowi. Jest nowy i jeszcze nie całkiem rozumie, na czym polegają jego obowiązki.

Brandon przez dłuższą chwilę nie mógł zebrać myśli. Co by było w tym paskudztwie, które Poole zaserwował mu dziś rano? Mikstura oszołomiła go jak mocny trunek.

- Lady Westforth. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

- Oczywiście, że nie. Herberts, weź płaszcz od pana St. Johna i wyczyść go.

- Dobrze, proszę pani - powiedział sługa niepocieszonym tonem. Przesunął dłonią po miękkiej tkaninie i nie-

co się rozchmurzył. - Może trochę go ponoszę, żeby zobaczyć, jak to jest mieć na grzbiecie taką ładną rzecz...

- Nie! - Lady Westforth energicznie potrząsnęła głową. - Kamerdynerzy nie noszą płaszczy, które biorą do czyszczenia.

Herbertsowi przeciągnęła się mina.

- Jest pani pewna?

- Całkowicie. - Gospodyni przeniosła wzrok na gościa i wskazała na podwójne drzwi. - Tam będziemy mogli porozmawiać.

Idąc za nią do salonu, Brandon mimo woli obserwował, jak lady Westforth się porusza, zwrócił uwagę na jej zaokrąglone biodra kołyszące się pod jedwabną suknią. Była niższa, niż w pierwszej chwili mu się zdawało - głową sięgała mu zaledwie do ramienia - i trochę za pulchna jak na obowiązujące w towarzystwie kanony.

Oczywiście damy, które je ustalały, rzadko miały rację w takich sprawach. Na przykład Celeste uważano za idealną kobiety. Wszyscy się nią zachwycali, kobiety szukały jej towarzystwa, mężczyźni pisali sonety do jej oczu. Tymczasem Brandon z trudem hamował ziewanie na myśl o dwuminutowej rozmowie z tą dziewczyną.

Lady Westforth usiadła na krześle i wskazała mu drugie.

- Proszę się rozgościć.

Brandon już chciał odmówić, bo nie zamierzał zostać długo, ale kiedy dostrzegł ciepły wyraz jej twarzy oraz drobne mimiczne zmarszczki w kącikach oczu, bezwiednie opadł na krzesło, a jego wargi same odwzajemniły uśmiech.

Do diaska, co on wyprawia? Miał zapłacić tej kobiecie, żeby usunęła się z życia Chase'a, a nie pić z nią herbatę. Obrzucił pokój pobieżnym spojrzeniem i ku własnemu zaskoczeniu stwierdził, że choć nieduży, jest elegancko

urządzony. Meble stały tak blisko siebie, że niemal dotykał kolanami nóg gospodyni.

Lady Westforth zmierzyła go wzrokiem.

- Jest pan bardzo podobny do brata, tylko... - Przekrzywiła głowę, aż gęsty splot włosów opadł jej na ramię. - Wyższy.

- I starszy od Chase'a. - Poza tym nie głupieję z powodu kobiet. Zwłaszcza rozpustnic.

Gospodyni się zarumieniła, jakby usłyszała jego myśli.

- Często o panu mówił - dodała. - Wiem, że bardzo kocha pana i pozostałych braci.

A więc Chase dzielił się z nią sprawami rodzinnymi? Co on sobie myślał, do diabła? Takich damulek bogaty mężczyzna powinien unikać. Jedynym źródłem utrzymania pięknej wdowy zapewne były datki chętnych do płacenia za jej towarzystwo. Nie różniła się niczym od płytkich kobiet, które co roku grasowały na małżeńskim targu w poszukiwaniu nieszczęsnego kawalera, zdolnego zapewnić im kieszonkowe i dom w Londynie.

Brandon wiedział wszystko o ich chciwości. W czasie swojego pierwszego sezonu spędzonego na salonach zakochał się w pozornie naiwnej pannie na wydaniu. Ona była równie oczarowana, tyle że jego kontem i rodzimym nazwiskiem.

Zanim uświadomił sobie własny błąd, omal go nie usiłowała. Gdyby nie jego przyjaciel Roger Carrington, wicehrabia Wycham, związałyby się z tą dziewczyną na całe życie. Na szczęście uciekł w ostatniej chwili. Po tym przykrym doświadczeniu jak ognia unikał dziewczyn, kobiet niezamężnych i biednych. Właśnie dlatego wybrał Celeste; nie potrzebowała jego nazwiska ani pieniędzy. Szkoda, że nie była dostatecznie interesująca, żeby zając jego uwagę na dłużej.

Lady Westforth trochę odsunęła kolana i splotła na nich dłonie.

- W czym mogę panu pomóc? Jeszcze raz przepraszam za Herbertsa. Mam nadzieję, że nie wyprowadziła pana z równowagi jego nieudolność.

- Oczywiście, że nie.

- Cieszę się. Myślę, że kiedy już nauczy się reguł, będzie sobie dobrze radziła. Sama jestem winna, bo mu nie powiedziałam, że nie zostawia się gości za drzwiami. - Ze skrucą potrząsnęła głową, ale w jej fiołkowych oczach jarzyły się wesołe iskierki. - Muszę pamiętać, że dla niego nie wszystko jest oczywiste.

Brandon odpowiedział słabym uśmiechem, choć miał niedorzeczną ochotę, żeby skwapliwie się z nią zgodzić. Ze wszystkim, co mówiła.

Dlaczego od razu poczuł się swobodnie przy tej kobiecie? Czy chodziło o jej sposób bycia, otwarty i przyjazny, jakby dobrze go znała i akceptowała? A może o to, że patrzyła mu prosto w oczy, bez fałszywej nieśmiałości? Albo o poczucie humoru, które łagodziło wyraz jej twarzy? Zmysłowy wykrój ust? Tak czy inaczej robiła na nim silne wrażenie, a on raptem sobie uświadomił niebezpieczeństwo grzące Chase'owi.

Lady Westforth miała w sobie wyjątkowy czar, a to dużo ważniejsze od urody. Brandon niemal czuł, że powietrze między nimi drży od napięcia.

Nic dziwnego, że Marcus był zdeterminowany, żeby szybko pozbyć się tej kobiety. Brandon, mimo bólu głowy, złego samopoczucia i irytacji, nie mógł oderwać od niej wzroku. Jego serce dudniło mocno, gdy podziwiał jej rozkoszne kształty i czający się w oczach uśmiech.

Jaka byłaby w łóżku? Bez zahamowań i naturalna jak teraz? Jego ciało zareagowało zdradziecko na tę myśl. Wy-

czuwał w lady Westforth ukrytą namiętność, ogień. Wiedział, że dawałaby tyle samo, ile brała.

Nagle przyłapał się na tym, że zazdrości bratu. Spochmurniał.

- Coś nie w porządku, panie St. John?

Tak, owszem. Wszystko. Była niewłaściwym towarzyszem... dla Chase'a. A zwłaszcza dla niego.

Gospodyni zmierzyła go wzrokiem, unosząc brwi.

- Panie St. John, jest coś...

- Sądzę, że pani wie, po co przyszedłem. - Im szybciej skończy się wizyta, tym lepiej.

Lady Westforth zmarszczyła czoło, a w jej pięknych fiołkowych oczach ze śladem błękitu pojawił się błysk zrozumienia. Skinęła głową, krótko i zdecydowanie.

- Pański brat.

- Tak.

- Mam nadzieję, że u niego wszystko dobrze.

- Wyjechał z Londynu kilka dni temu i jeszcze nie wrócił. Ale przecież pani wie.

- Nie wiem. Nie jestem jego aniołem stróżem. - Po chwili wahania dodała: - Pan również.

Brandon ściągnął brwi. Chyba ta kobieta go nie krytykuje? Ale wystarczyło jedno spojrzenie w jej oczy, by się upewnić, że właśnie to robi. Jego irytacja przerodziła się w gniew. Obrzucił ją lodowatym wzrokiem.

- Stosunki panujące w mojej rodzinie to nie pani sprawa.

Zamiast się spieszyć, lady Westforth odparowała:

- Moje stosunki z pańską rodziną również nie powinny pana obchodzić.

Brandon zacisnął szczęki.

- Jestem innego zdania. Interesuje mnie wszystko, co dotyczy mojego brata.

- Przejdźmy do rzeczy, dobrze, panie St. John? Szko-
da mi czasu na ucieranie nosa wielkim figurom.

Brandon uniósł brwi.

- Wielkim figurom?

- Towarzystwo uważa, że St. Johnowie stoją ponad
zwykłymi śmiertelnikami. - W jej głosie pobrzmiwał lek-
ki ton nagany. - Nie chciałabym być innego zdania.

- Doprawdy? - Uśmiech wykrzywił usta Brandona. -
Odnoszę inne wrażenie.

- Jest pan bardzo spostrzegawczy. Nie obchodzą mnie
tytuły ani prestiż wynikający z urodzenia.

- Tylko pieniądze.

Gospodyni uniosła podbródek.

- Lubię pieniądze. Kto nie lubi? Życie byłoby bez nich
strasznie nudne. Ale nie są moim głównym celem. Ani nie
wpływają na przyjaźń z pańskim bratem.

- A co jest pani głównym celem, lady Westforth? Mał-
żeństwo?

- Co za niedorzeczność! Nie zamierzam nigdy powtór-
nie wychodzić za męża.

Niemal jej uwierzył.

- „Nigdy” to mocne słowo.

- Już raz byłam zameźna. I choć się nie skarżę, obecna
wolność bardziej mi odpowiada. - Pochyliła się do przodu
i utkwiała w nim wyzywające spojrzenie. Suknia opięła się
na jej wydatnych piersiach. - Ale dziękuję za pytanie. Coś
jeszcze? Czy przyszedł pan po to, żeby mnie zdenerwować?

Brandon stwierdził, że jego gniew przerodził się w bar-
dziej zdradliwe uczucie. Lady Westforth okazała się inte-
resującą osobą, samodzielną, pełną dumy, obdarzoną tem-
peramentem. Ponadto miała bystry umysł, cięty dowcip
i apetycznie zaokrągloną figurę. Potrafiłaby rozpalic męż-
czyznę do białości.

Uświadomił sobie, że nie tylko nie jest obrażony, ale
chętnie by się z nią podroczył. Jej oczy płonęły, gdy była
zagniewana. Wręcz go hipnotyzowały.

Do diabła, skarcił się w duchu. Kończ sprawę.

- Pozwoli pani, że będę szczery, lady Westforth. Nie
wiem, jakie ma pani plany wobec mojego brata, ale przy-
szedłem złożyć propozycję: wolność Chase'a za pewną su-
mę. Pokażną.

Gospodyni wstała tak szybko, że nie zdążył się cofnąć,
i jej nogi otarły się o jego kolana.

- Najwyższa pora, żeby pan się pożegnał.

Brandon rozparł się na krześle i skrzyżował ramiona
na piersi.

- Może jednak pani usiądzie i wysłucha, co mam do po-
wiedzenia?

Lady Westforth zacisnęła pięści po bokach.

- Powiedział pan już dość. Zadzwońię po Herbertsa.
Odprowadzi pana do drzwi.

Irytacja Brandona słabła, w miarę jak jej rosła. Gospo-
dini dobrze wiedziała, co on o niej myśli, i była gotowa
zemścić się bez wahania.

-Wyjdę, jak tylko dojdziemy do porozumienia. Ile
trzeba, żeby pani zostawiła mojego brata w spokoju?

-Ja... - Zacisnęła usta. - Próbuje pan mnie kupić.

- Tak. I chętnie zaoferuję znaczną kwotę.

- Proszę oferować, ile pan chce. Nie wezmę pańskich
pieniędzy.

- Nie? - Brandon się uśmiechnął. Wyjął z kieszeni czek,
sięgnął po dłoń, którą dama trzymała na udzie zaciśniętą
w pięść, rozwarł ją i włożył w nią blankiet. - Proszę to
wziąć. - Zacisnął z powrotem jej palce i spojrzął w oczy. -
Powinno osuszyć pani łzy.

Wiedział, co zrobi. Oczywiście zaprotestuje. Wszystkie

tak robiły, ale szybko kapitulowały i brały pieniądze. A on za chwilę będzie w drodze do domu, spokojny, że Chase znowu uniknął niebezpieczeństwa.

Z jakiegoś powodu ta myśl go zmartwiła. Był moment, kiedy mu się zdawało, że lady Westforth różni się od innych kobiet. Tylko moment. Ale teraz... Zauważył, jak ścisnęła czek. Popatrzył na nią z uśmiechem wyższości.

- Boi się pani go zgubić?

Przeszyła go wzrokiem.

- Myli się pan, panie St. John. Pieniądze niczego mi nie wynagrodzą. Nie potrzebuję ich.

I zrobiła najbardziej zaskakującą rzecz na świecie. Na oczach Brandona podarła czek na drobne kawałeczki. Następnie przeniosła rękę nad jego głowę i obsypała ją papierowym deszczem.

4

Wiesz, co Hunterston mówi o panie Grenville? Że ma dość szczęścia, by uważać się za piękność, i tyle samo pecha, bo nią nie jest. Tydzień zabrało mi rozwiązanie tej zagadki, ale, na Jowisza, musiałem przyznać mu rację!

Edmund Valmont do swojego przyjaciela, diuka Wexforda, przy grze w bilard w Wexford House.

Verenie przemknęło przez myśl, że Brandon St. John jest chyba najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziała. Był wysoki, potężnie zbudowany, o niebieskich oczach, które kontrastowały z czarnymi włosami.

Na szczęście dla niej to pierwsze korzystne wrażenie zostało osłabione kolejną refleksją: że mimo prezencji jest nadętym osłem, któremu bardzo przydałaby się nauczka.

I właśnie mu ją dała. Uśmiechnęła się, patrząc, jak jej gość strzepuje kawałki papieru z ramienia. Kilka, bardzo stosownie, utkwilo w jego włosach jak rogi. Verena postanowiła, że nie zwróci mu na to uwagi. Niech trochę pochodzi z konfetti na głowie. Szkoda tylko, że ona nie zobaczy, jak ludzie wskazują na niego palcami i się śmieją.

- Na co pani patrzy? - burknął St. John, marszcząc czoło.

- Och, na nic. Dziękuję za wizytę. Zadzwoń po Herbertsa, żeby przyniósł pański płaszcz. Podejrzewam, że w nim teraz paraduje.

Zauważyła ze skrywaną radością, że jego irytacja przegradza się w gniew. Wstała z krzesła i ruszyła do dzwonka, ale St. John złapał ją za nadgarstek. Spojrzała na niego z góry, zbyt rozbawiona, żeby się obruszyć.

- Tak?

St. John zacisnął usta. Jego oczy płonęły.

- Dobrze znam machinacje kobiet pani pokroju.

- Pokroju? To znaczy jakich, pańskim zdaniem?

Omiotł ją wzrokiem od stóp do głów, beczelnie zatrzymując go na piersiach. Zupełnie, jakby mógł dojrzeć je przez materiał sukni. Verenie, nie wiedzieć czemu, zrobiło się gorąco.

W końcu wrócił spojrzeniem do jej twarzy.

- Mogę mówić bez ogródek?

- Nie jestem pewna, czy zniosę jeszcze więcej bepośredniości. Chyba że odwzajemnię się w jakiś sposób. Ale wtedy będzie pan potrzebował poduszki z sofy dla obrony.

Jego usta drgnęły, a zaskoczenie na chwilę złagodziło wyraz oczu.

- Nie chciałbym pani obrazić, ale oboje wiemy, co się stało.

Verena miała na końcu języka ciętą ripostę, ale się od niej powstrzymała. Musiała w tym celu wykorzystać całą umiejętność samokontroli, którą w sobie rozwinęła przez ostatnie cztery lata.

- Tak, zaproponował mi pan pieniądze za to, żebym zerwała wszelkie kontakty z pańskim bratem. Jeszcze nikt mnie tak nie obraził.

Uścisk odrobinę zelżał, a ona uświadomiła sobie ciepło dłoni obejmującej jej nadgarstek.

- Ile trzeba, żeby pani zostawiła Chase'a w spokoju? Dwóch tysięcy funtów?

Gdyby ją puścił, przynajmniej miałyby satysfakcję z wymierzenia mu siarczystego policzka.

St. John zmrużył oczy.

- Trzy tysiące.

Trzy.... tysiące... funtów. Nie wiedziała, jakiej sumy potrzebuje James, ale tyle z pewnością by się przydało. Zwilżyła wargi. Dobrze byłoby zdobyć dla niego pieniądze. Wspaniale. Zwłaszcza że nie musiałyby nic robić, by je dostać.

Bowiem odprawiła Chase'a St. Johna dwa dni temu. Jak zachowałby się Brandon St. John, gdyby mu powiedziała, że nie przyjęła propozycji małżeństwa złożonej przez jego brata?

Obawiała się reakcji Chase'a, bo chociaż był wtedy pijany, mówił szczerze. W rzeczywistości jej odmowa wcale nim nie wstrząsnęła. Verena nawet sobie pomyślała, że może jego uczucia nie były takie głębokie, jak mu się zdawało.

Zerknęła na gościa spod rzęs, uśmiechając się w duchu. Najwyraźniej Chase nie zwierzył się braciom, skoro myśleli, że nadal znajduje się pod jej wpływem.

- Proszę puścić moją rękę - powiedziała miłym tonem. - Jest pan bardzo silny.

Trochę rozluźnił palce, ale nie na tyle, żeby odzyskała wolność. Uśmiech zniknął z jej twarzy.

- Jest pan niegrzeczny.

- Nie chcę, żeby znowu mnie czymś obrzucono. Tym razem mogłoby zabołeć.

Verena nie miała nic przeciwko temu, żeby mocno zabolęło.

- Zrobi mi pan siniaki.

W końcu zabrał rękę, choć widziała, że jej nie ufa. Próbowała odwzajemnić jego drwiący uśmiech, ale podejrze-

wała, że wyszedł jej raczej grymas przypominający obnażenie zębów.

- Wierzy pan w czary, panie St. John? Bo najwyraźniej pan sądzi, że rzuciłam urok na pańskiego brata.

- Wykorzystała pani swoje wdzięki, żeby go usidlić. Nie dopuścimy do tego.

- My?

- Moi bracia i ja.

Dobry Boże, cała rodzina St. Johnów uważała ją za kobietę, która rozpaczliwie szuka bogatego męża. Sama nie wiedziała, czy się złościć z tego powodu, czy śmiać.

Biedny Chase! Nie wiedziała nic o rozmiarach jego cierpienia, ale teraz zaczęła się zastanawiać, czy bracia go nie tłamszą. Gdyby miała choć trochę rozumu, uświadomiłaby Brandonowi St. Johnowi, jak naprawdę wygląda sytuacja, i pożegnała go solidnym kopniakiem.

Niestety arogancką postawą sam prowokował ją do złośliwości. O wiele zabawniej było się z nim drażnić, niż powiedzieć nieciekawą prawdę. Wróciła na krzesło i skromnie złożyła dłonie na kolanach

- Muszę się do czegoś przyznać.

Nie wzbudziła w gościu ciekawości, tylko rozdrażnienie.

- Co takiego?

- Bardzo lubię pańskiego brata. - Zerknęła na niego przez rzęsy. - Bardzo, bardzo lubię.

Zacisnął szczęki i posłał jej spojrzenie lodowate jak Tamiza zimą.

- Nie traktuję lekko żadnych prób wykorzystania członka mojej rodziny.

- Doprawdy? A skąd pan wie, że to pański brat nie zamierzał mnie wykorzystać?

- Chase nie należy do tego typu mężczyzn. - Brandon

przesunął po niej lekceważącym wzrokiem. - Poza tym, jaką korzyść można mieć z takiej osoby?

W Verenie zawrzał gniew. Nigdy nie traciła panowania nad sobą, nigdy nie rzucała słów niegodnych damy i nigdy, przenigdy nie pluła. Ale teraz z trudem zwalczyła impuls, żeby zrobić te trzy rzeczy jednocześnie.

Brandonowi St. Johnowi naprawdę przydałby się solidny policzek, a po nim głośne tupnięcie nogą. I jeszcze na dokładkę szybki cios pięścią w żebra.

Oczywiście tylko jeden. Nie była okrutna. Po prostu Brandon St. John zasługiwał na karę. A wymierzając ją, oddałaby przysługę wszystkim kobietom.

O, niebios! Jak się nad tym zastanowić, postąpiłaby wręcz szlachetnie. Może powinna wziąć jego pieniądze. Nie żeby je wydać - miała własne środki utrzymania - ale pokazać mu, że nie należy z nią igrzać. Weźmie czek i niech ten bezczelny osobnik dowie się od brata, że został wystrychnięty na dudka. To była rozkoszna perspektywa. A kiedy arogancki i wyniosły Brandon St. John przycołga się do niej, żeby odzyskać swoje trzy tysiące, zemsta będzie słodka. Od razu wrócił jej humor.

Brandon nie wyglądał na zadowolonego z tej raptownej zmiany nastroju. Zrobił marsową minę, kontrastującą z jej uśmiechem.

- Oznajmi pani mojemu bratu, że nie jest nim zainteresowana i chce, by zostawił ją w spokoju. W zamian ja dam pani okrągłą sumkę. Takie umowy zawiera się co dzień.

- Obawiam się, że nic z tego.

- Dlaczego?

- Bo czuję się obrażona.

St. John uniósł brwi.

- I?

Verena nachyliła się do przodu i oświadczyła łagodnym tonem:

- Gdy jestem urażona, staję się kłótniwa i na nic nie wyrażam zgody. Chce pan, żebym przyjęła pańską propozycję, prawda?

Gość krótko skinął głową, choć jego cierpliwość wyraźnie się kończyła.

- Doskonale! - ucieszyła się Verena. - Będzie korzystne dla nas obojga, jeśli wyjaśni pan, co miał na myśli, mówiąc: „kobieta pani pokroju”. Może źle interpretuję pańskie słowa.

St. John odchylił się na oparcie krzesła, obserwując ją spod zmrużonych powiek.

- Koniecznie musi mnie pani ukarać, tak?

- Po prostu chcę wiedzieć, na czym stoję.

- Dobrze. Ile ma pani lat?

- Nie rozumiem, co pana to obchodzi.

-Więc sam zgadnę. - Brandon z namysłem ściągnął brwi. - Myślę, że trzydzieści t...

- Dwadzieścia sześć - warknęła gospodyni. Doprawdy nie było powodu, żeby ten człowiek zadawał takie osobiste pytania.

St. John uśmiechnął się szeroko, aż pojawiły mu się zmarszczki w kącikach oczu i dołeczek w policzku, bardzo atrakcyjny. W jednej chwili zmienił się z surowego i nieprzystępnego gburą w całkiem sympatycznego mężczyznę.

Mimo irytacji Verena przyłapała się na tym, że ma ochotę odwzajemnić uśmiech. Jej usta zadrżały, ale szybko się opanowała.

- Mam nadzieję, że jest pan usatysfakcjonowany, choć nie wiem, co zamierzał pan udowodnić.

- Tylko to, że jest pani starsza od Chase'a o prawie dwa lata.

- Dziesiątki szczęśliwych par dzieli większa różnica wieku.

- Jest pani również bardziej doświadczona niż on.

Prychnęła bardzo nieelegancko, ale natychmiast skarciła się w duchu. Oto skutek spędzenia dwóch ostatnich dni w towarzystwie brata: całkiem zapomniała manier. Przytknęła palce do ust i zakaszła.

- To nieprawda.

Gość uniósł brwi, a w jego niebieskich oczach zamigotały wesołe ogniki.

- Lady Westforth, jest pani kobietą pełną sprzeczności.

- To kolejna z pańskich obiekcji?

- Nie. - Wydawało się, że ta odpowiedź również jego zaskoczyła. - Po prostu spostrzeżenie.

Verenie nie podobał się jego taksujący wzrok.

- Chyba nie zajmujemy się katalogowaniem pańskich zastrzeżeń co do mojej osoby.

- Myślę, że już dość powiedziałem.

- Owszem. Ale z drugiej strony, nie jestem mimozowatą panienką, która pragnie słuchać wyłącznie miłych słówek i fałszywych komplementów. Wolę z góry wiedzieć, co mnie czeka, żeby stawić temu czoło.

- Jest pani stanowcza.

- Wolę określenie „bezpośrednia”.

Wargi St. Johna drgnęły, ale się nie uśmiechnął.

- W takim razie będę kontynuował. Oprócz wieku pozostaje jeszcze kwestia pani reputacji.

- Która może być myląca. Na przykład pan uchodzi za mężczyznę światowego i wyrafinowanego, jednym słowem dżentelmena, a w rzeczywistości jest pan nieokrzesany i gburowaty jak wieśniak.

Brandon omal się nie skrzywił. Istotnie zachowywał się niegrzecznie, ale nie wiedział, jak wypełnić zadanie, nie

obrażając tej kobiety. Oczywiście gdyby była niewykształconą sprzedawczynią pomarańczy z Vauxhall Gardens, nie zdawałaby sobie sprawy z afrontu.

Marcus miał rację. Lady Westforth różniła się od innych kochanek Chase'a. Okazała się dużo bardziej inteligentna i obdarzona poczuciem humoru. Brandon zauważył również jej brwi i sposób, w jaki się unosiły przy uśmiechu. Była uroczą kobietą. Dziwne, ale im dłużej z nią przebywał, tym bardziej sobie to uświadamiał.

- Dość słownych utarczek, lady Westforth. Na jakich warunkach zostawi pani mojego brata w spokoju?

Gospodyni uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

- Nieodparcie nasuwa mi się myśl, że przekracza pan granice jego prywatności. Co Chase by na to wszystko powiedział?

- Byłby wściekły. Jak zawsze.

- Zawsze? Już wcześniej załatwiał pan takie sprawy?

- St. Johnowie troszczą się o swoich bliskich. Już pani mówiłem.

- Tak, ale... - Lady Westforth machnęła ręką. - Sądzę, że Chase po powrocie wyrazi swoje zdanie w tej kwestii.

Policzki miała lekko zarumienione, jej źrenice się iskrzyły, jakby hamowała śmiech. Ciekawe, jak wyglądała w miłosnej ekstazie? Czy jej oczy tak samo błyszczały, a skóra była zaróżowiona z podniecenia? Założyłyby się o ostatniego pensa, że samo dotykanie jej splotów, długich i gęstych, stanowiłoby niezapomniane przeżycie.

Była ładnie zaokrąglona, o kształtnych biodrach i pierśiach, które akurat zmieściłyby się w jego dłoniach. Wyobraził ją sobie nagą w łóżku, z rozpuszczonymi włosami.

Z trudem odpędził od siebie kuszący obraz. Inteligencja, uroda i dowcip. Połączenie przyprawiało o zawrót głowy. Do diaska, biedny Chase nie miał najmniejszej

szansy. Nie z taką kobietą. Gdyby ktoś dwadzieścia minut temu powiedział Brandonowi, że słynna lady Westforth ośmieli się go znieważać, a on zamiast wpaść we wściekłość, będzie rozbawiony, uznaliby, że rozmówca oszalał. Teraz podobało mu się, że kocica ma pazurki.

Właściwie nic dziwnego. Nie licząc Chase'a, St. Johnów nigdy nie pociągały potulne kobiety. Szukali w nich ognia, który dorównałby ich żarowi. A jeśli się nie mylił, lady Westforth miała go w sobie dużo.

Usiadł prosto. Nagle zaczęło mu się spieszyć.

- Podniosę moją ofertę do pięciu tysięcy funtów. To wszystko, co mogę zaproponować.

Gospodyni raptem spochmurniała.

- Z pewnością pan żartuje.

- Przyślę czek w ciągu godziny.

Jej wzrok padł na świstki papieru zaśmiecające podłogę. Sądząc po zeszywnieniu ramion, walczyła ze sobą. Brandon chyba ją rozumiał. Lady Westforth znalazła się w wyjątkowo przykłej sytuacji. W dodatku najwyraźniej potrzebowała pieniędzy. Wyraz jej twarzy sprawił, że stwardniało mu serce. Rzeczywiście należała do kobiet, których trzeba unikać za wszelką cenę.

- Proszę go przyjąć - rzekł cicho.

Z początku sądził, że gospodyni odmówi. Zamiast tego wyciągnęła rękę i dotknęła jego włosów. Poczul ciepło dłoni muskającej jego ucho. Zamknął oczy, walcząc z żądzą.

Lady Westforth się cofnęła. W palcach trzymała kawałek czeku. Uśmiechnęła się łagodnie.

- Pięć tysięcy funtów to majątek. Widać bardzo pan się obawia mojego wpływu.

- Musi pani opuścić miasto na jakiś czas, żeby Chase o pani zapomniał. Nie wiem, co mówił, ale nie jest zdol-

ny do poważnych uczuć. Sądzę, że będzie rozpaczał przez kilka tygodni, a potem szybko dojdzie do siebie.

Powoli zmierzył ją wzrokiem, zastanawiając się, czy to prawda. Znał tę kobietę zaledwie od piętnastu minut, a już żałował, że nie będzie miał okazji poznać jej lepiej.

Do diaska, Chase miał szczęście.

- Nie powinnam brać pieniędzy... - Lady Westforth zacisnęła wargi, patrząc mu w oczy.

Dziwne, ale w Brandonie zabłysła iskierka nadziei. Pomyślał o swoich licznych znajomych: o Celeste i kilkudziesięciu jej podobnych, z którymi miewał romanse. Żadna nie odrzuciłaby pięciu tysięcy funtów. Na swój sposób te kobiety były bardziej chciwe niż mężczyźni. Natomiast lady Westforth... Z jakiegoś powodu cieszył się, że jest inna.

- Nie powinnam brać pieniędzy - powtórzyła. - Ale wezmę.

Brandon zamrugał zdumiony.

Gospodyni uniosła podbródek, a w jej oczach pojawił się triumfalny błysk.

- Wezmę pięć tysięcy funtów, ponieważ tak bardzo panu na tym zależy. Proszę przysłać mi czek w ciągu godziny. Powiem Chase'owi, że będzie lepiej, jeśli więcej się nie zobaczymy.

Jednak się mylił. Była taka jak wszystkie. Rozczarowanie legło mu ciężarem na piersi.

- Zatem postanowione - stwierdził ponurym tonem i wstał.

Nie dlatego, że chciał wyjść, ale dlatego, że nie miał powodu zostawać. Lady Westforth rozciągnęła w tajemniczym uśmiechu pełne wargi, co na nowo rozпалиło jego pożądanie.

- Może mi pan zaufać. Pański brat jest bezpieczny.

To właśnie chciał od niej usłyszeć. Ale poczuł się... oszukany. Naprawdę zaczął wierzyć, że ona nie przyjmie pieniędzy i udowodni, że nie zniża się do tego rodzaju haniebnych układów. Popełnił błąd w ocenie.

- Przyślę czek po południu. I proszę uważać. Jeśli dotrą do mnie wieści, że kontaktuje się pani z Chase'em albo pozwala mu się odwiedzać, zażądam zwrotu całej sumy. I będę bezlitosny.

- Nie wyobrażam sobie, że mógłby pan być inny.

Wstała z krzesła i wyciągnęła do niego rękę.

Branda ogarnął gniew; nie dość, że ta kobieta wykorzystała jego rodzinę, to jeszcze patrzyła teraz na niego z niewinnym uśmiechem, jakby nic złego nie zrobiła. Ujął podaną dłoń, ale nie puścił jej od razu, tylko przytrzymał dłużej. Przy okazji zauważył, że palce lady Westforth są smukłe, a nadgarstek delikatny.

Pragnienie, żeby nią wstrząsnąć, było przemożne, ale nie aż tak silne, jak chęć udowodnienia sobie, że chodzi tylko o fizyczne pożądanie i nic więcej.

Ścisnął mocniej dłoń gospodyni. Jej oczy się rozszerzyły, ale nie próbowała zabrać ręki. Na jej policzki wypłynął lekki rumieniec. Brandon zastanawiał się, czy lady Westforth czuje to samo co on.

Pociągnął ją ku sobie. Zrobiła pół kroku. To wystarczyło, żeby mógł ją przygarnąć.

Głośno wciągnęła powietrze.

-Ja...

Wpił się w jej usta, wziął je w posiadanie, jakby nigdy wcześniej nie miał kobiety. Zawarł w tym żarliwym pocałunku cały swój gniew na osobę, która zniszczyła spokój jego brata, całą frustrację, całą namiętność, która tliła się w nim od chwili, kiedy zobaczył jej uśmiech.

Lady Westforth nie zrobiła nic, żeby go zniechęcić.

Przeciwnie. Wręcz stopniała w jego ramionach, rozchyliła usta. Brandon zapomniał o celu wizyty, o odpowiedzialności, o tym, kim naprawdę jest ta kobieta, i tylko ją całował. Jęknęła cicho. Ten gardłowy dźwięk go otrzeźwił.

Oderwał wargi od jej ust, ale nie wypuścił jej z objęć. Do diaska, co on wyprawia?! Lady Westforth oddychała szybko, jedną dłoń zaciskała kurczowo na klapie jego surduta, drugą na... talizmanie.

Ten widok całkiem go ostudził.

Brandon chwycił jej dłonie i odsunął je od siebie.

- To był tylko pocałunek. Dla pani zapewne jeden z tysięcy.

Lady Westforth poczerwieniała i cofnęła się o krok. Jej pierś falowała z oburzenia.

- Pan...

- Proszę dać spokój. Oboje wiemy, że nie jest pani naiwnym dziewczątkiem. Było przyjemnie, ale teraz... - Wzruszył ramionami.

Gospodyni wytarła usta wierzchem dłoni. Jej oczy płonęły.

- Myślałam, że gardzi pan „kobietami mojego pokroju”.

- Owszem. Proszę uważać pocałunek za nagrodę za ustępliwość. Wybacz pani, ale muszę już iść. Miłego dnia, lady Westforth. Sam znajdę drogę do drzwi.

Ukłonił się i opuścił pokój.

Chwilę później siedział w swoim powozie i kazał stangretowi popędzać konie. Czuł się zdezorientowany, jakby wrócił z bardzo dalekiej podróży. Zastanawiał się, co go opętało.

Jednego był pewien: że dobił targu za pięć tysięcy funtów.

Dwadzieścia minut później Verena trzymała w palcach nowy czek, w zamyśleniu patrząc na podpis. Brandon St.

John. Jeszcze wczoraj niewiele o nim wiedziała, oprócz tego, że jest uważany za pogromcę serc mężatek z wyższych sfer i mistrza w sztuce uwodzenia.

Teraz rozumiała, jak zyskał tę reputację. Przy nim kobieta czuła się wyjątkowa, jedyna. Z jego ust, z błyszczących oczu, z rozgrzanej skóry wręcz emanowała zmysłowość. W jednej chwili rozmawiali, a w następnej... Zamknęła oczy, wspominając dotyk jego gorących warg. To nie był pocałunek, tylko piętnowanie ogniem.

Wzięła głęboki oddech i wypuściła powietrze. Spojrzała na wnętrze dłoni, gdzie osławiony talizman St. Johnów odcisnął znak. Ślad już zniknął, ale miejsce nadal było ciepłe i wrażliwe. Verena zwinęła rękę w pięść.

W tym momencie do pokoju wszedł James. W jego brązowych oczach paliły się iskry ciekawości.

- Herberts mi powiedział, że miałaś rano gościa.

Verena skinęła głową.

- Brandona St. Johna.

- Czego chciał?

- Przekupić mnie.

James zmarszczył brwi.

- Nie rozumiem.

- Jego brat, Chase St. John, za bardzo się mną zainteresował. Brandon St. John nie wiedział, że odprawiłam go dwa dni temu.

- No! - James podszedł do okna i odchylił zasłonę. - Herberts wspomniał, że ten człowiek ma piękne konie i drogi płaszcz.

- Jest bardzo bogaty. Właśnie dlatego złożył mi propozycję.

Oczy brata rozbłysły.

- Ile ci zaproponował?

Verena uniosła w górę czek.

- Pięć tysięcy funtów.

James puścił zasłonę i wytrzeszczył oczy.

- Pięć... Dobry Boże! To prawdziwa fortuna, a ja... - Dostrzegłszy minę siostry, jęknął. - Nie zamierzasz jej przyjąć. Tylko nie mów ani słowa! Dlaczego, och, dlaczego jego brat nie zakochał się we mnie zamiast w tobie? Chętnie wziąłbym pieniądze i...

- Nie tknęłabym ich nawet kijem. Nie rozumiesz? Gdybym przyjęła czek, pokazałabym, że można mnie kupić. A jestem warta więcej niż pięć tysięcy funtów.

James jęknął znowu i ukrył twarz w dłoniach.

Verena musiała się uśmiechnąć.

- Myślisz, że jestem stuknięta.

Brat opuścił ręce i skrzywił usta w cierpkim uśmiechu.

- Nie. Tylko za uczciwa jak na członka rodziny Lansdowne.

- To nieprawda. Chciałabym zatrzymać pieniądze. Naprawdę. Tylko że... - Rozłożyła ręce w bezradnym geście. - Nie mogę.

- Pycha - skwitował James, ze smutkiem potrząsając głową. - To grzech, wiesz. Jeden z siedmiu głównych.

- Jeśli chcesz dowiedzieć się czegoś o pysze, zapytaj St. Johnów. Moja jest niczym w porównaniu z ich magnacką dumą.

- Trudno mi w to uwierzyć. - Gdy siostra spiorunowała go wzrokiem, uśmiechnął się szeroko. - Tylko mnie nie zjedź! Dobrze wiesz, że jedynie się z tobą drażnię. Gdyby nie to, że obiecałaś zdobyć pieniądze przy zielonym stoliku, byłbym teraz wściekły. - Podeszedł do niej, objął ją ramieniem i pocałował w czoło, a następnie opadł na krzesło. - Więc przestań rzucać groźne spojrzenia i opowiedz mi o Brandonie St. Johnie. Naprawdę jest taki wspaniały, jak mówią?

Wspaniały? Brandon St. John był zbyt przystojny, żeby mogła zachować spokój umysłu. Odchrząknęła.

- Dość wysoki, czarne gęste włosy i bardzo niebieskie oczy. - I potrafi całować do utraty tchu.

James zmrużył oczy.

- I?

- Co? - Jej policzki nagle zrobiły się gorące. - To wszystko.

- Hm. - Brat przeszył ją wzrokiem. - Rozumiem. Co zamierzasz zrobić z tym czekiem, skoro nie chcesz go wykorzystać?

Verena zastanawiała się przez chwilę.

- Może oprawię go w ramki i postawię na widocznym miejscu. - Przecięła pokój i włożyła czek za róg lustra, które wisiało nad kominkiem. - Na przykład tutaj. Żeby każdy, kto wchodzi, od razu go zauważył.

- Nie zrobisz tego!

- Albo... - Przeszła do frontowego okna. - Powieszę go tutaj, żeby słońce oświetlało podpis. Poza tym byłoby go widać z ulicy.

- Wywołasz skandal.

Verena wzruszyła ramionami.

- I co z tego? Nie należę do towarzystwa, więc co mnie to obchodzi?

- Ale Brandon St. John należy. Chcesz go upokorzyć.

- Chcę dać mu nauczkę. Bardzo jej potrzebuje.

James roześmiał się niechętnie.

- Rany, Ver! Zaczynam żałować tego człowieka.

- I dobrze, bo zamierzam rzucić go na kolana. - Rzeczywiście miły obraz. Brandon St. John błagający ją na klęczkach, żeby... Właśnie, o co? Żeby znowu go pocałowała? - Hm. Może wydać kolację na jego cześć? Byłoby zabawnie, gdyby parę osób usłyszało historijkę o jego dzisiejszej wizycie.

James uśmiechnął się szeroko.

- Nie powinnaś drażnić St. Johna, bo ściągniesz na siebie gniew całej rodziny.

- Już ściągnęłam. Ale to...

Pomachała czekiem i uśmiechnęła się na myśl o minie Brandona St. Johna, kiedy odkryje, że został ośmieszony.

W półświatku zawsze było parę osób przyjmowanych w towarzystwie. Gdyby zaprosiła właściwych ludzi, historia szybko by się rozniosła.

- Tradycyjna kolacja u mnie przypada w następny wtorek. Zaproszę dziesięciu albo dwunastu gości. Bardzo gadatliwych gości.

- Plotkarska ucztą - skomentował James, mierząc ją wzrokiem. - Czy St. John przypadkiem nie zrobił czegoś, co wzburzyło cię bardziej niż jego oferta finansowa. Zdaje się, że bardzo zależy ci na zemście. Jak osobie wzgardzonej.

- Nigdy w życiu nie zostałam wzgardzona. - Co najwyżej uznana za kobietę „tego pokroju”.

James uniósł brwi.

- Pamiętasz, jak w wieku dziesięciu lat myślałaś, że to ja ukradłem ci nowe buty? Weszłaś po kryjomu do mojego pokoju i wszystkie moje buty przykleiłaś do podłogi.

- To było lata temu - odparła Verena.

Od tamtej pory zrobiła postępy. Teraz jej zemsta będzie bardziej wyrafinowana.

- Chcesz świeższych przykładów? A ten dzień przed ślubem z Westforthem? Oskarżyłaś mnie, że ukradłem ci dwie drogie butelki wina, które oszczędzałaś na...

- To nie było wino, tylko porto. I ukradłeś je. Znalazłam puste butelki w twoim pokoju.

- Zemściłaś się okrutnie.

Siostra się uśmiechnęła.

- Mrówki. - To był jeden z lepszych dni w jej życiu.

James nie odpowiedział uśmiechem.

- One gryzą, wiesz.

- Nieprawda! W każdym razie nie ten gatunek. - Verena zachichotała. - Szkoda, że siebie nie widziałeś! Biegłeś przez kościelny dziedziniec i zrywałeś z siebie spodnie na oczach lady Birlington. Krzyczała tak, że obudziłaby zmarłego, ale zauważyłam, że nie odwróciła wzroku.

Brat uśmiechnął się z przymusem.

- Nadal do mnie pisze.

- Nie jestem zaskoczona. Myślałam, że wskoczy za tobą do stawu.

- Mogłem utonąć.

- Musiałbyś usiąść. Był taki płytki, że bardziej przypominał kałużę.

James westchnął.

- Ojciec miał nadzieję, że Andrew poskromi twoje poczucie humoru.

- Nie poskromił. Wręcz przeciwnie. - Verena położyła czek na półce nad kominkiem. - Ciekawe, czy St. John mnie odwiedzi, kiedy dotrze do niego kolejna wersja opowieści o słynnej wizycie? Mam nadzieję, że tak.

Brat spojrział na nią ze zdziwieniem.

- Teraz mówisz tak, jakbyś go lubiła.

Bzdura! Wcale nie lubiła Brandona St. Johna. Zwłaszcza po tym, jak ją pocałował...

No cóż, akurat to było całkiem miłe. Ale nie podobał się jej sposób, w jaki ją traktował wcześniej.

- Jest arogancki i niegrzeczny. Tylko jego troska o brata zasługuje na podziw. - Tak. Ocena zabrzmiała sprawiedliwie. Verena była z siebie dumna.

- Może. Nie należę do ludzi, którzy wyobrażają sobie różne złe rzeczy, ale byłoby wskazane, żebyś postępowała ostrożnie. Ze wszystkich St. Johnów Brandon jest uwa-

żany za najgroźniejszego. Zmienia kobiety tak jak inni mężczyźni krawaty.

- Będę uważała, żeby nie zawiązał mnie wokół szyi.

- Ver, ja nie żartuję. On jest bardziej niebezpieczny, niż przypuszczasz.

- Umieć sobie z nim poradzić. - Verena uniosła brodę. - W tej potyczce lepiej niech trzyma się ode mnie w stosownej odległości.

- A jeśli nie będzie?

Lady Westforth wzięła do ręki czek i pomachała nim w powietrzu, uśmiechając się słodko.

- Wtedy go zrealizuję i pan St. John zbiednieje o pięć tysięcy funtów. W ten sposób wygram nie tylko bitwę, ale całą wojnę.

5

Gorsza od kobiety, która płacze, jest taka, która się śmieje.

Diuk Wexford do wicehrabiego Hunterstona, sącząc porto w bibliotece na przyjęciu u Dashwoodów.

Po kilkugodzinnym deszczu Londyn był mokry i wyraźnie chłodniejszy. Brandon szybko posłał lady Westforth obiecany czek i wmówił sobie, że jest z tego zadowolony. Teraz musiał jedynie napisać krótki list do Marcusa, że sprawa jest załatwiona.

Tymczasem wrócił do swoich zwykłych zajęć. Albo raczej próbował. U Jacksona spotkał najmłodszego brata. Jego pilna podróż jakimś dziwnym trafem okazała się niepotrzebna. W sali gimnastycznej spędzili resztę popołudnia. Stoczyli przyjazny pojedynek bokserski, po którym Devonowi została na pamiątkę rozcięta warga, a Brandonowi siniak na policzku.

Byłoby przesadą stwierdzenie, że przez cały wieczór wspominał lady Westforth. W rzeczywistości były długie okresy, kiedy nie myślał o niej w ogóle, raz nawet całą godzinę. Ale ich krótka poranna rozmowa skłoniła go do refleksji, że podziwiane przez wszystkich piękności są bezbarwne, całkowicie pozbawione poczucia humoru i zupełnie niepodobne do rozkosznej wdowy.

Żadna nie miała dość dowcipu, żeby przyprawić go choćby o uśmiech. I żadna nie rzuciła mu wyzwania ani nie groziła, co uznał za nudne. Przytąpywał się również na tym, że zadaje sobie pytanie, co powiedziałyby lady Westforth, gdyby zaskoczył ją wizytą. Ta myśl nie dawała mu spokoju, aż musiał upomnieć się surowo, że tego rodzaju kobietę można kupić za pięć tysięcy funtów.

Nie żeby pięć tysięcy było małą kwotą. Może lady Westforth znalazła się w sytuacji, która zmusiła ją do przyjęcia pieniędzy. Zastanawiał się nad tym przez jakiś czas, wymyślając różne możliwości, coraz bardziej nieprawdopodobne.

W wielu pojawiały się sieroty i dobrzy, ale biedni ludzie, którym trzeba było opłacić lekarza. Gdy tylko uświadomił sobie, co robi, okiełznał niesforną wyobraźnię i nie pozwolił jej dłużej zbaczać na manowce.

Lady Westforth należała do tego rodzaju kobiet, których zawsze unikał. Impertynencka i niebogata, sądząc po służbie, właściwie bankrutka. Na pewno bez skrupułów próbowała złapać w pułapkę bogatego mężczyznę.

Mimo to nie mógł nie przyznać, że jest w niej coś niepokojącego. Tak go intrygowała, że nie mógł myśleć o niczym innym.

Ale już dawno sobie przyrzekł, że nigdy nie dopuści do głębszego zaangażowania. Z tym nastawieniem wyruszył do White'a, żeby poczekać tam na swojego przyjaciela. O w pół do dziesiątej zrozumiał, że Roger nie przyjdzie. Wcale się nie zdziwił, że Wycham najpierw przysłał alarmującą wiadomość, a potem się nie zjawił. Dla niego każda sprawa była pilna.

Ale czekanie znecierpliwilo Brandona bardziej niż zwykle. Z wolna narastała w nim irytacja, szczęki rozbołały go od zaciskania, zaczęło kłuć go w sercu. Przed laty,

po kupnie majątku i doprowadzeniu go do dawnej świetności, zaznał takiego samego uczucia pustki. Czym prędzej wrócił do Londynu, gotowy na nowe wyzwania. Ale coś się zmieniło. Dawne rozrywki straciły na atrakcyjności. Podobnie jak towarzystwo starych przyjaciół i kompanów. Mimo młodego wieku czuł się dojrzałym mężczyzną, gdy na nich patrzył. Jego życie, kiedyś pełne zabawy, teraz stało się nudne i nic nie mógł na to poradzić.

Chyba że wdałby się w nierozsądny romans z fiołkowoową pięknoscią, która mogła stanowić twardy orzech do zgryzienia...

Nie. Nigdy. Dobrze znał koniec takich związków. Potarł szczękę. Musiał wyjechać z Londynu. Uciec daleko od lady Westforth.

Kazał Poole'owi spakować rzeczy i wybrał się na weekend do siostry mieszkającej niedaleko Bath. Tam bawił się z małym siostrzeńcem i zwiedzał nowe skrzydło domu, podziwiając razem ze szwagrem wprowadzone przez niego udoskonalenia.

Po trzech dniach stwierdził, że nie zniesie dłużej atmosfery małżeńskiego szczęścia, przeprosił Sarę i wyjechał. Uczucie niepokoju wróciło z całą siłą. Kiedy wieczorem dotarł do Londynu, czekał na niego liścik od Marcusa z prośbą o spotkanie u Almacka dokładnie o jedenastej, kiedy zamykano klub.

Wszedłszy do sali, rozejrzał się za bratem. Po drodze minął grupę czterech czy pięciu starszych kobiet. W pierwszej chwili nawet ich nie zauważył, bo przyzwyczajony utartym zwyczajem trzymały się blisko drzwi, żeby widzieć, kto wchodzi, i komentować stroje.

Potem jednak spostrzegł, że matrony patrzą na niego. Jedną podchwyciła jego wzrok i zaczerwieniła się mocno, jednocześnie zasłaniając ręką usta, jakby chciała stłumić chichot.

Brandon zerknął na swoje nienagannie wyprasowane spodnie i surdut, po czym wzruszył ramionami. Głupie plotkarki. Znowu powiódł wzrokiem po sali. Gdzie on do diabła jest?... A, tam! Marcus stał w najdalszym końcu pomieszczenia, z ramionami skrzyżowanymi na piersi, i obserwował taniec z miną człowieka czekającego na egzekucję.

Brand ruszył w jego stronę.

- Dobrze się bawisz?

Marcus się nie uśmiechnął.

- Zastanawiałem się, kiedy wrócisz.

- Bawiłem na wsi, ale utwierdziłem się w przekonaniu, że nie jestem w stanie znieść więcej niż trzech dni w towarzystwie naszego szwagra.

Brat zmienił temat.

- Widziałem wczoraj twojego przyjaciela.

- Tak?

- Szkolnego kolegę, wicehrabiego Wychama.

- Umówiłem się z nim, zanim wyjechałem do Bath, ale nie przyszedł na spotkanie. Ostatnio, kiedy go widziałem, groziło mu więzienie za długi. Pewnie nakłonił ojca, żeby za niego poręczył.

Na twarzy Marcusa odmalowała się dezaprobata.

- Jest trochę za stary, żeby zachowywać się jak żółtodziób, nie sądzisz?

- Tak, ale stary hrabia zepsuł jedynaka. Roger mówił, gdzie się zatrzymał?

- Nie rozmawiałem z nim. Wracalem z doków do domu po rozmowie z nowym kapitanem, którego właśnie zatrudniliśmy. Zobaczyłem Wychama w drzwiach tawerny przy East Side. - Marcus zmarszczył brwi. - Gdy tylko dostrzegł herb na moim powozie, cofnął się do gospody. Ciekawe, co tam robił?

- Kto wie? Roger zawsze chodzi swoimi drogami. -

Brandon zerknął na brata. - Dziwię się, że tu jesteś. Sądziłem, że skreśliłeś Almacka z powodu nieświeżego ciasta.

- Ciotka Delphi przysłała do nas z wizytą i oznajmiła, że koniecznie chce się zobaczyć z paroma przyjaciółkami.

- Marcus rzucił spojrzenie na stół z przekąskami. - Zdaje się, że widzę te same kawałki ciasta co ostatnio, czyli cztery miesiące temu. - Przeniósł oczy z powrotem na brata. - Dostałeś mój list?

- Oczywiście. Przypuszczam, że Chase wrócił i nie jest szczęśliwy.

- Istotnie wrócił, ale jeśli chodzi o jego nastrój... - Marcus przez chwilę mierzył go wzrokiem. - Chyba zapomniałem cię spytać o szczegóły wizyty u lady Westforth.

W głowie Branda odezwał się cichy ostrzegawczy głos.

- Szczegóły? Jakie szczegóły?

- Nie wiem. Czy gospodyni była rozgniewana, kiedy wychodziłeś?

Brandon zmarszczył brwi. O co chodzi?

- Rozgniewana? Nie. Oczywiście nie wyglądała na zachwyconą, ale przystała na moje warunki. Właściwie na koniec zdawała się triumfować.

- Hm. Więc uważasz, że rozmowa przebiegła dobrze.

- Doskonale. Dlaczego pytasz? Czy ona i Chase nadal...

- Nie. Nic podobnego.

Brand uświadomił sobie, że dłonie ma zaciśnięte w pięści. Teraz je rozluźnił.

- To świetnie.

- Dziwne, ale kiedy poinformowałem Chase'a, że lady Westforth już nie będzie sprawiać mu kłopotu, zareagował bardzo dziwnie. - Marcus pokręcił głową. - Wybuchnął śmiechem. I śmiał się bardzo długo. Podobno nasza wdowa odprawiła go dwa dni przed twoją wizytą.

Do diaska! Wystrychnęła go na dudka. Lecz mimo iry-

tacji Brandon musiał przyznać, że żywi dla niej pewien podziw.

Marcus zmrużył oczy.

- Domyślam się, że nie raczyła cię poinformować o tym fakcie.

- Istotnie.

- Nie wspomniałaś, ile jej zapłaciłaś.

Gdy Brandon mileżał, brat przeszył go wzrokiem.

- Pięć tysięcy funtów.

- Pięć... Nigdy wcześniej nie musieliśmy dawać więcej niż trzy. Co się stało?

- Była bardzo przekonująca. Bardzo. - Nic dziwnego, że pożegnała go w takim świetnym humorze. Prawie go oskubała. Co gorsza, sam długo ją namawiał na większą kwotę. - Mała spryciara.

- O, nie poprzestała na dobieciu targu. Właśnie dlatego chciałem poznać twoją wersję spotkania.

- Moją? - Brandon zamrugał. - Więc słyszałaś... jej wersję?

- Zauważyłaś, że ludzie się na ciebie gapią?

Brand już chciał odpowiedzieć, że nie, ale przypomniał sobie kobiety stojące przy drzwiach. Zerknął w ich stronę i zobaczył, że nadal coś szepeczą i chichoczą, zasłaniając usta dłońmi w rękawiczkach.

Po prawdzie, kiedy rozejrzał się po sali balowej, spostrzegł, że wiele osób patrzy na niego z rozbawieniem na twarzach.

- Psiakość!

Marcus pokiwał głową, ale w jego oczach też czaił się uśmiech.

- Wkrótce po twojej wizycie lady Westforth wydała małe przyjęcie i uraczyła gości opowieścią o tym, jak próbowałaś ją przekupić, żeby zrobiła coś, co sama już wcześniej postanowiła. - Brat uśmiechnął się otwarcie. -

Jedyna dobra rzecz w tej całej historii, to ta, że nie zreali-zowała czeka.

Serce Brandona zaczęło się w nim burzyć.

- Nie...

Dlaczego w takim razie go przyjęła? Czyżby od począt-ku zamierzała ośmieszyć jednego z St. Johnów? Był wściekły, ale jednocześnie czuł ulgę. Zgodziła się wziąć pieniądze tylko po to, żeby z niego zadrwić.

- Chase ostrzegwał, że lady Westforth różni się od jego zwykłych zdobyczy - rzekł Marcus po długiej chwili milczenia. - Jestem skłonny przyznać mu rację, jeśli w plotkach krążących o jej przyjęciu tkwi ziarno prawdy.

- Co się wydarzyło?

- Gospodyni przygotowała bardzo ciekawą aranżację kwiatową. Jej główną ozdobę stanowił czek, złożony tak, że wyglądał jak zaba. Twoje nazwisko było oczywiście widoczne.

Brandon zobaczył pokój pełen gości chłonących każde słowo opowieści lady Westforth. Niemal słyszał jej rozbawiony głos, widział wesołe iskierki w fiołkowych oczach.

- Ile osób wie?

- Wszyscy. W mieście tylko o tym się mówi. - Marcus obrzucił go posępnym spojrzeniem. - Naprawdę ją pocałowałaś i oświadczyłaś, że to dodatkowa nagroda?

Brandona zaczęły piec uszy.

- A to lisa!

- Hm. - Brat popatrzył na niego chłodno.

- Gdzie Chase?

- W swoim mieszkaniu. Wiesz, myślę, że naprawdę za-leżało mu na lady Westforth. Choć się roześmiał, kiedy mu opowiedziałem, jak rozwiązaliśmy jego mały kłopot, był moment, że wyglądał, jakby cierpiał.

Brand pokiwał głową.

- Jeszcze dziś wybiorę się do lady Westforth i...

- Znowu skradniesz pocałunek. Nie bądź głupcem. Unikaj tej kobiety jak ognia. Przynajmniej do czasu, aż cała historia przycichnie.

- Nie mogę obserwować beczynnice...

- Nie masz wyboru. Poczekaj cierpliwie. Wkrótce nikt nie będzie pamiętał o incydencie.

Brand zacisnął pięści. Do licha, jak tu udawać, że nic się nie stało, skoro całe towarzystwo wyśmiewa się za jego plecami? To nie do zniesienia. Do diabła z tą kobietą! I do diabła z nim! Jak mógł tak głupio się zachować? Całując ją, dał kolejny powód do drwin.

Wolno wypuścił powietrze z płuc. Marcus miał rację. Będzie z daleka omijał piękną wdowę. Na razie. Ale kiedy wszyscy zapomną o sprawie, on się zemści.

I nikt nie zdoła pomóc lady Westforth.

Przez cały kolejny tydzień Brandon musiał wysłuchiwać szeptów za plecami, a później frywolnych komentarzy osób, które znały go na tyle dobrze, żeby się z nim drażnić. Najgorsi okazali się bracia, zwłaszcza Chase.

Brandon znosił wszystko z uprzejmym, wymuszonym uśmiechem, a jednocześnie obmyślał zemstę na lady Westforth. Już nie mógł się doczekać ich następnego spotkania. Z przyjemnością wyobrażał sobie, jak utrze jej nosa.

Lecz to nie plotki mu doskwierały. Nie miał nic przeciwko temu, żeby stanowić temat rozmów. Jako St. John zawsze znajdował się w centrum uwagi. Nieznośne było to, że po raz pierwszy w życiu obsadzono go w roli komediowej, a właściwie farsowej. Na szczęście niebawem, tak jak przewidział Marcus, uwaga towarzystwa skierowała się na kogoś innego, głównie na sir Royce'a Pember-

ly'ego i pannę Elizabeth Pritchard. Ich ślub uważano za wydarzenie sezonu, jako że pan młody uchodził za ekscentryka.

Panna Pritchard nie rozczarowała plotkarzy. Sama tak dobrała kolory sukni, butów, rękawiczek, biżuterii i kwiatów, że wyglądała jak tęcza, a jej małżonka, która niosła obrączki, skacząc przejściem między ławkami, nie spodobała się nieznośny mops lady Burlington.

Dwa zwierzaki popatrzyły na siebie raz, warknęły, zaskrzecały i spotkały się w powietrzu. Panna Pritchard zadarła spódnicę i popędziła na ratunek swojej pupilce. Zanim dobiegła na miejsce walki, wysadzana diamentami obroża mopsa była zerwana, niebiesko-pomarańczowe ubranko małpy podarte na strzępy. Na szczęście w tej konfrontacji ucierpiał tylko wygląd obojga.

Po ślubie Brand został na poczęstunek, a następnie wybrał się na bal do lady Shelbourne. Siostra sir Pemberly'ego lubiła duże przyjęcia i zadbała o to, żeby goście mieli wszystko, co najlepsze. Nawet Marcus nie mógł się skarżyć na jakość serwowanych potraw czy też umiejętności orkiestry.

Brandon wrócił do domu nad ranem. W holu przywitał go Poole z zatroskaną miną.

- Ktoś do pana przyszedł, sir.

Nie wiedzieć czemu Brand natychmiast pomyślał o lady Westforth.

- Kobieta?

Kamerdyner potrząsnął głową.

- Nie, sir. Lord Wycham.

Brandon doznał rozczarowania.

- Od dawna czeka?

- Parę godzin, sir. Mówiłem mu, że pana nie ma, ale uparł się, żeby zaczekać. Coś jest bardzo nie w porządku, jeśli mogę wyrazić swoje zdanie.

Brand zerknął przez otwarte drzwi na czerwony fotel stojący przed kominkiem. Ponieważ miał on wysokie oparcie, zobaczył tylko pająkowane nogi w granatowych spodniach.

Stolik zdobiły puste butelki i liczne przewrócone szklanki, świadectwo tego, jak przyjaciel spędził ostatnie godziny.

- Dobrze zrobiłeś, Poole. Przynies herbatę i tost.

- Już się robi, milordzie.

- Nie, do diabła! - dobiegł z fotela zachrypnięty głos, a nogi poruszyły się, jakby ich właściciel próbował usiąść prosto, ale nie zdołał. - Nie chcę żadnego tostu. Ani herbaty. Jadłem papki, kiedy byłem dzieckiem i, na Boga, nie zamierzam ich więcej tknąć.

A, Roger był w jednym ze swoich podłych nastrojów. Brand uśmiechnął się do siebie, odprawił służącego gestem ręki i wszedł do pokoju. Gdy zbliżył się do fotela i zobaczył twarz Wychama, natychmiast spowaźniał. Chodziło o coś więcej niż o zwykłe przygnębienie.

- Wielkie nieba, co się stało?

Rysy wicehrabiego stężały. Jego krawat był przekrzywiony, koszula rozchełstana, a włosy tak potargane, że po obu stronach głowy sterczały mu dwa kosmyki niczym rogi, co osobliwie kontrastowało z anielską twarzą.

- Powiesz mi, Brand.

- Jesteś pijany.

- Pijany. - Roger próbował się zaśmiać, lecz głos mu się załamał. - Dobrze sobie! Owszem za dużo wypłem, ale to drobiazg. Gorzej narozrabiałem i jeśli mi nie pomożesz, nie wiem, co zrobić.

- Chętnie ci pomogę w dowolny sposób.

Wycham trochę się uspokoił.

- Wiedziałem, że tak powiesz. Chodzi o lady Westforth.

Brandon zesztyniał.

- Znasz ją?

- Tak. Ponad miesiąc temu byłem u niej na kolacji. Verena wydaje je w pierwsze wtorki miesiąca.

Brand zacisnął szczęki. Roger mówił jej po imieniu. Jak dobrze ją znał?

- Przypuszczam, że uraczyła cię opowieścią o mnie. - Uśmiech kosztował go dużo wysiłku.

- O tobie? A, czek. - Wycham machnął ręką. - Nie, to było wcześniej, zanim ją poznałeś. Poszedłem do niej na kolację, żeby spotkać się z Humfordem.

Humford, zubożały par, prowadził jakieś interesy związane z żegluga i słynął z zamiłowania do plotek. Gdy był wstawiony, przechwalał się kontaktami w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Kiedyś uciekł na kontynent z powodu długów. Był dokładnie takim typem człowieka, jakiego Brandon spodziewałby się zobaczyć u Vereny.

- Zadajesz się z plebejuszami?

Wicehrabia poczerwieniał.

- Wiem, że Verena napsuła ci krwi, ale ona nie jest taka, jak myślisz...

- Nie masz pojęcia, co myślę.

- Wiem, jak ją potraktowałeś, kiedy sądziłeś, że Chase jest w niej zakochany. Sam widziałem czek. - Roger jeszcze bardziej się zmieszał pod twardym spojrzeniem Branda. - Tylko mnie wysłuchaj. Nie znasz Vereny i...

- Mów dalej, ale i tak się nie zgodzimy w tej kwestii.

Wycham przez chwilę milczał, po czym westchnął.

- Dobrze. Dzień przed tamtą kolacją wpadłem u White'a na Humforda. Słyszał, że wybieram się do Devonshire, i spytał, czy mógłbym wziąć ze sobą pewną przesyłkę, jakąś listę. Oczywiście się zgodziłem.

- Tak po prostu? Bez zadawania pytań?

- Wydawało mi się, że to niewinna prośba. - Roger

przesunął drżącą dłońią po twarzy. - Obaj byliśmy zaproszeni do Vereny na kolację, więc tam się umówiliśmy. Oczekiwałem, że poda mi jakieś szczegóły, ale zanim dotarłem do Westforth House, on już wyszedł.

Brand zmarszczył czoło.

- Wyszedł?

- Verena powiedziała, że nagle zbladł i zaczął przesu-kiwać kieszenie, jakby coś zgubił. Pożegnał się dwadzieścia minut przed moim przyjściem.

- Słyszałem, że wkrótce potem wyjechał z kraju.

- Nie. Niedługo po jego wyjściu od Vereny ktoś go za-bił - powiedział Wycham zdławionym głosem. - Znaleźli ciało w Tamizie. Był uduszony, język...

- Do diabła! To poważna sprawa.

Roger pokiwał głową. Twarz miał blada, na czole lśniły kropelki potu.

- Zostawił w biurku notatki, w których wymienia mo-je nazwisko. Myśla, że ja mam listę, ale przysięgam, że mi jej nie dał, a gdybym wiedział...

- Zaczekaj! Kto tak myśli?

Przyjaciel wziął drżący oddech.

- W ministerstwie. A ta lista jest warta fortunę. - Ro-ger głośno przełknął ślinę. - Możliwe, że to zaszyfrowa-na wiadomość, bardzo ważna.

Brandon usiadł w fotelu naprzeciwko wicehrabiego.

- Skoro jest taka ważna, dlaczego Humford miałby ci ją dawać?

- Nie wiem. Po prostu zobaczyłem się z nim u White'a, a on poprosił mnie o przysługę. Uznałem, że to żaden kłopot. Zresztą nigdy nie wierzyłem w jego opowieści.

- Dobrze go znałeś?

- Od wieków, choć nigdy nie byliśmy blisko. Jego oj-ciec i mój przyjaźnili się od dzieciństwa.

- Mimo wszystko to dziwne, że zwrócił się do ciebie o pomoc.

- Boże, nie musisz mi tego mówić. Sam tysiąc razy za-dawałem sobie pytanie, dlaczego to zrobił, ale znalazłem tylko jedno wyjaśnienie: wpadł w kłopoty, akurat ja się napatoczyłem, a wiedział, że może mi zaufać.

- Mówił coś jeszcze, kiedy cię prosił, żebyś spotkał się z nim u lady Westforth? Coś ważnego?

- Nie. Wydawał się roztargniony. Zdenerwowany. - Ro-ger poprawił się w fotelu. - Wtedy nie zwróciłem szcze-gólnej uwagi na jego dziwne zachowanie.

Brand zmarszczył czoło. Coś się nie zgadzało w tej hi-storii. Ale co?

- Ta kolacja, z której Humford wyszedł... Kto jeszcze na niej był?

- Lady Jessup, państwo Kemble, Oglethorpe-Whi-te'owie z córką Annę i...

- Nie zapomnij o uroczej lady Westforth.

- Vereny w to nie mieszaj.

- Kto jeszcze?

Wycham wytarł czoło drżącą ręką.

- Nie wiem. Nie pamiętam.

- Później, kiedy będziesz myślał jaśniej, dasz mi listę osób biorących udział w przyjęciu. Wszystkich, rozumiesz?

- Tak. To koszmar. Nie wiedziałem o śmierci Humfor-da aż do następnego dnia. Gdy się do niego wybrałem, w mieszkaniu już czekali dwaj ludzie, zupełnie jakby wie-dzieli, że przyjdę. Powiedzieli mi, co się stało, a potem... - Roger szarpnął krawat, wzrok miał dziki. - To było strasz-ne. Przesłuchiwali mnie jak kryminalistę.

Brand rzucił mu posępne spojrzenie.

- Cokolwiek mówili, nie mogą powiesić cię za dostar-czenie jakiejś wiadomości.

- Nie muszą. Samo oskarżenie wywoła ogromny skandal, który wpędzi do grobu mojego ojca. Już okryłem go hańbą, zaciągając długi. Więcej nie zniesie.

Brand w zamyśleniu wygładził rękaw surduta. Roger miał rację. Ktoś powinien znaleźć tę przeklętą listę, i to szybko, żeby oszczędzić staremu hrabiemu wstydu publicznego śledztwa. W całą sprawę była w jakiś sposób zamieszana irytująca lady Westforth. Musiał ponownie złożyć jej wizytę, choćby po to, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o Humfordzie. Decyzja poprawiła mu humor i go uspokoiła.

- Jedź do Devonshire i zostań z ojcem, póki wszystko się nie wyjaśni - powiedział.

- Ministerstwo będzie mnie szukać.

- Nie mów nikomu, że wyjeżdżasz. Minie kilka dni, zanim się zorientują, że nie ma cię w mieście. Zyskamy na czasie, a ja postaram się odnaleźć zgubę.

- Myślisz, że ci się uda?

- Mam nadzieję. Ale najpierw chciałbym się dowiedzieć, czy Humford jeszcze komuś wspomniał o tej nieszczęśliwej liście?

Przyjaciel zbladł i uciekł wzrokiem.

- Ja... nie wiem. Nie sądzę...

- To ważne. Powiedział komuś jeszcze?

- Tak. Nie. To znaczy, nie jestem pewien, ale myślę... Zawsze lubił Verenę. Ona nigdy go nie zachęcała, ale był o niej bardzo dobrego zdania.

Brandon zacisnął szczęki.

- Tak myślałem.

Wychem dźwignął się z fotela. Twarz miał ściągniętą.

- Jeśli uważasz, że musisz porozmawiać z Vereną, pójdę z tobą i...

- Nie. Jeśli zostaniesz w mieście, mogą na wszelki wypadek cię aresztować. Jedź do Devonshire, a ja porozma-

wiam z lady Westforth. - Wstał i położył dłoń na ramieniu przyjaciela. - Zaufaj mi, Rogerze. Nie zawiodę cię.

Wichrabia zdobył się na słaby uśmiech.

- Oczywiście.

- Zaczekaj, aż postawią mój powóz. Powinieneś natychmiast wyjechać.

- Brand, nie wiem, jak ci dziękować...

- Nonsens. Już umierałem z nudów. Ty dałeś mi nowy cel.

Przy okazji spędzi trochę czasu z kobietą, która jak żadna inna zakłóciła jego spokój. Był pewien, że jeśli poobserwuje ją dłużej niż przez chwilę, dostrzeże wady, które wyleczą go z niezdrowej fascynacji.

- Ale nabałaganiałem - stwierdził Roger, trąc oczy ze zbolałą miną. - Zasługuję na stryczek.

Brand trącił go w ramię.

- Bez przesady. Raczej na chłostę.

- Ty... - Wychem umilkł i przełknął ślinę, jakby nie był pewien, czy mówić dalej. - Obiecaj, że nie skrzywdzisz Vereny.

Brandon zmarszczył brwi.

- Jakie właściwie stosunki łączą cię z lady Westforth?

- Poznałem ją rok temu i staliśmy się sobie bliscy, w pewnym sensie. O, to nigdy nie było nic poważnego, przynajmniej z jej strony. - Uśmiech Rogera zmienił się w grymas. - Nie jestem w jej typie, wiesz.

- A jaki jest jej typ? - Nie powinien zadawać tego pytania, ale ciekawość wzięła górę.

- Nie wiem - odparł Wychem w zamyśleniu. - Verena jest piekielnie niezależna i chce... właściwie nie mam pojęcia, czego ona chce. Na pewno nie mnie.

Z jakiegoś powodu Brandon uznał tę informację za bardzo interesującą. Wzruszył ramionami.

- Uwierz mi, że potraktuję lady Westforth tak, jak na to zasługuje. - I będzie się rozkoszował każdą sekundą.

Roger nie wyglądał na usatysfakcjonowanego tym zapewnieniem.

- Jeśli Verena jest wmieszana w tę sprawę, musi mieć dobry powód. - Wyciągnął rękę. - Daję ci dwa tygodnie, a potem wracam do Londynu.

Brand mocno uścisnął jego dłoń.

- Dobrze. Bądź spokojny.

Zamierzał nie tylko otrząsnąć się z uroku, jaki na niego rzuciła lady Westforth, ale również znaleźć listę Wychama.

A potem... Uśmiechnął się do siebie. Po raz pierwszy od dawna czuł, że żyje. Lady Westforth lepiej niech się strzeże.

6

Nie chodzi o to, że tyle przegrywam. Po prostu nienawidzę nie wygrywać.

Wicehrabia Hunterson do księżnej wdowy Roth, sumując straty poniesione przez siebie na dorocznym balu charytatywnym Rothów.

Verena zbliżyła się do lustra i poprawiła wysadzaną kamieniami spinkę, wpiętą we włosy.

- Doskonale. - James stał w drzwiach salonu i obserwował jej odbicie. - To nowa suknia?

- Nie. Mam ją od dwóch lat, ale krawcowa przerobiła dekolt. - Verena odwróciła się twarzą do brata.

James uniósł brwi.

- Wygląda tak, jakby części zapomniała doszyć.

- Nonsens. Taka jest moda.

Verena zauważyła, że jej brat prezentuje się dzisiaj wyjątkowo przystojnie. Czarny surdut leżał na nim idealnie, burgundowy odcień jedwabnej kamizelki sprawiał, że jego oczy wydawały się jeszcze ciemniejsze. Dzisiaj będzie łamał serca, pomyślała.

Nagle drzwi się otworzyły i do pokoju wsadził głowę Herberts.

- Znalazłem coś na ganku, milady.

- Co?

- Kamień. A pod nim liścik. - Kamerdyner wszedł do salonu i podał jej zmiętą karteczkę. - Adresowany do pana Lansdowne'a.

- Do diaska! - zaklął James i wziął brudny świstek od służącego.

- To wszystko, Herberts - rzekła Verena.

Kamerdyner wyraźnie ociągał się z wyjściem.

- Na pewno nie chce pani drinka przed...

- Nie. Dziękuję. Jesteś wolny.

Sługa niechętnie ruszył do drzwi.

- Mogę powiedzieć kucharce, żeby zaparzyła herbaty, jeśli pani...

- Nie. Wezwij powóz. Pan Lansdowne i ja wkrótce wyruszamy.

Herberts westchnął ciężko i w końcu opuścił pokój. Verena odwróciła się do brata.

- I co?

- To szantażyści. Nie żądają pieniędzy.

- Nie rozumiem. Więc czego chcą?

James bez słowa podał jej kartkę.

Lansdowne!

Znajdź listę.

Humford był tylko ostrzeżeniem.

Verena zmarszczyła brwi i spojrzała na brata.

- Jaką listę?

- Nie wiem. Kto to jest Humford?

- Lord Humford to par i znany pieczeniarsz, ale opowiada świetne historyjki. Albo raczej opowiadał. Ostatnio wyjechał na wieś z powodu długów.

James zerknął na świstek.

- Jesteś pewna? Bo sądząc po tym, co tu napisali... - Przygryzł wargę.

Verenę raptem ogarnął strach.

- Myślisz, że ktoś... nie, z pewnością nie! To znaczy, pomysłeliśmy sobie, że zniknął dość nagle, ale... - Przycisnęła dłoń do piersi. - Nie mogę uwierzyć, że ktoś skrzywdził lorda Humforda. Był zupełnie nieszkodliwym starszym człowiekiem.

- Może dla ciebie. Ale komuś mógł zagrażać. Musimy go znaleźć.

- W takim razie wybieramy się we właściwe miejsce. Był dobrze znany w Bramie Piekieł. - Verena ściągnęła brwi. - A właściwie co to za lista?

- Szantażyści najwyraźniej zakładają, że wiemy, o co chodzi.

- My?

- Przysłali żądanie do Westforth House, a nie do naszego hotelu. - James sposepniał. - Nie podoba mi się to wszystko.

- Cóż, bardzo się mylą, jeśli sądzą, że mamy pojęcie, o czym piszą. Chodź, bo się spóźnimy, a czeka nas ważne zadanie. Obiecuj mi tylko, że będziesz się dzisiaj grzecznie zachowywał.

Brat przywołał na twarz wyraz niewinności i zdziwienia.

- Nie zrobię nic, czego nie pochwaliby ojciec.

- O, nie! Chcę większej pewności. Ciężko pracowałam, żeby się tutaj urządzić, i nie pozwolę ci tego zniszczyć ściąganiem na nas zbytnej uwagi.

- Nie mam na ten wieczór innych planów, jak pomagać w twoim przedsięwzięciu, a poza tym znaleźć tego Humforda - oświadczył brat wyniosłym tonem.

- Nie potrzebuję twojej pomocy.

- Nie? Mogę odwrócić uwagę innych graczy. Na przykład zemdleję. Albo przewrócę wazę z ponczem. - James w zamyśleniu podrapał się po brodzie. - Wiem! Odszukam St. Johna i wyzwę go na pojedynek. To powinno wywołać poruszenie.

- Brandon St. John nie odwiedza przybytków hazardu.

Właściwie szkoda, pomyślała Verena, tłumiąc westchnienie. Jej plan nie całkiem się powiódł. Żałowała, że St. John nie wpadł w taką furję, żeby wtargnąć do jej domu, porwać ją w ramiona i za karę... pocałować.

Och, to dopiero byłoby coś. Do tej pory czuła jego objęcia. Cóż, jeszcze z nim nie skończyła. Wygladziła stanik sukni, podziwiając nowy naszyjnik iskrzący się w świetle lamp: misterny łańcuszek ze srebra, ozdobiony kawałkiem czeku z zamaszystym podpisem St. Johna.

James aż jęknął na jego widok.

- Postanowiłaś go rozwścieczyć, tak?

- Ten człowiek zasługuje na lekcję pokory, której prędko nie zapomni.

- Będzie szukał zemsty.

- Mam nadzieję.

Brat uniósł brwi.

- Ciekawe.

Verena wzruszyła ramionami.

- Oczywiście, że nie jestem zainteresowana Brandonem St. Johnem. Po prostu czuję silny przymus uświadomienia mu, że nie jestem kobietą, którą można lekceważyć.

James prychnął.

- Poza tym brakuje mi biżuterii, a ta była wyjątkowo tania - dodała siostra.

- Tania? Masz na sobie pięć tysięcy funtów.

- Niezupełnie. Lady Farnsworth poplamiła masłem pół czeku, więc musiałam oderwać tę część i ją wyrzucić.

- Tak się dzieje, gdy ktoś dekoruje stół cennymi rzeczami. - Brat z naganą potrząsnął głową. - Dobrze, że ojca tu nie ma. Dostałby apopleksji.

- Myślisz, że nie spodobałby mu się mój naszyjnik?

- Z pewnością. - James dotknął ciężkiego sznura pereł zdobiącego jej nadgarstek. - Przynajmniej masz coś naprawdę wartościowego. - Nagle uśmiech zniknął z jego twarzy. - Są fałszywe.

Verena zabrała rękę.

- Tak, ale bardzo dobrze zrobione.

James z niesmakiem wykrzywił usta.

- Nie musisz obywać się bez tego, co niezbędne.

Siostra wybuchnęła śmiechem.

- Tylko Lansdowne'owie uważają perły za niezbędną rzecz. Podobnie jak jedwabne suknie i pudding śliwkowy, co?

- Ależ oczywiście. - Brat wzruszył ramionami wdzięcznym gestem, zdradzającym pobyt na kontynencie. - Idziemy? Czekając na ciebie, poczułem pragnienie. Poza tym muszę się czegoś dowiedzieć o Humfordzie i jego związku z tajemniczą listą. Im szybciej załatwimy sprawę, tym lepiej, zwłaszcza że ciebie też w nią włączali.

Verena z uśmiechem wzięła brata pod ramię.

- Jestem gotowa.

Brama Piekieł była najnowszym ulubionym miejscem spotkań półświatka, dyskretnym domem gry prowadzonym przez lady Fariey, gadatliwą wdowę ze słabością do drogiego szampana i brylantów najwyższej jakości. Przybytek mieścił się przy małej, stylowej uliczce na obrzeżach modnej dzielnicy Londynu i wyglądał jak sąsiednie domy: trzypiętrowy, z kamienia, o dużych oknach. Tylko wnętrze było zupełnie inne.

W pokojach od frontu rozstawiono co najmniej dwadzieścia stolików nakrytych zielonym rypsem. Grano przy nich w monako, faraona i wista, czasami zdobywając fortuny, ale znacznie częściej je tracąc. Jedynym prawdziwym zwycięzcą była lady Farley, która w ciągu niecałych dwóch lat zgromadziła niezły majątek.

Tego wieczoru, tak jak we wszystkie inne, w pokojach lśniły jedwabie, spinki do krawatów i dewizki, iskrzyły się dziesiątki kieliszków z wyśmienitym szampanem, porto i brandy. Jednym słowem ta noc sprzyjała grzesznikom.

Gospodyni jak zawsze przechadzała się wśród gości, sprawdzając, czy napoje się nie skończyły, muzyka nie jest za głośna, a gracze są zadowoleni. W głównym salonie natychmiast dostrzegła wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę ubranego zgodnie z najnowszą modą. Uśmiechnęła się z satysfakcją.

Nie dość, że do jej skromnego przybytku zawitał St. John, to był nim sam Brandon, niekwestionowany król londyńskiej society.

Zwykle nie odwiedzał takich miejsc, zbyt świadomy własnej pozycji, żeby zaszczycać swoją obecnością ulubione lokale półświatka. Ale teraz siedział w jej salonie i grał w faraona.

Fanny próbowała ukryć triumf, ale zdradzały ją płonące policzki. Jeden z najbardziej pożądaných kawalerów w stolicy, znany z wybrednego gustu... Nie spodziewała się jego wizyty w najśmielszych marzeniach. Dyskretnie przywołała służącego.

- Jacobs, widzisz tego dżentelmena przy stoliku do faraona?

- Jest tam dwóch...

- Ten przystojny.

Lokaj zesztyniał.

- Przystojny? Nie potrafię...

- Ciemnowłosy. Ten po lewej.

- Tak, milady.

- Napełniaj mu kieliszek przez całą noc.

- Dobrze, milady.

- A jeśli będzie czegoś chciał... czegokolwiek... zadbaj, żeby to dostał.

- Wszystko, czego zażąda, milady?

- Tak.

- Dobrze, milady.

Jacobs uklonił się i oddalił. Wkrótce lady Farley zobaczyła, że sługa kręci się obok St. Johna.

Omam nie pękła z dumy.

Brandon dostrzegł na sobie wzrok gospodyni, ale celowo nie zwracał na nią uwagi. Przyszedł tutaj wyłącznie z jednego powodu. Chciał wytropić podstępna, aczkolwiek piękną lisczkę w jej norze.

Przy okazji stwierdził, że norka jest całkiem przyjemna. Słyszał o Bramie Piekieł, ale nigdy do tej pory jej nie odwiedził. W przeciwieństwie do Chase'a, który żył takimi niewybrednymi rozrywkami, Brand uważał je za nudne. Każdy głupiec potrafił liczyć karty. W młodości bracia nie chcieli z nim grać, bo nie bawiło ich przegrywanie każdej partii.

Pozwolił, żeby sługa napełnił mu kieliszek. Po spotkaniu z Wychamem całą noc spędził na rozmyślaniach. Ktoś ukradł tajemniczą listę Humfordowi, a potem go zabił. I w jakiś sposób w tę historię była zamieszana lady Westforth. Ale w jaki? Wiedziała o zabójstwie czy współdziałała z mordercą?

Pamiętał jej uśmiech, ciepły ton głosu. I to, że nie zrealizowała czeku na pięć tysięcy funtów. Nic tu się nie zgadzało.

Decyzję, co robić dalej, powziął szybko. Najpierw mu-

siał zdobyć zaufanie lady Westforth, a następnie pomóc Rogerowi wybrnąć z trudnej sytuacji. Przypuszczała, że udawanie wielbiciela będzie dość łatwe. Z tego, co słyszała, piękną wdowę otaczały roje adoratorów.

Z dołączeniem do jej dworu nie powinienem mieć kłopotów, uznał, sącząc porto. Kobiety takie jak lady Westforth oczekują zainteresowania. Wręcz go pragną, a on wykorzysta tę słabość we własnym celu.

Będzie chodził za nią krok w krok, adorował, znajdzie drogę do jej łóżka. Zanim tydzień dobiegnie końca, uroczą Verena podzieli się z nim wszystkim, co wie.

Brandon uśmiechnął się do siebie. Do licha, podnieciła go ta perspektywa. Oczywiście gdy już wdowę zdobędzie, emocje opadną, ale do tego czasu... Przez chwilę zastanawiał się nad jej związkiem ze śmiercią Humforda. Czy coś ukrywała? Zakręcił kieliszkiem i obserwował, jak trunek spływa po ściankach naczynia.

Biedny Wycham. Od czasów szkolnych wpadał z jednych tarapatów w drugie. Ciekawe, jak napytał sobie ostatnich kłopotów. To smutne, że nie miał do kogo zwrócić się o pomoc, aż wreszcie był zmuszony prosić o nią szkolnego kolegę. Brandon nie wyobrażał sobie życia bez rodziny, bez braci i siostry, którzy, choć niemożliwie wścibscy, troszczyli się o niego i zrobiliby wszystko, żeby go uszczęśliwić.

Mocniej zacisnął dłoń na kieliszku. Zrobi dla Rogera, co w jego mocy.

Nagle dostrzegł kątem oka jakiś ruch przy drzwiach. W progu stała lady Westforth, ubrana od stóp do głów w biel i srebro. Gdyby chodziło o inną kobietę, lśniący strój przyćmiłby jej urodę.

Natomiast Verena, której uśmiech zdawał się rozjaśniać cały pokój, wyglądała jak anioł.

Ale pozory oczywiście myliły. Jej gierki kosztowały go dużo nerwów, a Humforda, być może, życie.

Brandon wychylił resztę porto, zgarnął pieniądze i wstał. Musiał porozmawiać z lady Westforth sam na sam.

Wieczór zapowiadał się interesująco. Bardzo interesująco.

Londyn żyje skandalami. Podsyca je, pielęgnuje i ubarwia. Oczywiście ja nie niżam się do słuchania plotek.

Księżna wdowa Roth do sir Royce'a Pemberly'ego, spotkawszy tego przystojnego nicponia w parku w bardzo wilgotne popołudnie.

Brand odczekał, aż tłum, który otoczył Verenę, się rozstąpi, i dopiero wtedy stanął na linii jej wzroku. Najpierw dostrzegł lekkie zawahanie, potem delikatny rumieniec, a wreszcie hipnotyzujący uśmiech. Podniósł kieliszek w milczącym toaście.

W jej oczach odmalowało się zdziwienie, ale nie zakłopotanie. Nawet łaskawie skinęła mu głową. Spodziewał się raczej, że będzie go unikać. Nie wziął pod uwagę jej wrodzonej śmiałości. Wkrótce zostawiła grupkę znajomych i ruszyła w jego stronę.

- Miło pana widzieć, panie St. John. - W jej głosie po-brzmiewała źle skrywana wesołość.

W pokoju dominowały ciemne brązy i czerwienie, Verena w białej sukni skupiała więc na sobie całe światło. Brand nie mógł się nie uśmiechnąć. Wybór stroju był doskonały.

- Mnie również, lady Westforth.

Włosy miała zaplecione w warkocz i omotane wokół

głowy na kształt korony. Nie przestrzegała ślepo nakazów mody, tylko wybierała z niej to, w czym dobrze się czuła.

Brandon musiał przyznać, że wygląda świeżo i promiennie, przyćmiewa wszystkie kobiety obecne w pokoju. Opuścił wzrok na jej ramiona i dekolt sukni ozdobiony białymi różyczkami z gazy. Przesunął obojętnym spojrzeniem po srebrnym naszyjniku i... pospiesznie do niego wrócił oczami.

Verena dotknęła łańcuszka i zapytała z uśmiechem:

- Podoba się panu? Kazałam go zrobić w zeszłym tygodniu.

- Więc tak skończył mój czek.

- Niestety został z niego tylko podpis, bo resztę lady Farnsworth poplamiała masłem.

Zerknęła na niego spod rzęs i zaśmiała się cicho.

Powinien być zły, ale jedynie się ożywił. Na Boga, już od bardzo dawna tak się nie czuł.

- Jest pani niepoprawna - stwierdził.

- Tylko wtedy, gdy zostają do tego zmuszona.

- Przykro mi, jeśli pani uważa, że do czegokolwiek panią zmusiłem.

- Ha! Nigdy pan niczego nie żałuje, prawda?

- Nienawidzę przeprosin, więc uznajmy, że nic się nie stało.

Lady Westforth przekrzywiła głowę i zlustrowała go wzrokiem z udawaną powagą.

- Widzę, że nie potrafi się pan obrażać, co uważam za bardzo niefortunne.

- Jak to?

- Bo musiałabym zaprzestać wysiłków, żeby rozbawić ludzi pańskim kosztem. Niechętnie zrezygnowałabym z tej rozrywki, więc niech pan chociaż zdobędzie się na

groźne spojrzenie? Albo marsową minę jak niezadowolony nauczyciel. Jedna z tych rzeczy wystarczy. Wtedy wszyscy uwierzą, że jesteśmy śmiertelnymi wrogami, i rozumieją, że miałam prawo się z pana naigrawać.

- Lady Westforth, nie wiem, kto panią nauczył takiej brutalnej taktyki, ale podziwiam ją.

Ujął jej dłoń i pocałował, muskając wargami gładką skórę. Natychmiast poczuł miły dreszcz. Gdy spojrzał na jej usta, ogarnął go żar. Boże, ależ smakowity z niej kąsek! Chętnie zjadłby go po małym kawałeczku.

Dziwne, ale nigdy wcześniej nie doświadczył tak silnej fizycznej żądz jednocześnie z podziwem dla nieposkromionej duszy. Było to, delikatnie mówiąc, niepokojące zjawisko. Nie żeby krzyżowało jego plany. Nadal zamierzał uwieść rozkoszną wdówkę.

Niektóre z jego myśli musiały odbić się na twarzy, bo palce Vereny zdrząły. Szybko zabrała rękę, a na jej policzki wypłynął rumieniec.

W tym momencie podszedł do nich jej towarzysz, uderzające przystojny mężczyzna o złotych włosach. Lady Westforth skorzystała z okazji jak tonący, któremu rzucano linę ratunkową.

- A! Poznajcie się panowie. Oto pan Lansdowne. Niedawno przyjechał z Włoch.

Kolejna ofiara. Zamiast współczuć mężczyźnie stojącemu obok wicehrabiny, Brandon zastanawiał się gorączkowo, kim on dla niej jest. Kiedy blondyn zażyłym gestem przesunął dłonią po jej ramieniu, St. Johna ogarnęła irytacja.

- Długo zamierza pan zostać w Londynie?

- Tak długo, jak pozwoli mi lady Westforth - odparł Lansdowne, patrząc na nią czule.

Verena odwzajemniła jego uśmiech.

Drań!

- Mam nadzieję, że szybko i pomyślnie załatwi pan swoje sprawy - rzekł Brandon. - A tymczasem może pan ze mną zagra w faraona?

Brązowe oczy Lansdowne'a zabłyśły.

- Faraon! Uwielbiam tę grę, choć nie jestem w niej zbyt dobry.

- Ja również. Przegrywałem, zanim pan przyszedł.

- To z pewnością chwilowy pech. - Lansdowne był tak podniecony propozycją, że zapomniał o Verenie. - Może ustalimy własne warunki? Gospodyni narzuca pewne ograniczenia, ale szkoda czasu, żeby ludzie tacy jak pan grali o małe stawki. Podnieśmy je do... Au!

Chwycił się za ramię, na którym lady Westforth trzymała dłoń.

- Biedny pan Lansdowne! - wykrzyknęła z troską Verena. - Znowu boli? - Przeniosła wzrok na St. Johna i dołączyła tonem wyjaśnienia: - Podagra, rozumie pan.

- W tak młodym wieku? Przykro mi, panie Lansdowne.

Blondyn z ponurą miną masował ramię.

- Nie tak jak mnie.

Lady Westforth posłała mu zdawkowy uśmiech.

- Domyślam się, że nie może pan grać w karty z bolącą ręką.

- Mogę... Au! - Lansdowne wygładził rękaw. - Tak, oczywiście byłoby mi trudno. Cóż, panie St. John, do zobaczenia innym razem.

Posłał kose spojrzenie lady Westforth, ukłonił się i odszedł.

- Od jak dawna pani go zna? - spytał Brandon.

Verena wzruszyła ramionami, ale na jej policzkach chyba dostrzegł cień rumieńca. Już miał zadać docieklwsze pytanie, ale u jej boku pojawił się starszy dzentelmen.

- Lady Westforth i Brandon St. John! Nigdy bym nie

przypuszczał, że zobaczę was razem, zwłaszcza po... no, cóż, nieważne. - Jameson przeniósł wzrok z jednego na drugie. - Domyślam się, że zawarliście pokój?

- Istotnie - przyznał Brand. - Właściwie staliśmy się sobie tak bliscy, że lady Westforth nosi moje nazwisko na szyi.

Verena zamrużyła i odruchowo dotknęła swojej ozdoby.

- To nie fair - syknęła.

- Nie w tej grze - odparł Brandon z uśmiechem.

Na jej wargach pojawił się niechętny grymas.

- Jest pan niepoprawny, ale chyba mi się to podoba.

- Skoro jesteście teraz przyjaciółmi, mam nadzieję, że z mną zagracie - powiedział Jameson. - Pan Cabot-Lewes czeka na nas przy stole.

Verena spojrzała na Brandona z chochlikami w oczach i... z triumfem?

- Z przyjemnością. Idziemy?

Brandon się uklonił.

- Oczywiście.

Wkrótce zasiedli przy stoliku wciśniętym w sam róg sali i częściowo zasłoniętym przez duże rośliny w donicach. Dokonano prezentacji. St. John dowiedział się, że Cabot-Lewes, niski, gruby i prawie całkiem łysy, nie licząc wąskiego pasma siwych włosów wokół głowy, zbił majątek na handlu herbata. Tak natrętnie wyrażał swój podziw dla Vereny, że był aż śmieszny.

Brandon powoli zaczynał rozumieć, co miał na myśli Marcus, nazywając lady Westforth ulubienicą półświatka. Wyglądało na to, że wszyscy ją znają.

- Mam rozdawać? - zapytała.

Światło żyrandola padało prosto na jej głowę, na koronę z warkocza, delikatną linię ramion i srebrny naszyjnik. Brandon uśmiechnął się na widok swojego podpisu. Chcąc nie chcąc, sama się naznaczyła.

Verena wzięła do ręki talię i potasowała ją bez pośpiechu. Lord Jameson obserwował ją z satysfakcją.

- Może pani piękne ręczki zaczarują karty. Bóg wie, że ostatnio mi nie szły.

Cabot-Lewes kiwnął głową, aż zafalował jego zwiotczały podbródek.

- Dobrze, że się pani do nas przyłączyła, lady Westforth. I pan również, St. John. Potrzeba nam dzisiaj świeżej krwi.

Jameson się zaśmiał.

- Masz na myśli świeże pieniądze.

Zgarnął karty i rzucił złotą monetę na środek stołu.

Brandon zajrzał w swoje, czując na sobie spojrzenia obu mężczyzn. Byli jak rekiny krążące wokół wyjątkowo tłustej ryby.

- To dla mnie zaszczyt grać z St. Johnem - oświadczył Jameson.

- Naprawdę? - odezwała się Verena z niedowierzaniem w głosie.

Brandon posłał jej szeroki uśmiech, ale ona udała, że go nie dostrzega.

- St. John, proszę powiedzieć lady Westforth, że nie tylko ma pan piekielne szczęście, ale potrafi z odległości mili rozpoznać szulera.

Verenie wypadła z ręki karta.

- Przepraszam - bąknęła zmieszana.

- Nie przejmuj się, moja droga - pocieszył ją Jameson. - Wszyscy popełniamy błędy. To znaczy wszyscy z wyjątkiem twojego przyjaciela. Wolałbym oszukiwać w grze samego diabła niż Brandona St. Johna.

- Jak pan stwierdza, czy ktoś oszukuje? - spytała lady Westforth. W jej głosie dało się słyszeć lekkie drżenie.

Cabot-Lewes zarechotał.

- W taki sam sposób jak my. Po tym, jak często ten ktoś wygrywa.

- Jeśli to prawda, ty nie oszukiwałeś nigdy w życiu - orzekł Jameson. - Szkoda, że tego samego nie można powiedzieć o mnie.

Verena wymuszonym uśmiechem skwitowała jego marny dowcip. Jakże żałowała, że przyjęła radę Jamesa. Sprowokowała St. Johna, a teraz dowiedziała się o jego niezwyklej umiejętności.

Zerknęła na niego spod rzęs i zobaczyła, że przygląda się jej uważnie. Siedział poza kręgiem światła, jakby nie chciał znajdować się w centrum uwagi. Ciemne włosy opadały mu na czoło w taki sposób, że korciło ją, by je odgarnąć.

Utkwiła wzrok w swoich kartach. Nie powinna wierzyć, że St. John potrafi przejrzeć nieczystą grę. Lord Jameson był znany z tego, że lubi wymyślać niestworzone rzeczy, żeby zabawić słuchaczy.

Mimo to ostrożność nie zawadzi. Zwłaszcza że postanowiła opróżnić sakiewkę St. Johna. Pierwsze rozdanie przegrała. Potem drugie. Przez cały czas obserwowała Brandona, ale nie dostrzegła żadnych oznak grożącego jej niebezpieczeństwa.

Jeśli już, to wydawał się zwracać większą uwagę na nią niż na grę. Często wpatrywał się w nią zamyślonym wzrokiem i w ogóle był bardzo poważny tego wieczoru.

Trzecią partię również przegrała, a jej stosik gwinei wyraźnie zmalał, podobnie jak leżący przed St. Johnem. Niemal poczuła ból, kiedy z braku monet niedbałym gestem rzucił na stół wexsel.

Położyła rękę na swoich ostatnich pieniądzach i w tym momencie dostrzegła spojrzenie Jamesa, który stał po drugiej stronie pokoju. Brat natychmiast odgadł jej myśli i zmarszczył brwi.

Czas uciekał. Jeśli zamierzała pomóc Jamesowi, musiała zaryzykować. Ryzyko. Dla niego żyli Lansdowne'owie, natomiast ona unikała go jak ognia. Choć szantażysta nie zażądał pieniędzy, była pewna, że oboje będą ich potrzebować. Ojciec zawsze powtarzał, że istnieje bardzo wiele problemów, których nie rozwiąże garść złota.

James zatrzymał przechodzącego lokaja i coś do niego cicho powiedział. Parę chwil później służący pojawił się przy ich stoliku z trzema butelkami porto na tacy.

- Od pana Lansdowne'a w hołdzie dla urody lady Westforth.

Verena posłała Jamesowi miły uśmiech.

- Och, co za hojność!

St. John łypnął na butelki spode łba.

- Istotnie.

Lord Jameson podsunął pusty kieliszek.

- Nawet nie znam człowieka, ale myślę, że jest księciem.

Pan Cabot-Lewes zgodził się z nim i też dał znak lokajowi.

- Jeśli kiedyś go spotkam, proszę mi przypomnieć, że bym mu podziękował za szczodry dar. Porto to mój ulubiony trunek.

Brandon spojrzął na Verenę.

- Zamówić dla pani coś innego? Może sherry?

- O, nie! Uwielbiam porto.

Pozwoliła, żeby służący napełnił również jej kieliszek.

Dwa następne rozdania zagrała bardziej zdecydowanie, wygrała jedno, drugie przegrała. Dbała o to, żeby wszystkie naczynia były pełne, ale sama prawie nic nie piła. Nie mogła sobie na to pozwolić, jeśli chciała osiągnąć cel. Kiedy nikt nie patrzył, wylała swój trunek do jednej z dużych donic stojących obok stolika.

Czas mijał, hojnie przekupiony przez Jamesa lokaj

wciąż dolewał alkoholu. Wkrótce lord Jameson zaczął zdradzać objawy upojenia. Napotkawszy spojrzenie lady Westforth, posłał jej niepewny uśmiech.

Verena trochę się uspokoiła. Zerknęła na sąsiada. Cabot-Lewes zezował na swoje karty i szybko mrugał powiekami, jakby nie mógł skupić wzroku.

Przeniosła oczy na St. Johna. Ciepłe światło żyrandola kładło się na jego czarne włosy, muskało kości policzkowe. Kieliszek stojący przy jego łokciu był prawie pusty. Znowu. Wicehrabina dyskretnie skinęła głową służącemu. Ten natychmiast dołał trunku.

W tym momencie Brandon podniósł głowę i skrzyżował z nią wzrok. W jego Oczach malowała się pewność siebie, jakby uważał, że wystarczy kiwnąć palcem, a ona wpadnie mu w ramiona.

To mogłoby być przyjemne, podpowiedziała jej niesforna wyobraźnia. Oczywiście gdyby wcześniej twardo nie postanowiła mu udowodnić, że jego osoba zupełnie nie robi na niej wrażenia.

Uniosła podbródek i odpowiedziała mu wyzywającym spojrzeniem. St. John się uśmiechnął, a jego wzrok nieco złagodniał. Zupełnie, jakby wiedział, kim ona jest, i dobrze znał wszystkie jej grzeszki, ale zupełnie się nimi nie przejmował.

Verena popatrzyła na leżący przed nią niewielki stosik gwinei. Dłoni ją świerzbiła, ale Brandon St. John był bardzo niebezpiecznym mężczyzną.

- Lady Westforth, teraz pani rozdaje - wybełkotał Jameson.

Verena wzięła do ręki karty, przesunęła palcem po ich gładkich powierzchniach. Zerknęła na St. Johna, ale patrzył na swój kieliszek. Jameson i Cabot-Lewes byli tak pijani, że z trudem siedzieli prosto. Nadeszła właściwa pora.

Potasowała talie, zręcznie przekładając damę na spód.

Wygrała następne trzy rozdania. Gdy zgarniała pieniądze, napotkała wzrok Jamesa i posłała mu ledwo dostrzegalny uśmiech. Wszystko szło dobrze.

- Lady Westforth, pani nie pije.

Verena odwróciła głowę i napotkała przenikliwe spojrzenie Brandona. Miał zdumiewające oczy, tak ciemnoniebieskie, że przy pewnym oświetleniu wydawały się czarne.

- Myli się pan, panie St. John. Wypiłam więcej, niż powinienam.

Gdy uniosł kieliszek, zauważyła, że lekko drży mu ręka. Omal nie zaśmiała się z radości, gdy przyszła jego kolej na rozdawanie. Z satysfakcją obserwowała, jak płaczą mu się karty. Uśmiechnęła się zachęcająco, kiedy przesunęła pierwszą w jej stronę.

Zmrużył oczy i posłał jej gorące, władcze spojrzenie. Po jej plecach przebiegł dreszcz. St. John chyba się zreflektował, bo natychmiast spuścił wzrok i rozdał pozostałe karty.

Verena wzięła swoje, wewnątrz rozdygotana. Nie chodziło o to, jak na nią patrzył. Mężczyźni często tak się zachowywali, zwłaszcza po wypiciu dużej ilości porto. Zaskoczyła ją własna reakcja. Jej ciało zmiękło jak pod dotykiem kochanka.

Tego rodzaju doznania były jej obce. Właściwie wywoływało je tylko spojrzenie Andrew, dawno temu.

Znowu zerknęła na Brandona. Nie, nic do niego nie czuła poza...

- Pani kolej, lady Westforth. - St. John znowu przesunął po niej wzrokiem, ale tym razem bardziej się kontrolował. Jego głęboki głos pieścił jej uszy. - Wycofuje się pani?

Verena stwierdziła, że jej dłonie lekko drżą. Nic z tego nie będzie. Jak teraz zamieni karty? Szybko je rozdała i swoje położyła na stole.

Gdy St. John skierował uwagę na Jamesona, omal nie

westchnęła z ulgi. Żeby czymś zająć ręce, sięgnęła po porto. Pozostałe kieliszki były puste. Niedobrze. Rozejrzała się, sprawdzając, czy nikt nie patrzy, i powoli opuściła rękę, żeby wylać alkohol do donicy.

Silne palce zacisnęły się wokół jej nadgarstka. Verena podniosła wzrok. St. John uśmiechał się, błyskając zębami.

- Nie mogę patrzeć, jak marnuje się dobry trunek.

- O co chodzi? - zapytał Cabot-Lewes, próbując dojrzeć coś przez stolik bez podnoszenia się z krzesła. Jego podwójna broda zadrżała. - Lady Westforth rozlała porto?

- Jeszcze nie - odparł Brandon i nachylił się do niej, żeby nikt go nie usłyszał. - Zdaje się, że nie przepada pani za porto. Mam zamówić lemoniadę?

Verena zacisnęła wargi.

- Nie wiem, o czym pan mówi. Ja tylko podziwiałam roślinę. - Spojrzała znacząco na swoją rękę. - Może mnie pan już puścić.

- Proszę wypić drinka.

-Nie.

-Vereno. - Przysunął się bliżej. Dla osób patrzących z boku wyglądało to jak intymna rozmowa kochanków. Męska dłoń na jej nadgarstku, usta tuż przy uchu. - Proszę wypić porto albo się przyznać, że chciała je pani wylać.

Verena nie lubiła gróźb. Ale jeszcze bardziej nie znosiła mężczyzn, którzy próbowali ją do czegoś zmusić.

- Niech pan mnie puści.

St. John uniósł brwi.

- Nie mogę pić, kiedy trzyma pan moją rękę.

Zabrał dłoń, ale popatrzył na nią wyzywająco.

Verena zadrżała pod jego twardym spojrzeniem. Nie dość, że ją obraził, to na domiar złego postanowił z niej zakpić! Dobrze! Już ona mu pokaże. Krew Lansdowne'ów płynąca w jej żyłach zawrzała.

Verena zwarła się wzrokiem z impertynentem, uniosła kieliszek i wychyliła porto, nie po łyeczku, ale od razu do dna, jednym haustem. Alkohol zapiekł ją w przełyku, aż do oczu napłynęły jej łzy, ale nawet się nie skrzywiła, tylko głośno odstawiła puste naczynie na stół.

- Ty głuptasie - syknął Brandon. - Zrobiłabyś wszystko, żeby nie wyznać prawdy, tak?

Lord Jameson zarechotał.

- No, no, lady W! Utarła mu pani nosa!

Verena mruganiem odpędziła łzy. Jej wnętrzności płonęły.

- Czyja teraz kolej? - zapytała.

Brandon odchylił się na oparcie krzesła, Jameson wyrzucił kartę.

Vereny nie obchodziło, co o niej myśli St. John. Była dorosła i mogła pić porto o dowolnej porze dnia i nocy. Prawdę mówiąc, miała ochotę na następnego drinka. Albo dwa. A może trzy.

Przywołała wzrokiem lokaja i wskazała na swój kieliszek. Służący napełnił go bezzwłocznie. Pozostałe również. Wicehrabina szybko wychyliła swój. Dlaczego nie? Już dość wygrała. Jeśli będzie ostrożna, nie pozwoli odebrać sobie zwycięstwa. Tyle pieniędzy jej wystarczy. Na razie.

Pozwoliła, żeby lokaj znowu dolał jej porto.

Dezaprobata St. Johna rosła z każdą chwilą, aż w końcu zdawała się zwiisać nad nią niczym chmura.

Verena ignorowała go, jednocześnie z zapalem flirtując z lordem Jamesonem i panem Cabotem-Lewesem. Po kolejnym solidnym łyku porto, stwierdziła, że nie jest takie złe. Im więcej piła, tym bardziej jej smakowało. Może na tym polegała sztuczka.

Zagrali jeszcze jedną partyjkę i ku własnemu zaskoczeniu Verena wygrała, a w dodatku jej kieliszek znowu był

pusty. Już się zastanawiała, czy nie poprosić o więcej porto, kiedy tuż przy jej uchu rozbrzmiał głos Brandona.

- Proszę nawet o tym nie myśleć, bo osobiście wyleję trunek do donicy.

Lady Westforth prychnęła.

- Nie jest pan moim ojcem.

- Istotnie. - Patrzył na nią w taki sposób, że przebiegł ją dreszcz.

- Ani bratem.

- To prawda - zgodził się pospiesznie.

- Więc nie może pan niczego mi zabraniać.

- Nie zabraniam, tylko po prostu stwierdzam, że za dużo pani wypiła, i nie pozwolę na więcej.

- Za kogo się pan uważa, żeby mi na coś pozwalać lub nie? - Spiorunowała go wzrokiem. Dziwne, ale jego twarz się rozmywała. - Proszę przestać.

-Co?

- Ruszać się, bo mnie od tego mdli.

St. John odłożył karty na stół.

- Otóż to. Wychodzimy.

- Nigdzie nie idę. Przyszłam tutaj, żeby grać, i będę grać.

Brandon przez dłuższą chwilę patrzył na nią z miną groźną jak chmura gradowa. W końcu sięgnął po talie.

- Więc grajmy. Ale od nowa.

- Co się dzieje? - zapytał bełkotliwie Jameson.

St. John posłał mu obojętne spojrzenie.

- Lady Westforth i ja mamy spór do rozstrzygnięcia.

Cabot-Lewes machnął ręką.

- Ja mam już dość. Rezygnuję. Wiemy, kto wygrał?

- Mam nadzieję, że ja - powiedziała Verena, zastanawiając się, dlaczego zawsze odmawiała porto. Przecież to cudowny trunek. Uniosła kieliszek i z rozczarowaniem stwierdziła, że jest w nim tylko parę kropel. - Jaka szkoda! - Zerknęła na

St. Johna. Z jakiegoś powodu surowy wyraz jego twarzy przyprawił ją o śmiech. - Jeśli wygram, dostanę porto?

- Całą butelkę.

Westchnęła z zadowoleniem.

- Zgoda.

Brandon potasował talie i przesunął ją ku niej po blacie.

Verena zwiżyła wargi. Zamierzała wrócić do domu jako zwyciężczyni. Czuła, że dzisiaj ma szczęście. Sięgnęła po kartę, zawahała się i popatrzyła St. Johnowi w oczy.

- Chwileczkę. A pan co dostanie, jeśli wygra?

Brandon przesunął po niej wzrokiem, zatrzymując go na dekolcie, nagich ramionach, dolnej wardze.

- Prawo do odwiezienia pani do domu - powiedział.

Verena zmierzyła go spojrzeniem. Sama nie wiedziała, dlaczego, ale propozycja wydała się jej podejrzana.

- Coś jeszcze?

St. John znowu otaksował ją oczami.

- Nie rozumiem.

- Ja dostanę całą butelkę porto, jeśli wygram, a pan tylko odwiezie mnie do domu. To niesprawiedliwe.

- Na Jowisza! - wykrzyknął Jameson. - Lady Westforth ma rację! Powinien pan dostać coś więcej.

- Może pocałunek? - odezwał się Cabot-Lewes z szerokim uśmiechem. Jego okrągła twarz lśniła od potu. - Ja kiedyś wygrałem całusa w karty. Najśodszeżo w życiu.

- To uczciwa stawka - stwierdził Jameson. - Co pani na to?

Wicehrabina położyła łokieć na stole i oparła brodę na dłoni.

- Chyba nie mogę się zgodzić. Pan Lansdowne mnie tutaj przyprowadził, więc byłoby niegrzecznie wyjść z innym mężczyzną. Nie mówiąc o jego całowaniu. Co nie znaczy, że chciałabym pocałować pana Lansdowne'a.

Usta Brandona wykrzywiły się w uśmiechu.

- Nie?

- Zupełnie nie - oświadczyła Verena. - Nie jest w moim typie.

Jameson zaśmiał się rechotliwie.

- Biedak!

Cabot-Lewes ze smutkiem pokiwał głową.

- A przysłał nam takie dobre porto. Nie wolno odtrącać człowieka, który ma szeroki gest.

- Nie sądzę, żeby w tej chwili obchodziło go coś poza faraonem - stwierdził zimno Brandon.

Wszyscy się obejrzeni. Verena zobaczyła jedynie tył głowy Jamesa, który siedział obok lady Farley.

- Może będzie miał dzisiaj więcej szczęścia niż ja - powiedziała, po czym nachyliła się do St. Johna i dodała konspiracyjnym tonem: - Zwykle wygrywam, wie pan. Ale bardzo ostrożnie.

Brandon doszedł do wniosku, że jeszcze nigdy w życiu nie widział bardziej uroczej kobiety, wstawionej po zaledwie trzech kieliszkach.

- Nieczęsto pani pije, prawda?

- Nigdy. Alkohol zaćmiewa umysł. - Wycelowała w niego palec. - Wie pan, co mawia mój ojciec?

- Co?

- Że dobry gracz nigdy nie pije.

- A pani jest dobrym graczem? Czy nieuczciwym?

- Nie podobają mi się pańskie słowa. - Bezskutecznie siliła się na obrażony ton.

St. John oparł łokcie na stole.

- Proszę wybrać kartę.

Verena spojrzała na talię i nerwowo oblizała wargi. Na widok różowego języka przesuwającego się po pełnych ustach Brandonowi zaschło w gardle. Do licha, co za rozkoszna istota!

W końcu lady Westforth wyciągnęła rękę i odwróciła kartę. Walet trefl.

- Ha! - wykrzyknęła triumfalnie. - Proszę go pobić!

- Świetnie, lady W! - zawołał Jameson.

Cabot-Lewes z entuzjazmem pokiwał głową. Brandon sięgnął po kartę. Król kierowy.

Verena zamrugała.

- Szczęście St. Johnów - skwitował Jameson. - Ostrzeżałem panią.

Brandon dotknął łokcia Vereny. Chciał ją stąd zabrać, zanim Lansdowne się zorientuje, że wyszła.

- Chodźmy, lady Westforth. Odwiozę panią do domu.

- Teraz?

- Tak.

Verena wstała chwiejnie.

Jameson i Cabot-Lewes też dźwignęli się z krzeseł i zaczęli ją żegnać wylewnie. St. John nie dał jej czasu na odpowiedź. Skinął im obu głową i poprowadził wicehrabinę do drzwi.

8

Całowanie to sztuka, którą najlepiej zostawić ekspertom, jako że jest dużo bardziej niebezpieczne niż szermierka. Jedne niewprawne usta mogą spowodować więcej szkody niż najostrzejsza broń.

Sir Royce Pemberly do swojej młodej żony Lizy w loży Shelbourne'ów w Theatre Royale.

Powóz jechał z turkotem ulicami Londynu, światła lamp kreśliły na szybach migotliwe wzory. Verena oparła się o poduszki, próbując ignorować St. Johna, który siedział naprzeciwko niej i dotykał kolanami jej nóg.

Dlaczego czuła taki lęk, jakby stała na wąskiej półce nad przepaścią i każdy niewłaściwy krok mógł okazać się bardzo niebezpieczny? Słyszała dudnienie własnego serca. Splotła dłonie.

Wyglądała przez okno i udawała, że nie dostrzega Branda, ale rozparty w swoim kącie powozu, zdawał się wypełniać całą wolną przestrzeń. Ręce trzymał w kieszeniach i nie odrywał od niej oczu.

Chyba powinna być wdzięczna, że nie wykorzystał ich sam o sam, ale, szczerze mówiąc, chętnie przyjęłaby jego niestosowne awanse. Zwłaszcza teraz, gdy nocne powietrze chłodziło jej nagie ramiona, a ruch wehikułu potęgo-

wał zawroty głowy wywołane przez porto. Miała wrażenie, że dryfuje na chmurze, wolna i lekka jak wiatr.

Odezwały się również inne uczucia, których od dawna nie doświadczyła: niepokój, pragnienie.

Zamknęła oczy, żeby odciąć się od mężczyzny, który siedział naprzeciwko niej. Na próżno. Widziała go przez powieki. Właściwie gdyby miała kartkę i ołówek, mogłaby go narysować, każdy rys, drobne zmarszczki, które powstawały w kącikach oczu, kiedy się uśmiechał, i ust, gdy coś mu się nie podobało, szerokie bary, silne uda... H m.

Uda. Uśmiechnęła się do siebie. Długie i umięśnione, tuż obok...

- Nie powinna pani pić. - W głosie St. Johna brzmiało rozbawienie. - Nie mogę uwierzyć, że wystarczyły tylko trzy kieliszki porto. Moja matka miała mocniejszą głowę.

- Była alkoholizką? - Verena otworzyła oczy i zerknęła na niego w półmroku. - Nic dziwnego. Gdybym miała sześcioro dzieci, też lubiłabym zaglądać do butelki.

- Nie była alkoholizką - zapewnił Brandon ze śmiechem. - Ale rzeczywiście sześcioro dzieci to dobry powód, żeby się nią stać. - Przez chwilę mierzył ją wzrokiem. - Verena. To niezwykle imię. Skąd się wzięło?

Powinna zaprotestować przeciwko takiej poufałości, ale spodobało się jej, jak wymawiał jej imię. Niemal z francuska, a to przecież język miłości.

- No więc - ponaglił ją niecierpliwie, jeszcze mocniej napierając na nią kolanami i wprawiając ją w drżenie. - Odpowie mi pani czy mam zgadywać?

- Proszę zgadywać.

Usta St. Johna wykrzywiły się w uśmiechu. Zmysłowe i intrygujące, doszła do wniosku Verena.

- Zastanówmy się. - Lampy uliczne oświetlały tylko

dolną połowę jego twarzy. - Tak miała na imię pani babcia, która zostawiła pani cały majątek.

Verena natychmiast wyobraziła sobie dobrotliwą starszą panią, wartą więcej niż koronowany książę.

- Uroczą historyjką, ale nieprawdziwą. To nazwa małego miasteczka. Moi rodzice twierdzą, że tam zostałam poczęta, na brzegu rzeki.

- Jakie to ryzykowne. Moi rodzice byli równie szaleni. Pamiętam, jak kiedyś natknąłem się na nich w spiżarni.

Przesunął się na siedzeniu, tak że już nie muskał kolanami jej kolan, tylko otoczył je z obu stron.

Verena chciała się odsunąć, ale nie miała gdzie. Została uwięziona między parą długich, muskularnych nóg. Wrażenie było... rozkoszne.

Gdy powóz skręcił za róg, Brandon wykorzystał jego gwałtowny przechył, żeby zmienić pozycję. Teraz kolanami niemal dotykał przeciwległego siedzenia, udami przywierał do ud lady Westforth. Ona zaś głośno wciągnęła powietrze a po jej plecach przebiegł dreszcz pożądania. Niech to licha, gdyby wiedziała, że tak działa porto, nigdy by go nie tknęła.

- Proszę mi opowiedzieć o swoim mężu. Podobno lubił się bawić.

Verena zamrugała, żeby przetrwać oszołomienie.

- Andrew? Uwielbiał wszelkie rozrywki, zwłaszcza te, w których mógł robić zakłady.

Przesunęła się odrobinę w jedną stronę, dalej od niebezpiecznych nóg, które nasuwały jej dziwne myśli. Na przykład, jak Brandon wyglądałby nago? Zerknęła na niego spod rzęs. Idealnie skrojone ubranie podkreślało rzeźbioną sylwetkę.

Verena postanowiła jeszcze dzisiaj odmówić modlitwę dziękczynną do Boga za stworzenie tak doskonałego okazu.

Zadowolona z siebie wygładziła suknię, rozkoszując się dotykiem jedwabiu. Rejestrowała najdrobniejsze szczegóły: grę cieni i światła, gładkość materiału pod palcami, parskanie koni, stuk kopyt na bruku. Noc była magiczna.

- Pani mąż chciał mieć dzieci?

Verena zmarszczyła brwi, żałując, że w półmroku ledwo widzi twarz St. Johna. Czuła jednak, że jego oczy płoną i przewiercają ją na wylot.

- Nie. W każdym razie jeszcze nie.

Brandonowi wydawało się, że usłyszał w jej głosie ton smutku. Przysunął się bliżej, tak że znowu dotknął jej nogami. Lady Westforth spojrzała w dół, ale nawet nie próbowała się cofnąć.

Szkoda, że miał taki duży powóz. Zanotował sobie w pamięci, żeby nazajutrz zamówić mniejszy.

- Wiem, że Westforth zginął w wypadku niedługo po waszym ślubie. Konie poniosły?

- Nie, Andrew... - Verena uśmiechnęła się słabo. - Urządził wyścigi i za ostro pokonał zakręt. Złamał sobie kark.

- Przykro mi.

- Niepotrzebnie. Śmierć była szybka i bezbolesna. Umarł tak samo, jak żył: całkowicie wolny. Oczywiście rozpaczalam, ale nawet wtedy wiedziałam, że tak musiało się stać.

- Nadal pani za nim tęskni.

Verena spojrzała za okno. Czarne skórzane obicie ścian powozu było doskonałym tłem dla jej urody.

Dziwne, ale dopiero teraz przyznał Devonowi rację, że osławiona wdowa jest piękna w każdym calu. Chodziło o coś więcej niż tylko ciało i twarz, choć jej rysy same w sobie budziły zachwyty. Może o duszę.

Brandon westchnął ze zniecierpliwieniem. Był śmiesz-

ny. Powinien spytać o Humforda, zamiast interesować się jej osobą: kim jest, skąd pochodzi i tak dalej.

Lady Westforth zaśmiała się nagle, błyskając zębami.

- Wie pan, że nie tęsknię za stanem małżeńskim?

- Co takiego?

- Andrew chrapał.

Brand uśmiechnął się szeroko, zastanawiając, co by zrobiła, gdyby chwycił ją w objęcia. Zauważył, że ona tego pragnie. I żeby być uczciwym, on też chciał otoczyć ją ramionami i sprawdzić, czy wspomnienie ich pocałunku nie jest tylko tworem jego bujnej wyobraźni.

Verena odsunęła się i dumnie uniosła głowę.

- Śmieje się pan ze mnie.

Brandon ujął jej dłoń.

- Nic podobnego.

- Ale uśmiechał się pan. Daleko jeszcze? Chciałabym już znaleźć się u siebie.

- Właśnie tam jedziemy.

- Ta podróż coś za długo trwa. - Verena popatrzyła na niego podejrzliwym wzrokiem, ale nie zabrała ręki. - Na pewno wiezie mnie pan do mojego domu, a nie do swojego?

- Nie mam domu. Wynajmuję mieszkanie przy St. James Street.

- St. John bez rezydencji? Myślałam, że istnieje jakieś prawo, które tego zabrania, brzmiące mniej więcej tak: „każdy nadęty osobnik musi posiadać własną siedzibę”.

Brandon się uśmiechnął.

- Sądzę, że moja matka by panią polubiła.

- Wątpię. Rzadko łączą mnie dobre stosunki z innymi kobietami. Nie wiem dlaczego.

St. John potarł kciukiem wierzch jej dłoni, podziwiając gładkość skóry.

- Może dlatego, że jest pani zbyt szczerą.

- Szczerą? Ma pan na myśli: uczciwą?

Brandon milczał. Sam nie był pewien, o co mu chodziło. Wiedział tylko, że lady Westforth siedzi stanowczo za daleko. Chciał mieć ją przy sobie. Na sobie. Pod sobą.

Verena westchnęła.

- Nie zamierza pan odpowiedzieć, a ja wiem dlaczego. Nie jestem dla pana uczciwa ani godna szacunku, bo inaczej nie proponowałby mi pan pieniędzy za zostawienie pańskiego brata w spokoju. Zapewne pan mną gardzi.

- Ależ nie! I zaczynam sobie uświadamiać, że myliłem się co do pewnych rzeczy, choć miałem powody uważać je za prawdziwe.

- „Uważać” i „pewne”. Jakie mocne podstawy do wyciągania wniosków!

- Przyszaję, że byłem nieco pochopny w swoim osądzie.

- „Nieco pochopny”. - Verena prychnęła. - Oto wyznaczenie poważnego błędu i prawdziwa skrucha.

Brandon otworzył jej dłoń i przez chwilę podziwiał jej kształt: smukła i delikatna, o długich palcach, była ręką muzyka, artystki albo... utalentowanej kochanki.

Podniósł ją do ust i zaczął przesuwając wargami po wskazującym palcu, zatrzymując się na kostkach. Czuł, jak po żyłach rozlewa mu się żar.

Lady Westforth patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Nie powinien pan tego robić.

- Dlaczego?

- Bo... - Przełknęła ślinę.

Pocałował palec serdeczny. Verena zamknęła oczy. Na jej twarzy malował się wyraz tęsknoty.

Brandon nie mógł oderwać od niej wzroku. Musnął jej-

zykiem wrażliwe miejsce, gdzie trzeci palec łączył się z dłonią.

Lady Westforth drgnęła, oddychając urywanie. Brandon był bliski utraty panowania nad sobą. On też na chwilę zamknął oczy. Nie śmiał domagać się pocałunku. Nie umiałby przestać.

- St. John... - Verena znowu przełknęła ślinę i zwilżyła wargi. Jej ciało płonęło. Pragnęła go... Teraz. - Może pan odebrać swoją wygraną.

- Za dużo pani wypła - stwierdził Brandon z uwodzicielską nutą w głosie.

Verena z trudem pohamowała uśmiech.

- Nie, ale będę żałować, że piłam, jeśli mnie pan nie pocałuje.

Wargi St. Johna się wykrzywiły, oczy rozjarzyły.

- Gdyby pani przeszła na moją stronę powozu...

Jej piersi tęskniły do jego dotyku.

- Tak? - wyszeptła bez tchu.

- I gdyby pani usiadła na moich kolanach, otoczyła ramionami szyję...

- Tak? - Odnosiła wrażenie, że jeszcze chwila, a buchnie płomieniami. - Co mi pan da?

- Pocałunek, którego nigdy pani nie zapomni. - Jego głos wypełniał mroczne wnętrza, kusił. - A ten, który jest mi pani winna, zostawiam na wybraną przez siebie porę.

Verena wiedziała, że to rozwiązanie, ale mimo woli zaczęła się zsuwać na brzeg siedzenia. Ponieważ nogi Brandona ją obejmowały, bez trudu się na nie przeniosła.

St. John chwycił ją w objęcia i odszukał jej usta. Tak jak za pierwszym razem było to coś więcej niż zwykły pocałunek. Raczej piętnowanie albo zachłanne sycenie głodu. Jego dłonie aż parzyły ją w plecy przez materiał sukni.

Verena jęknęła cicho i zarzuciła mu ręce na szyję. Pożądanie przepędziło wszelkie myśli. Zostały same rozkoszne doznania. Wygięta plecy w łuk i przywarła do szerokiego torsu całym ciałem. Koniuszki jej piersi stwardniały.

Powóz zatrzymał się z turkotem i dopiero wtedy Verena odzyskała zmysły. Odsunęła się od Brandona i zmusiła osłabione nogi, żeby przeniosły ją na dawne miejsce. Tam opadła bez sił i tchu.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, patrząc na siebie, oddychając ciężko jak po biegu. Verena pragnęła wrócić w objęcia Brandona, znowu poczuć na sobie jego dłonie, posmakować ust.

Przycisnęła dłoń do czoła.

- Ja nie chciałam...

- Wiem, Vereno, ja...

Drzwi się otworzyły i stangret wysunął schodki.

St. John z westchnieniem przecesał włosy palcami i posłał jej krzywy uśmiech.

- Chodźmy. Obiecałem odprowadzić panią do domu i tak zrobię.

Wysiadł z powozu i podał jej rękę.

Verena bez słowa skinęła głową. Padające z ganku światło tworzyło wokół nich złotą sadzawkę. Brandon wsunął dłoń w zgięcie łokcia damy i razem ruszyli po schodkach.

Gospodyni sięgnęła do klamki i znieruchomiła.

- O co chodzi?

Lady Westforth zmarszczyła czoło, próbując otworzyć drzwi.

- Są zamknięte - stwierdziła.

- Ma pani klucz?

- Oczywiście, że nie. Herberts powinien na mnie czekać.

St. John uniósł brwi.

- I naprawdę pani wierzyła, że będzie czekał?

Nie odpowiedziała. Brandon uśmiechnął się szeroko, po czym sięgnął do mosiężnej kołatki.

W domu długo panowała cisza. Oboje czuli na sobie spojrzenie stangreta. St. John nachylił się i powiedział cicho:

- Jest mi pani winna pocałunek, madam.

- Dostał go pan w powozie.

- Nie, to był dodatkowy. Dobrze pani wie.

Istotnie. Verena stłumiła westchnienie. Miała nadzieję, że zapomni. Zamroczenie wywołane przez porto szybko ustępowało. W tym momencie była aż nadto świadoma, co jej grozi w razie pozostania sam na sam z mężczyzną takim jak St. John. On nie lubił czułych słówek i czczych deklaracji. Wolał działać. I w tym rzecz. Na pewno nie zadowoliliby się jednym pocałunkiem. Zresztą wcale tego nie chciała.

Może jeśli pozwoli, żeby odebrał dług tutaj, na ganku, obecność służby powstrzyma go przed zbytnią śmiałością. A jej przypomni o własnej dumie.

- Dobrze, panie St. John. Skoro pan się domaga...

Zamknęła oczy i nadstawiła usta. W duchu modliła się, żeby jak najszybciej sobie poszedł.

Przez długą chwilę nic się nie działo. W końcu uchyliła powieki i zerknęła przez rzęsy. Brandon stał z ramionami skrzyżowanymi na piersi i z rozbawieniem na twarzy.

Verena się cofnęła.

- Nie chce pan swojego pocałunku?

- Nie w taki sposób.

Odwrócił się i zabębnił w drzwi.

Verena się skrzywiła.

- Drewno popęka.

- Mam ochotę coś zniszczyć - warknął St. John z ponurą miną. - Gdzie, do diabła, podziewa się ten kamerdyner? Nigdy nie widziałem równie leniwego, niewyszkolonego...

Drzwi uchyliły się powoli i wyjrzał przez nie Herberts, mrugając zaspanymi oczami. Włosy miał potargane, koszulę rozpiętą pod szyją.

- Czyżbym przez pomyłkę przekręcił klucz w zamku?

- To nie była pomyłka - rzucił Brandon ze zniecierpliwieniem. - Poszedłeś spać.

- Ja? - Kamerdyner przybrał urażoną minę, ale ślina w kąciku ust zepsuła cały efekt. - Musi pani wiedzieć, że siedziałem na dole przez cały czas.

- Z głową opartą o stół - skwitowała Verena, wchodząc do domu. - Tylko nie zaprzeczaj! Weź mój płaszcz. Pan St. John krótko zabawi. Nie musisz niczego podawać.

Herberts skwapliwie pokiwał głową.

- Dobrze, że mi pani powiedziała, bo zamierałem przynieść coś do picia.

Brandon podał mu swój płaszcz, a gospodyni, nie tracąc czasu, zaprowadziła gościa do salonu. Im szybciej będzie po wszystkim, tym lepiej.

Gdy tylko zamknął drzwi, przywołała uśmiech na twarz.

- Proszę wziąć swój pocałunek.

- W swoim czasie - odparł St. John i przeszył ją wzrokiem, jakby próbował zajrzeć w jej serce. - Najpierw chciałbym zadać jedno pytanie. Co pani wie o lordzie Humfordzie?

Verena wytrzeszczyła oczy. Czyżby był zamieszany w szantaż?

- Dlaczego pan pyta?

- Nie gościła go pani na kolacji miesiąc temu?

- Wydaję przyjęcia w pierwszy wtorek każdego miesią-

ca. Zawsze zapraszam lady Jessup, a ona przyprowadza właśnie jego albo swojego syna.

St. John nie odrywał wzroku od jej twarzy.

- Humford nie żyje.

Lady Westforth zbladła.

- Co takiego?

- Zginął tuż po wyjściu od pani.

- Nie! - Verena przycisnęła dłoń do ust. - Skąd pan wie?

Sądziłam... - Oddychała płytko. - O, Boże. Nie.

Brandon obserwował ją uważnie. Naprawdę była wstrząśnięta albo zasługiwała na miano najlepszej aktorki, jaką znał.

- Został zamordowany.

Lady Westforth osłupiała.

- Kto mógł zrobić coś takiego nieszkodliwemu starszemu człowiekowi?

Rzeczywiście, kto? Patrząc na Verenę, Brandon jej uwierzył. Nic nie wiedziała o morderstwie. Jej reakcja była całkowicie naturalna i szczerą. Potrafiłby dostrzec, gdyby udawała zaskoczenie. Poczul wielką ulgę. Właśnie się zastanawiał, co dalej, gdy rozległ się stuk kołatką, a po nim szuranie nóg Herbertsa.

Brandon spojrział na gospodynię.

- Spodziewa się pani towarzystwa?

- To prawdopodobnie pan Lansdowne. Przyszedł się upewnić, że bezpiecznie dotarłam do domu. Jeśli chce pan odebrać dług, najlepiej zrobić to teraz.

Wizyta dobiegała końca, a on miał jeszcze kilka pytań do lady Westforth. Musiał jeszcze raz się z nią spotkać. Ta myśl sprawiła mu większą radość, niż powinna.

- Nie wybrałaby się pani jutro ze mną na przejażdżkę? Kupiłem parę siwków do mojego faetonu.

- Nie obawia się pan o swoją reputację? Ludzie zoba-

czą pana w moim towarzystwie i zaczną się komentarze.

Mógł jej odpowiedzieć, że jest St. Johnem i może pokazywać się z osobami każdego pokroju, ale w porę się zreflektował. Dobry Boże, kiedy stał się nadętym snobem? Zmarszczył brwi.

- Jeśli nie ma pani ochoty...

- Nie, nie! Tego nie powiedziałam. Po prostu zaskoczyła mnie pańska propozycja. Właściwie powinnam się zgodzić. Pańskiej reputacji nasza wspólna wycieczka nie zaszkodzi, natomiast moją może bardzo poprawić.

Brandon musiał się uśmiechnąć. Lady Westforth nie przyjęła od niego pieniędzy, ale najwyraźniej nie miała skrupułów co do wykorzystania jego osoby, żeby zyskać lepszą pozycję towarzyską.

- To miło być potrzebnym.

- Prawda?

Brandon przez chwilę mierzył ją wzrokiem, hamując śmiech.

- Jest pani bardzo niewdzięczną kobietą.

- A pan bardzo niegrzecznym mężczyzną.

Otworzył usta, ale powstrzymała go gestem ręki.

- Nawet niech pan nie próbuje zaprzeczać. W dodatku lubi pan być taki.

Brand chciał zaprotestować, ale zrezygnował. Lady Westforth miała rację. Z przyjemnością naruszał głupie konwenanse.

- Nie znoszę udawania, że jestem inny, niż jestem. Jeśli oczekuje pani słodkich słówek i umizgów, najlepszy do tego będzie Chase.

Verena się uśmiechnęła.

- Nie oczekuję zalotów, ale chętnie przejadę się po parku, jeśli mi pan obieca, że właśnie tam nie zażąda swojej wygranej.

- Mam prawo się jej domagać, kiedy i gdzie zechcę.

- Proszę tylko, żeby był pan dżentelmenem.

Ni m Brandon zdążył odpowiedzieć, drzwi się otworzyły i Herberts zaanonsował pana Lansdowne'a. James ukłonił się St. Johnowi, ale jego twarz wyrażała dezaprobatę.

- Co za niespodzianka. Nie sądziłem, że pana tutaj zastanę.

Brandon uniósł brwi.

- A kogo pan się spodziewał? Przed domem stoi mój powóz.

Lansdowne zacisnął usta, więc lady Westforth odezwała się pospiesznie:

- Dziękuję za odwiezienie mnie do domu, panie St. John. Już nie mogę się doczekać naszej przejażdżki. Jutro o dziesiątej?

James nie wyglądał na szczęśliwego.

Brandon przez chwilę mierzył go wzrokiem, po czym ukłonił się gospodyni.

- Do jutra.

Przed wyjściem posłał jej spojrzenie, w którym widać było groźbę i obietnicę.

Gdy tylko drzwi się za nim zamknęły, Verena opadła na krzesło. Była wyczerpana.

- Do diabła!

- Właśnie. - James usiadł naprzeciwko niej. - Zniknęłaś bez słowa. Gdyby nie lady Farley, jeszcze bym grał, myśląc, że jesteś bezpieczna.

- Przepraszam. Zrobiło mi się gorąco.

Z powodu dwóch... nie, trzech kieliszków porto, ale nie było potrzeby wyjaśniać tego bratu.

James zmarszczył brwi.

- O co chodzi z tym jutrzejszym dniem? Chyba nie zamierzasz znowu spotkać się z St. Johnem?

- Zaprosił mnie na spacer, to wszystko.

- Ha! Na pewno chce więcej.

- Bzdura.

- Nie zauważyłaś, jak patrzy? Przez cały wieczór nie mógł od ciebie oderwać oczu.

- Bo obserwował, czy nie oszukuję.

- A oszukiwałaś?

- Próbowałam.

James pokręcił głową.

- Nie ufam mu.

Verena zacisnęła wargi. Ona również nie miała pojęcia, do czego zmierza Brandon St. John.

- Humford został zamordowany tuż po wyjściu z mojego domu.

Brat wytrzeszczył oczy.

- Zamordowany? Kto ci to powiedział?

- St. John. W taki sposób, jakby sądził, że już wiem.

- Do diaska! Nie podoba mi się to wszystko.

- Mnie również. Wybiorę się z nim na przejażdżkę i spróbuję czegoś dowiedzieć.

- To może być pułapka.

- Po co ktoś zastawiałby na mnie pułapkę? Nie mam nic do ukrycia.

James sposepniał.

- A jeśli to on szuka listy? I on zabił Humforda?

- Nie. - Dostrzegłszy niedowierzające spojrzenie brata, Verena się zarumieniła. - St. John nie ma nic wspólnego z tym morderstwem.

- Nie rozumiem, skąd twoja pewność.

- Nie potrzebuje pieniędzy. Już jest obrzydliwie bogaty. W dodatku sam powiedział mi o śmierci Humforda.

- I co z tego?

-Wszyscy sądzą, że Humford uciekł na wieś. Taka

plotka to doskonały sposób, żeby ukryć zabójstwo. Nikt nie będzie szukał biedaka. Morderca raczej unikałby wzbudzania podejrzeń.

- Chyba masz rację.

- Oczywiście, że mam.

Verena nie pozwoliła bratu dodać nic więcej. W głowie jej wirowało. Brandon St. John nie zabił Humforda, ale na pewno był wmieszany w sprawę zaginionej listy. Pozostawało jej wydobyć z niego prawdę.

O dziwo, ta myśl nie przyprawiła ją o niepokój, tylko o dreszcz podniecenia. Już w dużo weselszym nastroju Verena zaczęła planować atak. Niech niebiosy pomogą Brandonowi St. Johnowi, bo będzie tego potrzebował.

9

Mężczyźni są jak przerośnięte szczeniaki. Nie umieją zachować się w towarzystwie i mają fatalną skłonność do brudzenia dywanów.

Nowa żona sir Royce'a Pemberly'ego do panny Devonshire, która skarżyła się, że jej brat z uporem wnosi błoto do salonu.

Następnego ranka, wcześniej niż zwykle, Brand zwałkował się z łóżka i starannie ubrał. Myślami natychmiast pomknął ku Verenie. Cieszył się na ich małą przejażdżkę. Ale pierwszeństwo trzeba dawać najważniejszym rzeczom. Pobudka o nieludzkiej porze sprawiła, że był głodny jak wilk.

Uśmiechał się, idąc do White'a. Dotarłszy na miejsce, wypatrzył stolik w rogu i ruszył w jego stronę. Na widok znajomej twarzy zatrzymał się raptownie. Chase. Po chwili wahania podszedł do brata.

- Tu jesteś - powiedział, siadając na krześle.

Z zainteresowaniem rzucił okiem na jego talerz z jajecznicą na szynce.

- Co tu robisz? - Chase nie wyglądał na zachwyconego spotkaniem.

- Jestem członkiem klubu. Często tu przychodzę.

- Myślałem, że ratujesz mnie przed niebezpiecznymi kobietami. A może to było zeszlotygodniowe zadanie?

W Brandonie zatlił się gniew. Do diaska, tak usilnie starał się nie być marionetką Marcusa. Z drugiej strony Chase miał dar dostrzegania jego słabych punktów, a przyparty do muru, nigdy nie wahał się ich zaatakować.

Skinął na kelnera i kazał sobie podać śniadanie.

- Cieszę się, że cię znalazłem - powiedział.

Chase sięgnął po kieliszek i pociągnął z niego solidny łyk. Brandon poczuł zapach brandy. Z dezaprobatą ściągnął brwi.

- Nie za wcześnie?

- Raczej za późno. Jeszcze się nie kładłem.

Przymione światła pomniejszały zmarszczki wokół ust Chase'a, ślady hulaszczego trybu życia, widoczne zwykle u dużo starszych mężczyzn.

Brand z trudem powstrzymał się od uwag; jego brat niezbyt dobrze przyjmował wyrzuty. Zaczekał, aż kelner napełni jego talerz i odejdzie, a wtedy oznajmił:

- Muszę z tobą porozmawiać o czymś bardzo ważnym.

- Nie mam ci nic do powiedzenia.

- Chodzi o lady Westforth.

Chase wpił w niego oczy. Przez chwilę ciekawość walczyła w nich z udawaną obojętnością i w końcu zwyciężyła.

- Nadal pokazuje wszystkim twój czek? Może chciałbyś, żebym spróbował go od niej odkupić. - Brat znowu wziął do ręki kieliszek i rozparł się na krześle. - Nie, lepiej nie, bo miałaby z czego robić kolejne papierowe zwierzątka, prawda? Jeszcze trochę i uzbiera się jej cała menażeria.

- Teraz przerzuciła się na biżuterię. Wczoraj paradowała w naszym biurze z wyeksponowanym moim podpisem.

Chase odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem. Brand już nie pamiętał, kiedy ostatnio słyszał ten dźwięk.

- Drugiej takiej jak ona nigdzie nie znajdziesz. Mogłem ci o niej opowiedzieć, ale nie uznałem za stosowne zapytać. - Chase spowaźniał. - Właściwie nikt ze mną nie rozmawiał. Kiedy zrozumiecie, że już nie mam dziewiętnastu lat?

- Kiedy przestaniesz się zachowywać, jakbyś właśnie tyle miał. Przykro mi, że naruszyliśmy granice twojej prywatności, ale sam nas do tego zmusiłeś swoim postępowaniem.

Brandon spojrzął znacząco na kieliszek stojący przy łokciu brata.

- Nie potrzebuję ciebie ani Marcusa - prychnął Chase i ostentacyjnie napił się brandy. - Przestańcie się do mnie wtrącać za każdym razem, kiedy sądzicie, że mogę okryć hańbą błogosławione imię St. Johnów, dobrze? Mam tego dość.

Brand omal się nie skrzywił. Co się stało z jego młodszym bratem? Skąd ta gorycz?

- Naprawdę poprosiłeś Verenę o rękę?

Chase opuścił wzrok.

- A ona co powiedziała?

- Ani słowa. Zresztą wcale nie zamierzałem jej pytać. - Brandon dołożył sobie jajecznicę i w zadumie popatrzył na brata. - No więc?

- Nie muszę ci odpowiadać.

- Wiem.

Chase westchnął i odstawił kieliszek.

- Poprosiłem, żeby za mnie wyszła, ale mi odmówiła.

- Czy ty... ją kochasz? - Brandowi utknął w gardle kawałek szynki.

- Oczywiście, że nie.

Brandon przełknął kęs.

- Lady Westforth jest bardzo ładna.

- Powiem więcej. Ona jest wyjątkowa. Uczciwa, rzeczowa i...

- Oszukuje w kartach. Sam wczoraj widziałem.

Chase uśmiechnął się szeroko.

- My też oszukujemy.

- Tylko kiedy gramy ze sobą.

- A jak, twoim zdaniem, mogłaby pozwolić sobie na dom?

Brand uniósł brwi.

- Żyje z hazardu?

- Tylko jeśli musi.

- Sama ci to wyznała?

- Nie. Zaobserwowałem.

- Nie nazwałbym takiego postępowania uczciwym.

- Nikt nie jest doskonały. Nawet ty.

Brandon odsunął talerz.

- Nawet ja.

Kiedyś byli sobie bliscy, prawie nierozłączni, oczywiście wiele lat temu, ale czasami Brand tęsknił za dawnym Chase'em, który śmiał się bez rozgoryczenia, żartował i cieszył się życiem.

Ale wszystko się zmieniło. Jego brat również.

Może w jego słowach było trochę racji. Brandon zmarszczył czoło, bawiąc się serwetką. W końcu podniósł wzrok.

- Stało się coś, co ma związek z lady Westforth.

-Co?

- Powiem, ale nie wolno ci nikomu tego powtórzyć.

- Nawet Marcusowi?

- Nawet. Jeszcze nie. Póki nie rozwikłam sprawy.

Brat obrzucił go znużonym wzrokiem.

- O co chodzi?

Brandon opowiedział mu o wszystkich wydarzeniach aż do dzisiejszego dnia, ale nie wspomniał o pocałunku, który wygrał w karty.

Prawdę mówiąc, pomiął jeszcze parę rzeczy.

Chase potrząsnął głową.

- Verena nigdy nie wplątałaby się w taką straszną rzecz jak morderstwo.

- Nawet dla pieniędzy?

- Nie zrealizowała twojego przekłętego czeku, prawda? - Chase machnął ręką. - Jeśli potrzebuje pieniędzy, wygrywa je w karty.

Istotnie. Po ostatnim wieczorze spędzonym przy stoliku z dwoma pijanymi graczami Brandon uznał, że lady Westforth bez specjalnego trudu zarobiłaby na życie.

- Poza tym, gdyby znalazła się w naprawdę ciężkiej sytuacji, mogłaby wyjść za mnie - dodał brat.

Brandon cisnął serwetkę na stół.

- Masz rację.

Chase zmarszczył czoło, bębniąc palcami w stół.

- Pytałeś Verenę o tę zaginioną listę?

- Nie. Tylko napomknąłem o Humfordzie.

- Wiedziała o jego śmierci?

- Nie sądzę. Wyraz jej twarzy świadczył o kompletnym zaskoczeniu.

Brat popatrzył na niego w zadumie.

- Zdaje się, że sporo potrafisz wyczytać z twarzy Vereny, zwłaszcza jak na kogoś, kto jej nienawidzi.

- Nie czuję do niej nienawiści, tylko nie pochwalam jej stylu życia.

- W takim razie ją lubisz.

- Tego nie powiedziałem.

- Więc jej nie lubisz.

To również nie było prawdą, ale Brand sam przed so-

ba niechętnie się przyznawał, że lady Westforth budzi w nim coraz głębszy podziw, całkowicie niestosowny w obecnych okolicznościach.

Dostrzegłszy rozbawione spojrzenie brata, burknął:

- Do diaska, czego ode mnie chcesz?

- Przyznaj, że pomyliłeś się co do Vereny, że wcale nie jest taka, jak myślałeś.

- Nie wiem, co myślałem.

- Ale wszyscy inni wiedzą, zważywszy na sposób, w jaki ją potraktowałeś. Poszedłeś do jej domu i rzuciłeś pieniądze w twarz.

- Przesadzasz.

- Doprawdy? - Chase oparł łokcie na stole i pochylił się do przodu. - A powiedziec ci, co ja sądzę?

- Nie.

- Sądzę, że ona cię pociąga, od samego początku, a ty zachowujesz się jak ostatni gbur, bo wciąż sobie przypominasz, że ty, St. John, stoisz na wyższym szczeblu drabiny niż zwykła wdowa bez majątku.

- Nie jestem pompatycznym głupcem.

Chase odchylił się na oparcie krzesła z wyrazem powątpiewania na twarzy.

Jego słowa zabolaly Brandona. Niemal to samo mówiła o nim Verena.

- Nie jestem nadęty - powtórzył z urazą.

Brat zaśmiał się krótko.

- Całe życie byłeś taki cholernie doskonały, że czuliśmy się przy tobie jak zera.

- Nonsens. Daleko mi do doskonałości i pierwszy to przyznaję. Łatwo wpadam w gniew. Zawsze się spóźniam, choćbym bardzo starał się zdążyć na czas. Nie potrafię interesować się kobietą dłużej niż dwa tygodnie. I za żadne skarby nie umiem zawiązać muchy. Gdybyś wiedział, ile

razy próbowałem się nauczyć, nie wmawiałbyś mi teraz niestworzonych rzeczy.

- Tylko siebie posłuchaj. Nawet twoje wady są śmiechu warte. Jesteś taki doskonały, że aż bolą mnie zęby. - Usta Chase'a wykrzywił pobłażliwy uśmiešek. - Nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy i właśnie dlatego ludzie cię lubią, chociaż nie powinni.

- Rozmawialiśmy o Verenie.

Brat uniósł kieliszek i przyjrzał mu się pod światło.

- Już ci mówiłem, co o niej myślę. Podoba ci się to czy nie, ona nie jest zdolna do złych rzeczy. Na twoim miejscu powiedziałbym jej całą prawdę. Może razem z nią wyśmialiśbyś, jak pomóc przyjacielowi.

Brand chciałby, żeby wszystko było takie proste.

- Fakt, że nie miałem najlepszego zdania o lady Westforth, ale musisz przyznać, że ty też nie jesteś obiektywny. Uważasz ją za całkowicie niewinną.

- Uważam, że jest szczerą, łagodną, rozsądną i dobrą kobietą, która okazała mi współczucie w czasie, kiedy... - Chase zasnurował usta.

Brandon sięgnął przez stół i chwycił go za nadgarstek.

- Kiedy co? Skąd się wzięło twoje rozgoryczenie?

Przez chwilę myślał, że brat się przed nim otworzy, ale Chase znowu spochmurniał. Demony wróciły.

- Do diaska, musisz komuś się zwierzyć.

Ich spojrzenia się zwarły i Brand niemal drgnął, gdy zobaczył ból w oczach brata. Ale Chase szybko zamaskował cierpienie krzywym śmiechem i uwolnił rękę.

- Ja sam muszę się z tym uporać. Popełniłem błąd. Najgorszy, jaki można popełnić. I muszę za niego zapłacić.

- Tylko mi powiedz...

- Nie. Bo próbowałbyś wszystko naprawić, a nie dałbyś rady. Nie tym razem.

- Przekonaj się.

Brat utkwiał w nim wzrok.

- Jeśli wyznam ci swoje grzechy, obiecasz, że powstrzymasz się od działania? Naprawienie krzywdy, którą wyrządziłem, to mój obowiązek.

- Krzywdy?

- Przrzeknij.

Ciche słowo wypełniło przestrzeń między nimi. Brandon wstrzymał oddech. Jeśli nie da obietnicy, Chase nie powie mu, co się stało. Z kolei jeśli ją złoży, będzie miał związane ręce i nawet w razie konieczności nie pomoże bratu.

Po dłuższej chwili potrząsnął głową.

- Nie mogę. Wiesz, że nie mogę.

Chase obrzucił go pałającym wzrokiem.

- Tak przypuszczałem.

- Cokolwiek się stało, musisz komuś o tym powiedzieć.

- Wiem. - Chase westchnął ciężko i zmusił się do uśmiechu. - Chciałbym zostać i pogawędzić, ale muszę już iść. Jestem St. John, wiesz. Czekają na mnie karty, brandy, kobiety i tak dalej.

- Nie mam pojęcia, co cię dręczy, ale picie i rozpusta na pewno nie pomogą.

- Nie, ale dzięki nim zabiję czas, póki nie nabiorę odwagi, żeby zrobić to, co muszę.

Zasalutował w żartach i ruszył do wyjścia.

Brand odprowadził go wzrokiem, stwierdzając z bólem, że jest bezradny, póki Chase sam nie będzie gotowy się zwierzyć.

Tymczasem mógł pomóc Wychamowi, który pewnie rwał sobie włosy z głowy, czekając na wieści. Musiał go powiadomić, co się wydarzyło. A potem złożyć wizytę Verenie i zabrać ją na obiecaną przejażdżkę po parku. Będzie z nią sam na sam i nikt im nie przeszkodzi.

Już się niecierpliwiąc, poprosił o pióro i papier, po czym szybko skreślił liścik do Rogera.

- Poproszę o masło.

Verena podała bratu maselniczkę, a następnie z ponurą miną obserwowała, jak James szykuje sobie grzanekę.

- Nie wiem, jak możesz jeść w takich okolicznościach.

- Jedzenie pomaga mi myśleć.

Siostra zmierzyła wzrokiem jego szczupłą sylwetkę.

- Najwyraźniej dużo nie myślisz.

- Tylko kiedy jestem zmuszony przez okoliczności. -

Ugryzł grzanekę.

Verena uśmiechnęła się, choć to była ostatnia rzecz, na jaką miała ochotę. Wspomnienia poprzedniej nocy nie dawały jej spokoju. Naprawdę siedziała na kolanach St. Johna i całowała go z rozpustnym zapamiętaniem?

Dotknęła palcami warg. Nie czuła się tak cudownie od śmierci Andrew. Szkoda tylko, że źródłem rozkosznych doznań był Brandon St. John. Ich znajomość nie mogła trwać długo. Nie powinna nawet pozwalać sobie na snucie jakichkolwiek planów. Już raz została odtrącona przez towarzystwo i nie zamierzała dopuścić do podobnej sytuacji po raz drugi.

Drzwi się otworzyły i do jadalni wszedł Herberts.

- Witam, milady! Wasza lordowska mość.

- Pan Lansdowne nie jest lordem. Powinieneś zwracać się do niego „sir”.

- Sir? Spróbuję zapamiętać.

- Dziękuję. Chcesz czegoś?

- Przyszła poczta. - Kamerdyner wziął z niewielkiego stosiku pierwszy list i uniósł go do światła padającego z okna. - Wygląda na to, że lady Burton wydaje kolejny bal. Czy przypadkiem nie wyprawiała jakiegoś w zeszłym

tygodniu? Chyba nie ma nic lepszego do roboty, jak urządzić przyjęcia.

- Herberts - jęknęła Verena. - Nie wolno ci czytać mojej poczty ani tego próbować. Nigdy.

- A jeśli wpadnie otwarta w moje ręce?

- Zwłaszcza wtedy.

Kamerdyner z westchnieniem postawił tacę obok gośpodyni.

- Rany! Ma pani regułę na wszystko, co?

Jeszcze raz westchnął i wymaszerował z pokoju.

James parsknął śmiechem.

- Może pozwolisz mu jechać ze mną do Włoch. Byłby dużo zabawniejszy niż człowiek, który teraz u mnie pracuje. Roberts jest strasznie poprawny. Wręcz nudny.

Verena zaczęła przeglądać korespondencję.

- Bierz go z moim błogosławieństwem. Już się zastanawiałam, czy nie powiedzieć wicehrabinie Hunterston, że Herberts wprawdzie jest miłym staruszkiem, ale zbyt... - Podała bratu jeden z listów. - To do ciebie.

James wziął go z wahaniem i powoli rozerwał kopertę. W miarę jak czytał, jego twarz bladła.

- Co się stało? - zapytała Verena.

Brat bez słowa wręczył jej list.

Pismo było takie samo jak w pierwszym.

Lansdowne!

Masz tylko tydzień na znalezienie brakującego dokumentu. Nie rób niczego głupiego. Obserwujemy cię. Jeśli zawiedziesz, ty i lady Westforth drogo za to zapłacicie.

Gdy w milczeniu oddała świstek bratu, James zaklął pod nosem. Verena wstała. Była zbyt zdenerwowana, żeby usiedzieć w miejscu.

- Zastanówmy się - powiedziała. - Wydaje się, jakby szantażyści sądzili, że... - Rozejrzała się po pokoju. - Wiemy, że Humford był zamieszany w tę sprawę, tak?

- Tak. - Brat ze zrozumieniem pokiwał głową. - Co oznacza, że powinniśmy zacząć tutaj.

- Właśnie. Był w tym domu tuż przed śmiercią, niecały miesiąc temu. Tydzień przed twoim przyjazdem.

- Znałaś go dobrze?

- Niezupełnie. Często towarzyszył lady Jessup. Zapraszałam go ze względu na nią.

- Tamtego wieczoru nie wydał ci się inny?

- Był roztargniony, ale poza tym... cóż, wyszedł wcześniej.

James zmrużył oczy.

- Dlaczego?

Verena ściągnęła brwi.

- Wszyscy siedzieliśmy w jadalni, czekając na drugie danie. Późno zaczęliśmy z powodu wicehrabiego Wychama. Spóźniał się. - Zaczęła chodzić po pokoju. - W końcu uznałam, że już nie przyjdzie, i zaprosiłam gości do stołu. Tuż przed głównym daniem Humford nagle się zerwał i wybiegł. Było to bardzo dziwne... - Przygryzła wargę. - Zaczekaj. Coś pamiętam. Idąc, klepał się po kieszeniach, jakby...

- ... coś zgubił. - Oczy Jamesa rozbłysły. - Myślisz, że twój kamerdyner mógł ukraść mu listę?

Verena podeszła do drzwi.

- Herberts!

Sługa zjawił się niemal natychmiast, z głową okręconą starą szmatą, ze ścierką w jednej ręce, a srebrną łyżką w drugiej.

- Tak, proszę pani?

Verena z trudem oderwała wzrok od jego turbanu.

- Muszę ci zadać kilka pytań.

Herberts zasalutował łyżką.

- Niech pani pyta!

Od czego zacząć?

- Czy list, który trzyma pan Lansdowne, przyszedł z resztą poczty?

Kamerdyner potrząsnął głową.

- Nie, proszę pani. Znalazłem go rano na ganku. Cud, że wiatr go nie zwiął.

- Widziałeś, kto go przyniósł?

- Nie. Nikogo tam nie było, choć poszedłem do drzwi, jak tylko ktoś zapukał.

Verena zaczerpnęła powietrza.

- Może przyjść więcej takich listów. Chcę, żebyś zaobserwował, kto je przynosi, i natychmiast mnie powiadomił.

- Dobrze, milady. Coś jeszcze?

- Tak. Opróżnij kieszenie.

- Teraz?

- Teraz.

Kamerdyner jęknął.

- Powinienem wrócić do czyszczenia srebra, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu....

- Herberts!

Sługa sapnął głośno, odłożył łyżkę, po czym zaczął grzebać w kieszeniach i wykładać ich zawartość na stół.

James wytrzeszczył oczy i aż pochylił się do przodu.

- Dobry Boże!

Verena popatrzyła na błyszczący łup: cztery dewizki, trzy pierścionki, dwie spinki do krawata, złoty zegarek, siedemnaście mosiężnych guzików.

- Herberts!

- Przepraszam, milady. Jakoś same wpadły mi w ręce.

Verena wskazała na guziki.

- One również?

- Akurat je musiałem odciąć, ale reszta po prostu sobie leżała.

- W czyjejś kieszeni - wtrącił James, hamując śmiech. - Jesteś niezrównany, Herberts.

Kamerdyner poprawił nakrycie głowy.

- Przepraszam, milady. Więcej tego nie zrobię.

- To samo obiecywałaś ostatnio.

- Tym razem mówię poważnie.

Verena przyglądała się skradzionym rzeczom.

- Widzisz coś podejrzanego? - spytał brat.

Siostra potrząsnęła głową.

- Do diabła! - zaklął James.

Rzeczywiście, do diabła! Verena z przymusem uśmiechnęła się do kamerdynera.

- Dziękuję. To wszystko... Zaczekaj.

Podeszła do sekretarzyka i otworzyła szufladę, w której znajdowały się poprzednie łupy Herbertsa. Bezceremonialnie wysypała je na stos nowych, po czym wybrała spośród nich kilka przedmiotów i wręczyła je zdumionemu słudze.

- Masz, weź je.

Kamerdyner się rozpromienił.

- Mogę je zatrzymać?

- Nie. Oddasz je... kiedyś. Na razie niech twoje kieszenie będą pełne, to może przestanie cię kusić, żeby ukraść coś jeszcze.

Herberts schował skarby do kieszeni i pokiwał głową.

- To dobre, milady! Przechytryła mnie pani. - Wzięta ze stołu łyżkę i dodał z miłym uśmiechem: - Dokończę srebro, jeśli nie ma pani do mnie nic więcej.

- Jeszcze jedno - odezwał się James. - Czy w ciągu ostatnich tygodni, gdy wykonywałaś swoje obowiązki, znalazłeś przypadkiem jakąś listę?

- Nie.

- Dziękuję, Herberts, to wszystko - powiedziała Verena, wyraźnie zawiedziona.

Po wyjściu sługi opadła na krzesło.

- Niecelny strzał.

- Ale należało spróbować. - James postukał palcem w list. - Co wiemy, Ver? Ojciec zawsze mówił, żebyśmy przemyśleli sprawę.

Siostra zmierzyła go wzrokiem. Brat miał zupełnie inne uzdolnienia niż ona. Był strategiem. Ojciec często nazywał go generałem, i nie bez powodu. James nigdy nie robił nic bez namysłu. Wszystko miał zaplanowane, od koloru fularu po rodzaj butów.

Teraz w zadumie potarł brodę.

- Rozumiałbym, gdyby domagali się jakiegoś klejnotu albo złota, ale oni przysłali żądania tak zawołowane, jakby list był pisany... Cholera! To niemożliwe...

Verena nachyliła się do przodu.

- O co chodzi?

James zmarszczył czoło.

- Wiesz, gdzie mieszkał Humford?

- Nie. Ale lady Jessup powinna wiedzieć.

Brat zacisnął wargi. Ojciec zawsze uważał, że trzeba być tym, kim się chce, pod warunkiem, że jest się najlepszym. Nauczył swoje dzieci najważniejszych, jego zdaniem, umiejętności: gry w karty, robienia zakładów, strategii, ubierania się i rozmawiania jak ludzie z wyższych sfer.

Trzeba mu oddać, że James umiał jeździć konno, tańczyć, fechtować, wymieniać dowcipne uwagi z książętami, ale również z plebem. Wiedział, jak płacić tanio w gospodach, jak znajdować najczystsze łóżka i najniższe ceny w miejskich hotelach. Potrafił modnie się ubrać, nawet kiedy miał puste kieszenie. I rozumiał, że obecna sytuacja wy-

maga większej przebiegłości niż ta, do której jest zdolna Verena.

Kiedyś była ulubienicą ojca. Nazywał ją swoim arcydziełem, bo odziedziczyła ładną twarz po matce, a zręczne palce po nim. Twierdził, że to kombinacja nie do pobicia.

Ale Verena nigdy nie miała serca do krętactw i gier. Po tem poznała wicehrabiego Westfortha i szybko wyszła za niego za żonę. Ku żalowi ojca, który uważał, że mogłaby złapać co najmniej hrabiego. Lecz ona postawiła na swoim, poślubiając ukochanego Andrew i na zawsze porzucając styl życia Lansdowne'ów.

I dobrze zrobiła według Jamesa. Była bezpieczna, przynajmniej póki on się nie zjawił. Z irytacji usztynił ramiona, po czym wstał i rzucił serwetkę na stół.

- Idę się rozejrzeć. Nie wychodź nigdzie do mojego powrotu.

- Ale St. John...

- To on powiedział ci o Humfordzie. Coś knuje, Ver. Nie ufam mu.

Siostra przez chwilę milczała, a następnie uniosła głowę i westchnęła.

- Dobrze, ale nie zamierzam potulnie siedzieć w domu, gdy ty będziesz szalał po mieście.

Brat schował list do kieszeni.

- Złóż wizytę lady Jessup i dowiedz się, gdzie mieszkał Humford. Jak wrócę, razem pojedziemy do jego mieszkania.

Verena odprowadziła go do drzwi.

- Bądź ostrożny. Jesteś jedynym bratem, jakiego mam. James uśmiechnął się szeroko i pocałował ją w czoło.

- Ty też uważaj. Jeśli nie wrócę do północy, pozamykaj drzwi. Przyjdę, gdy tylko będę mógł.

Mrugnął do niej okiem i wyszedł. Verena usłyszała jego prośbę o płaszcz, a potem stłumioną odpowiedź Herbertsa.

Gdy zegar na kominku wybił godzinę, uświadomiła sobie, że wkrótce zjawi się St. John. Nie miała teraz czasu na bzdury, choć w głębi serca wiedziała, że to wcale nie są bzdury. Tak bardzo chciała wybrać się na tę przejażdżkę. Cóż, Brandon będzie musiał zadowolić się przeprosinami.

Zostawiła korespondencję rozrzuconą na stole, wyszła z jadalni i kazała postawić sobie powóz.

10

„Wasza miłość”? Wolalabym zwracać się do niego „wasza hańba”. Byłoby to dużo bardziej stosowne.

Panna Devonshire do swojej przyjaciółki panny Mitford, komentując skandaliczne zachowanie diuka Clarence'a, ojca wielu nieślubnych dzieci.

Dużo później tego dnia Verena wróciła od lady Jessup. Biedna kobieta była wstrząśnięta nowiną o śmierci Humforda, co nie przeszkodziło jej podjąć próby wyciągnięcia od gościa wszelkich szczegółów.

Niestety Verena nie miała się czym z nią podzielić, co lady Jessup uznała za wyzwanie. Pomyślała, że lady Westforth zachowuje smakowitsze kąski dla siebie, ukrywa je jak samorodki złota. I żadne zapewnienia nie były w stanie jej przekonać, że to nieprawda. Poddała Verenę indagacji, przeplatanej rzewnymi wspomnieniami o Humfordzie i litanią ich banalnych rozmów.

Gdy Verenie w końcu udało się uciec, była wyczerpana. Kiedy jej powóz zatrzymał się przed frontowym wejściem, zobaczyła Jamesa. Brat przystanął na najniższym stopniu i na nią poczekał.

- N o i?

- Dray Street 12.

- Doskonale. Weźmiemy mój powóz. Kazałem zmienić konie. Zaraz ruszamy.

Ujął ją pod ramię i ruszył po schodach.

- Czego się dowiedziałeś?

James posłał jej tajemniczy uśmiech i zastukał do drzwi mosiężną kołatką.

- Nie tyle, ile miałem nadzieję, ale...

Herberts powitał ich wylewnie.

- A, milady i milord! To znaczy „sir”.

Wziął od swojej pani płaszcz, natomiast po okrycie i kapelusz jej brata sięgnął mężczyzna o dość groźnym wyglądzie, zmierzwionych blond włosach i zdumiewającej liczbie piegów.

- Kto to jest? - zapytała Verena.

Nieznajomy ukłonił się i uśmiechnął szeroko, demonstrując krzywe zęby i dołek w brodzie.

Herberts odchrząknął.

- Niewiele mówi, co uważam za zaletę. Nazywa się Peters. Jest nowym lokajem.

Verena zmarszczyła brwi.

- Nie zatrudniałam nowego...

- Właśnie, proszę pani. Tak mu powiedziałem, naprawdę, kiedy przyszedł i błagał o posadę. „Peters”, mówię, „to nie ja zatrudniam lokajów, ale mogę ci zdradzić, że akurat bardzo jednego potrzebujemy”. Prawda, Peters?

Mężczyzna energicznie pokiwał głową.

- Dopiero się szkoli - dodał kamerdyner, obrzucając go krytycznym spojrzeniem. - Myślę, że będzie dobry, jak nabierze wprawę.

James prychnął.

Herberts nachylił się ku lady Westforth i dorzucił konspiracyjnym szeptem:

- I prawie nic nie kosztuje.

- Tak? Cóż... nie, jednak nie. Nie mogę zatrudniać...

- Peters, nie ciągnij płaszcza jego lordowskiej mości po podłodze! - huknął kamerdyner. - Chcesz spędzić resztę popołudnia na jego czyszczeniu?

- Tak, sir! - Dobrotliwy uśmiech nie opuścił twarzy lokaja.

- No! A teraz zmykaj - polecił Herberts. - Zabierz płaszcz do kuchni i rozwieś go przy piecu, tak jak cię uczyłem.

Peters posłusznie ruszył przez hol.

- I nie wkładaj go przypadkiem! - zawołał za nim kamerdyner. - To wbrew zasadom.

James z trudem hamował śmiech.

Verena westchnęła.

- Herberts, nie mogę sobie pozwolić na kolejnego...

- Cii, proszę pani. Wiem, jak się rzeczy mają. To dlatego Peters świetnie się nada. Bo widzi pani, powiedziałem mu, że większość lokajów nie dostaje pensji, póki nie odsłuży co najmniej pół roku. Okres szkolenia.

- Pół roku... Herberts! Ten człowiek umrze z głodu.

- Nonsens. Dostanie pokój i wyżywienie. Czego więcej potrzeba człowiekowi, ja się pytam? A jeśli pani się martwi o jego szkolenie, sam się nim zajmę.

- Chciałbym to zobaczyć - wtrącił James.

- Nie podoba mi się ten pomysł - stwierdziła Verena.

- Och, daj spokój, Ver. Masz nowego lokaja, który będzie cię kosztował tyle co nic. Chodźmy do salonu. Chętnie posłucham, co miała do powiedzenia lady Jessup.

Lady Westforth westchnęła. Może rzeczywiście nie zaszkodzi wypróbować Petersa? Ostatecznie już zatrudniła złodzieja jako kamerdynera.

- Dobrze, Herberts. Powiadam nas, kiedy powóz pana Lansdowne'a będzie gotowy.

- Oczywiście, milady! A właśnie, miała pani gościa. - Sługa zaczął grzebać w kieszeniach. - Miły džentelmen. Ten sam co kiedyś. Wysoki, czarne włosy. Wydawał się trochę zdenerwowany, że pani nie zastał... O, jest! Prosił, żebym pani to dał.

Verena wzięła od niego pomięty kartonik. Na grubym welinie widniał herb St. Johnów i jedno słowo: „Szósta”.

Brat zabrał jej wizytówkę z ręki.

- James! Oddaj mi ją. To tylko...

- Widzę, co to jest. Nie podoba mi się, że ten... - Zerknął na sługę, który przysłuchiwał się ich rozmowie, kiwając głową. - To wszystko, Herberts. Dziękuję.

Ujął siostrę pod łokieć i poprowadził ją do salonu. Zamknąwszy drzwi, jeszcze raz spojrzął na wizytówkę i cisnął ją na mały stolik stojący przy sofie.

Verena sięgnęła po kartonik i tym razem zwróciła uwagę na pismo. St. John musiał być wściekły. Oto kolejny powód, dla którego powinna zakończyć ich mały flirt. Po co jeszcze bardziej komplikować sobie życie?

- Ver, zastanawiałem się... Musimy znaleźć tę listę.

- Nawet nie wiemy, jak ona wygląda!

Jamesowi zrzędła mina.

- Do diaska! - warknął, ale widać było mu jeszcze mało, bo dorzucił przekleństwa po włosku, francusku i niemiecku.

Siostra zmierzyła go wzrokiem.

- Już skończyłeś?

- Jeszcze nie. - Zaklął po rosyjsku. - No, teraz lepiej.

- To świetnie. - Verena odłożyła wizytówkę na stolik. - Czego się dowiedziałeś?

James milczał przez chwilę, po czym westchnął.

- Przyszło mi do głowy, że skoro Humford był hazardzistą, lady Farley mogła go dobrze znać.

- I co?

- Dość często grywał w Bramie Piekieł w tygodniach poprzedzających jego śmierć. W każdym razie do czasu, kiedy odmówiła mu wstępu.

- Długi?

- Ponad dziesięć tysięcy funtów.

Verena zagwizdała cicho.

- Interesujące. Więc potrzebował pieniędzy, i to bardzo.

- Co nasunęło mi kolejny wniosek. Wspomniałaś, że chwalił się swoimi powiązaniem z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych.

- Tak. Mocno z niego pokpiwano z tego powodu.

- Sądzę, że mówił prawdę.

Verena zmarszczyła brwi.

- Humford? Pracował dla ministerstwa? Nie żartuj. Był bardzo miły, ale nie nazwałabym go dobrze poinformowanym.

James potrząsnął głową.

- Nie przypuszczam, żeby robił coś ważnego, ale w jego ręce mogło wpaść coś cennego. Na przykład lista.

Verena przekrzywiła głowę, zastanawiając się nad tymi słowami.

- W takim razie sprawa rzeczywiście jest poważna - przyznała po chwili.

Brat uśmiechnął się niewesoło.

- Tego się obawiam. Jeśli dokument pochodzi z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, może chodzić o bezpieczeństwo kraju. Co gorsza, ktoś myśli, że Humford zostawił go tutaj.

- O, Boże, masz rację. Musimy znaleźć listę. - Verena przycisnęła palce do skroni. - Ciekawe, jakiej jest wielkości? I co zawiera? Dziesięć nazwisk? Czy sto adresów?

Może nawet być zaszyfrowana i wyglądać jak kwit z pralni. Albo spis zawartości szuflady księcia. Albo nawet...

- Spokojnie! Nie daj się ponieść wyobraźni. Nasza sytuacja już jest dostatecznie trudna.

- Musimy ją znaleźć. - Verena rozejrzała się po salonie. - Chyba powinniśmy zacząć od tego pokoju.

- Ja też tak uważam.

- Powiem Herbertsowi, żeby kazał odprowadzić twój powóz do stajni.

- Dobrze. Ja przeszkam hol.

- A ja jadalnię. Humford właśnie tam się zorientował, że zgubił listę.

James ruszył do drzwi.

Dwie godziny później spotkali się w salonie. Verena usiadła w fotelu blisko kominka, James rozłożył się na sofie. Oboje byli pokryci kurzem i pajęczynami. Przeszukali dom od parteru po dach, zajrzeli nawet na strych. Zaanżelowali również służących, choć gospodyni nie potrafiła udzielić im bardziej szczegółowych wskazówek oprócz tej, że zgubiła świstek papieru.

Teraz westchnęła ze znużeniem i wyciągnęła przed siebie nogi. W tym momencie rozległo się głośne pukanie i do pokoju wszedł Herberts z rogalikami i parującym dzbankiem herbaty.

- Cudownie! - wykrzyknęła Verena z radością. - Jestem strasznie głodna!

- Tak właśnie sobie pomyślałem, proszę pani. - Kamerdyner postawił tacę na małym stoliku. - Powiedziałem do kucharki: „Nikt nie wie, czego szukają, ale uwierz mi na słowo, że na pewno zgłodnieją”.

- Miależ rację.

Sługa pokiwał głową, obserwując, jak gospodyni nale-

wa herbaty do dwóch filiżanek. Potem nachylił się do Lansdowne'a i rzucił konfidencjonalnym tonem:

- W prawej górnej szufladzie biurka jest brandy. Nie-wiele, ale wystarczy, żeby dodać trochę smaku temu mdłemu płynowi, który tak lubi milady.

James uśmiechnął się szeroko i wstał z sofy.

- Herberts, jesteś wart tyle złota, ile ważysz.

Kamerdyner wypiął wąską pierś, a na jego wymizeryowanych policzkach pojawił się lekki rumieniec.

- Staram się, jak mogę. Znalazła pani to, czego szukała, milady?

- Niestety nie.

- A mogę zapytać, co zginęło? Sam jestem w pewnym sensie zbieraczem, więc niewiele umyka mojemu wzrokowi.

Verena zerknęła na brata. James odpowiedział jej lekkim wzruszeniem ramion.

- Zgubiliśmy coś bardzo ważnego. Pewną listę.

- Czego?

- Nie wiem. - Widząc zdziwione spojrzenie kamerdynera, dodała pospiesznie: - To nie moja lista, należy do kogoś innego, ale zgubiono ją tutaj.

- Domyślam się, że jest cenna?

- Bardzo.

- Bez obawy, milady. Znajdę ją albo nie nazywam się Henry Harold Henry Herberts.

James, który właśnie spróbował łyk wzmocnionej herbaty, zakrztusił się.

Sługa pokiwał głową.

- Trochę pogmatwane, co? Właśnie dlatego chciałem zostać kamerdynerem. Nikogo nie obchodzą moje imiona, wszyscy nazywają mnie Herberts. To prawdziwa ulga. - Upewniwszy się, że jego pani niczego nie brakuje, ruszył do wyjścia. - Proszę zadzwonić, gdyby pani mnie potrzebowa-

ła. Będę w holu uczył Petersa właściwego otwierania drzwi.

Gdy zostali sami, James parsknął śmiechem.

- Chciałbym, żeby ojciec go poznał.

- A ja nie, bo mógłby go zepsuć. - Verena ugryzła posmarowany masłem rogalik i westchnęła z rozkoszą. Mi-
nęła dłuższa chwila, nim znowu mogła mówić. - Zastana-
wiam się, czy nie poszukać innych tropów.

- Gdzie?

- Nie wiem. Gdzieś. Może na przyjęciu.

James dokończył swój rogalik i w zamyśleniu pokiwał
głową.

- Masz listę gości, którzy byli na tamtej kolacji?

- Oczywiście. - Siostra wstała i podeszła do sekretarzy-
ka stojącego w rogu pokoju. Otworzyła go, pogrzebała
w stosie papierów i wyjęła z niego jakąś kartkę. - Jest.

James rzucił okiem na nazwiska i uniósł brwi.

- Imponujące. Obracasz się w lepszym towarzystwie.
Verena zmarszczyła nos.

- Powiedz to Brandonowi St. Johnowi. On uważa mnie
za niewiele lepszą od kobiety lekkich obyczajów.

Brat sposepniał.

- Co zamierzasz zrobić w kwestii pocałunku, który mu
jesteś winna?

Verena się zakrztusiła.

- Dobry Boże, skąd wiesz...

- Od lady Farley - odparł James krótko.

- Powinam się domyślić. To straszna plotkarka.

- Co ty sobie myślałaś, Ver? Nie mogę uwierzyć, że
przystałaś na taki zakład?

- Wiem, wiem. Byłam trochę...

Ugryzła się w język. Nie zamierzała się przyznać, że
wypiła za dużo porto. Zwłaszcza po tym, jak sama wielo-
krotnie upominała brata, żeby się lepiej zachowywał.

James z dezaprobatą potrząsnął głową.

- Niechętnie stwierdzam, że nie masz teraz wyboru. St.
John to taki typ mężczyzny, że każdy opór tylko zwięks-
sza jego determinację.

- Nie chcę go całować.

Już to zrobiła. I chciała jeszcze. Ale James by jej nie
zrozumiał, podobnie jak ona nie rozumiała samej siebie.

Brat przez chwilę przyglądał się jej badawczo.

- Jesteś pewna?

- Oczywiście. Ale musimy ustalić, co St. John wie
o sprawie. Musi być jakiś powód, że wspomniał o śmierci
Humforda. Zupełnie, jakby poddawał mnie jakiemuś
sprawdzianowi.

James potarł brodę.

- Masz rację. W takim razie spotkaj się z nim, ale w mo-
jej obecności.

- Dobrze. Ciekawe, czego on naprawdę chce?

James prychnął.

- Mogę ci powiedzieć.

Verenę zapiekły policzki.

- Nonsens. Po co by się mną interesował, skoro otacza
go tyle chętnych kobiet? Nie, myślę, że chodzi mu o coś
innego. Zastanawiam się, czy przypadkiem nie podejrze-
wa, że mamy coś wspólnego ze śmiercią Humforda.

- Bzdura. Po prostu szuka pretekstu, żeby być z tobą.
Nie doceniasz swojej atrakcyjności. Jesteś bardzo podob-
na do matki.

- Dziękuję. Nie znam większego komplementu.

James się uśmiechnął.

- Tęsknisz za nimi?

- Za rodzicami? Oczywiście. Ale pragnęłam innego ży-
cia, a ojciec... - Verena potrząsnęła głową. - Nigdy nie po-
chwalałam mojego małżeństwa z Westforthem.

- Ma wobec nas wysokie oczekiwania. Nie sędzę, żeby pochwalał mój styl życia.

- To nieprawda. Zawsze mówił, że tylko szukasz odpowiedniego wyzwania i kiedy je znajdziesz, osiągniesz więcej niż ktokolwiek.

- Oby się nie mylił. - James schował listę gości do kieszeni. - Powiniennem ruszać. Mieszkanie Humforda może kryć wiele śladów.

- Pojadę z tobą.

Brat spojrział na wizytówkę leżącą na stoliku.

- A co ze spotkaniem o szóstej? Możemy nie wrócić do tej pory.

- I dobrze. Spotkam się z nim na moich warunkach. - Verena uśmiechnęła się na myśl o irytacji St. Johna, kiedy zjawi się u niej ponownie i usłyszy, że właśnie wyjechała. Niezależnie od rezultatu cieszyła się ze swojej małej gry. Dostrzegłszy zatroskany wyraz twarzy brata, posłała mu uśmiech. - Nie obawiaj się. Noszę nazwisko Westforth, ale urodziłam się jako Lansdowne.

- Nie każ St. Johnowi czekać za długo. Nie jest mężczyzną, który będzie tolerował takie manewry. Ale pamiętaj, tylko jeden pocałunek, Vereno... Jeden krótki pocałunek.

Verena sięgnęła po wizytówkę. Gładki papier był miły w dotyku, pismo takie samo jak pocałunek: śmiałe i zdradzające pewność siebie. Ciekawe, czy Brandon umiałby całować inaczej: ciepło, delikatnie, lekko jak muśnięcie piórkiem i... Niemal się uśmiechnęła. Nie potrafiła wyobrazić sobie St. Johna zachowującego się powściągliwie.

Dostrzegłszy zaintrygowane spojrzenie brata, poczerwieniała.

- Obawiam się, że bardzo krótki pocałunek tylko rozbudziły w nim apetyt. Z drugiej strony, gdy ludzie są roz-

gniewani, mają skłonność do mówienia wszystkiego, co im przyjdzie do głowy, więc mogłabym wyciągnąć z niego interesujące nas rzeczy, a potem odprawić.

James się rozchmurzył.

- W takich chwilach przypominasz mi matkę.

- Ojciec nie bez powodu nazywa ją swoim Bastionem Logiki.

Brat otoczył ją ramieniem i uściskał.

-Jesteś taka sama jak ona. Dałbym ci całusa, ale masz umorusany policzek.

- A ty pajęczynę za lewym uchem.

James uśmiechnął się szeroko.

- Lepiej doprowadźmy się do porządku.

- Dobrze.

Gdy oczyścili się z pajęczyn i kurzu, wsiedli do powozu i ruszyli do mieszkania Humforda, zostawiając Herbertsa i Petersa, żeby odstraszać intruzów.

Dokładnie o szóstej Brandon St. John zjawił się pod Westforth House. Był w podłym nastroju. Nie dość, że rano nie zobaczył się z Vereną, to jeszcze nie udało mu się niczego dowiedzieć o sytuacji Wychama. Próbował nawet skontaktować się z lordem Colburnem, ważną figurą z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i znajomym Devona.

Patrząc teraz na rezydencję, zmarszczył brwi. Do m wy-dawał się zbyt spokojny. Kazał stangretowi oprowadzić konie, a sam wbiegł po schodach. Na ganku schował rękawiczki do kieszeni i sięgnął do kołatki. Ku jego zaskoczeniu drzwi się otworzyły, nim przebrzmiał jej stuk, ale w progu stał nie Herberts, tylko piegowaty wielkolud ze szczerbatym uśmiechem. Mężczyzna wyprostował się dumnie, odchrząknął i zapytał:

- Czego pan chce?

- Gdzie Herberts?

- Tutaj! - zawołał kamerdyner, uśmiechając się do niego zza ramienia olbrzyma. - Szkolę nowego lokaja. No, Peters, odsuń się trochę, żebym widział tego dżentelmana. - Gdy podopieczny spełnił polecenie, stary sługa za-gaił: - Jak leci, panie St. John? Zmienna pogoda, co?

Nie tak bardzo jak nastrój Brandona.

- Przyszedłem zobaczyć się z lady Westforth.

- Naprawdę? Jaka szkoda!

- Dlaczego?

- Bo jej nie ma.

Paskudny humor Brandona jeszcze się pogorszył.

- Dałeś jej moją wizytówkę, tak jak prosiłem?

- Oczywiście! Wręczyłem ją, gdy tylko milady wróciła z panem Lansdowne'em do domu.

Lansdowne. Brandon stwierdził, że szczerze nienawidzi tego nazwiska.

- Domyślam się, że lady Westforth wyszła zaraz po nim.

- O, nie! Wyszli razem. Mieli ważną sprawę do załatwienia, wie pan. Bardzo przykrą sprawę.

St. John ściągnął brwi.

- O czym ty mówisz? Jaką przykrą sprawę? Czy coś się stało...

- Ech! Miałem nic nie mówić, więc udawajmy, że nic nie powiedziałem. - Obejrzał się przez ramię na Peter-sa. - Widziałeś, jak narozrabiałem? Pozwoliłem, żeby prywatna sprawa lady Westforth dostała się do wiadomości publicznej? Nigdy nie rób czegoś takiego. To wbrew zasadom. - Odwrócił się z powrotem do gościa.

- Powiem mojej pani, że pan tutaj był, ale lepiej niech pan już idzie. - Spojrzał na ciemne niebo i potrząsnął głową. - Zanosi się na deszcz, prawda?

Brandon poszedł za jego wzrokiem.

- Wątpię...

Łup! Drzwi zamknęły się z hukiem, tuż przed jego nosem.

Brandon z sykiem wciągnął powietrze przez zęby i przecesał ręką włosy. Do diaska, dowie się, co ukrywa Verena, zażąda pocałunku i da jej porządną nauczkę. Lady Westforth się przekona, ile kosztuje igranie z mężczyzną o wybuchowym temperamencie.

W swoim pierwszym sezonie szukałam mężczyzny mądrego, dowcipnego i przystojnego. Pierwszy syn hrabiego byłby w sam raz. W ostatnim sezonie obniżyłam wymagania do drugiego albo trzeciego syna wicehrabiego. Teraz zdecydowałabym się na mężczyznę o grubszym portfelu niż brzuchu.

Panna Mitford do swojej mamy, w trakcie sporządzania listy potencjalnych kandydatów na męża w trzecim, niestety, sezonie.

Burza rozszalała się z całą gwałtownością. Deszcz lał się strumieniami i smagał bez litości. Choć Brandon mocniej nasunął kapelusz na głowę i podniósł kołnierz płaszcza, zimna woda przesączała się przez grubą wełnianą tkaninę, moczyła koszulę.

Nie zważał jednak na niedogodności. Co godzinę pukał do Westforth House. Herberts za każdym razem dreptał do drzwi, by mu powiedzieć, że pani jeszcze nie wróciła.

O jedenastej coś się zmieniło. W części rezydencji paliły się światła. Brand przez dłuższą chwilę patrzył przez strugi deszczu na rozjarzone okna. W końcu zwrócił się do stangreta:

- Wracaj do domu.

Mężczyzna zamrugał. Jego czapka ociekała wodą.

- Do domu, sir?

-Tak.

Brandon ruszył do frontowych drzwi i zabębnił w nie miosięzną kołatką. Otworzył mu Herberts. Petersa nigdzie nie było widać.

- Do licha, to znowu pan! Taki miły džentelmen i moknie na ulewie. Czego pan tym razem chce?

- Żebyś mnie wpuścił - warknął Brand.

- No, no, nie ma potrzeby się denerwować. Przyszedłem tak szybko, jak mogłem. Mój pokój jest pod schodami, wie pan. To kawałek drogi.

Woda ściekała z okapu prosto za kołnierz St. Johna.

- Chcę rozmawiać z lady Westforth - oznajmił Brandon, starając się zapanować nad irytacją. - Natychmiast. I nie próbuj mi wmówić, że jej nie ma.

Kamerdyner podrapał się po nosie.

- Jest późno, wie pan. Bardzo późno. A pan jest cały przemoczony. Może pan pobrudzić dywany.

Brand przetarł mokrą ręką jeszcze bardziej mokrą twarz.

- Nie obchodzą mnie wasze dywany.

- A kto je będzie suszył, jak pan myśli? Ja, ot co.

- Lady Westforth jest w domu, prawda?

Herberts uśmiechnął się szeroko, błyskając złotym zębem.

- Tak, ale nie przyjmuje gości, bo jest późno, i w ogóle.

Brandon zsunął kapelusz w tył, żeby odgarnąć włosy z twarzy. Popełnił błąd, bo za kołnierz natychmiast wlał mu się lodowaty strumień.

- Dość tego! Nie będę dłużej prosił.

- Nie? - Kamerdyner zerknął przez ramię. - Ciekawe, gdzie się podział Peters?

- Odsuń się, Herberts, albo wybiję ci resztę zębów i wtłoczę trochę rozumu do tej pustej makówki, którą na-

zywasz głową. - Dostrzegłszy wahanie sługi, przepchnął się obok niego i wtargnął do holu. - Muszę porozmawiać z lady Westforth. Do diabła z dywanami!

Herberts westchnął.

- Sam się pan prosi o burę. - Widząc wściekłe spojrzenie gościa, uniósł rękę. - Nie ode mnie! Od lady W. Ona nienawidzi złych manier. O, tak, nienawidzi.

Brand zdjął ociekający płaszcz i wręczył go kamerdynerowi. Na wierzchu położył równie mokry kapelusz.

- Powiedz lady Westforth, że jestem.

Sługa odłożył ubrania na stolik. Na marmurową posadzkę od razu zaczęła kapać woda. Po chwili utworzyła strużki, a te z kolei popłynęły pod czerwony dywan. Herberts z dezaprobatą pokręcił głową.

- Dobrze, powiem pani. Jak brzmi pański tytuł?

- Doskonale wiesz, że go nie mam. Wystarczy St. John.

-Ale zachowuje się pan jak prawdziwy hrabia albo książę, o tak.

Brandon był kompletnie przemoczony, koszula kleiła mu się do pleców, w butach chlupało, a stopy tak mu zmarzły, że prawie ich nie czuł.

- Albo natychmiast powiadomisz lady Westforth, że przyszedłem z wizytą, albo sam pójde jej poszukać - ostrzegł i dorzucił przez zaciśnięte zęby: - Znacząc wodą całą drogę.

- Bardzo pan groźny, kiedy się zdenerwuje, co? Chyba nie pozostaje mi nic innego, jak pójść po moją panią.

Znaczącym gestem wysunął rękę.

Brandon sięgnął do kieszeni, wyłowił z niej monetę i wcisnął ją kamerdynerowi.

Herberts przez dłuższą chwilę mierzył ją wzrokiem, po czym westchnął z rezygnacją.

- Dobrze. Tędy, proszę pana. - Poprowadził go do salonu i otworzył drzwi. - Lady Westforth, ma pani gościa...

- Mówiłam ci, żebyś nikogo nie wpuszczał... - dobiegł ze środka zirytowany głos gospodyni.

Brand wszedł do pokoju.

Verena siedziała przy małym sekretarzyku, z piórem w ręce. Na widok intruza odłożyła je szybko i wstała zarumieniona.

- Herberts, uprzedzałam, że nie przyjmuję żadnych gości.

- Nie dałem mu szansy - powiedział Brandon, idąc do kominka, w którym wesoło płonął ogień.

Z przyjemnością wyciągnął ręce do ciepła. Z jego ubrania buchnęła para.

- Nie dałem rady go powstrzymać, proszę pani - zaczął się tłumaczyć kamerdyner, z żalem potrząsając głową. - Uparł się, że musi z panią porozmawiać.

- Wyprowadź go - poleciła lady Westforth i przeniosła wzrok na St. Johna. Jej oczy ciskały pioruny. - Nie podobają mi się, że wtargnął pan do mojego domu.

- Myślałem o pani różne rzeczy, ale nie sądziłem, że jest pani oszustką, która łamie dane słowo - odparował Brandon.

Verena zaniemówiła.

- Chwileczkę - odezwał się kamerdyner urażonym tonem.

W tym momencie jego pani odzyskała głos.

- Nigdy w życiu nie zламаłam obietnicy - oświadczyła wyniośle.

- Ale zrobi to pani, jeśli mnie odprawi - stwierdził Brand. - Bo przyszedłem odebrać swój dług. - Zmierzył ją wzrokiem. - Pamięta pani nasz zakład, prawda?

Na policzki Vereny wypłynął rumieniec, przez co jej kremowa cera nagle wydała się bledsza.

- Chce pan teraz odebrać dług? W środku nocy?

- Nie jest tak późno. Dopiero jedenasta. Jest pani słowną kobietą czy nie, lady Westforth?

Gdy Verena z oburzeniem uniosła podbródek, Brandon ogarnął zachwyt. Była nie tylko piękna, ale również dumna i pełna pasji. Jednocześnie złote loki i duże fiołkowe oczy nadawały jej niewinny wygląd. Urok otaczał ją niczym zapach, sączył się w świadomość adoratorów, zniewalał.

Ale Brandon tym się różnił od wielbicieli lady Westforth, że potrafił oprzeć się jej czarowi. Więc choć nie miał na to najmniejszej ochoty, posłał jej szeroki uśmiech.

- Domagam się swojego pocałunku. Teraz.

- Szkoda, że nie jestem w nastroju, żeby rozdawać pocałunki mężczyznom bez manier, którzy, mimo że nieproszeni i niemile widziani, wdzierają się po nocy do cudzego domu - oświadczyła gospodyni i ruszyła do drzwi, mijając Herbertsa. - Czas, żeby pan sobie poszedł, panie St. John.

- Nie.

Gdy lady Westforth przeszła go wzrokiem, Brandon dostrzegł w jej źrenicach wesołe iskierki. Cała jego frustracja i gniew zniknęły w jednej chwili. Zdobył się nawet na uśmiech.

Jej wargi drgnęły. Stali tak przez dłuższą chwilę, patrząc sobie w oczy. Potem, ku zaskoczeniu Brandona, Verena do niego mrugnęła, okręciła się na pięcie i wyszła z pokoju.

- Herberts! - dobiegł z holu jej głos. - Odprowadźcie z Petersem pana St. Johna do drzwi.

A to lisica! Brand wypadł z salonu, ale gdy tylko znalazł się za drzwiami, stalowa dłoń zacisnęła się na jego ramieniu. Odwrócił się i zobaczył nowego lokaja.

- Posłuchaj, Peters, nie jestem w nastroju do żartów.

- Przykro mi, ale nie mogę wpuścić pana na schody - odezwał się stojący za podwładnym Herberts.

- Powiedz temu goryłowi, żeby zabrał rękę.

- Bardzo bym chciał - powiedział kamerdyner ze szczerym żalem, po czym nachylił się i spytał poufałym tonem: - O jakim zakładzie pan wspominał?

- Wygrałem pocałunek.

- A! I pani nie chce zapłacić, tak? To podobne do kobiety, prawda? - Herberts westchnął ciężko. - Wie pan, gdyby nie chodziło o moją panią, nie miałbym nic przeciwko temu, żeby domagał się pan słodkiego buziaka.

Brandon spojrział na niego z lekkim zdziwieniem.

- Uważasz, że mam rację?

- Jeśli wygrał pan uczciwie, co innego można powiedzieć? - Kamerdyner zakołysał się na piętach. - Ale moja pani jest kobietą, więc to nie będzie takie proste.

Brand przez chwilę rozważał możliwości. Nie chodziło tylko o pocałunek. Nie z jego powodu czekał na deszczu tyle godzin. Wmawiał sobie, że zrobił to dla Wychama. Przyjaciel w niego wierzył. Lecz jeśli on nie posunie się naprzód, Roger w końcu straci cierpliwość i wróci do miasta. I wtedy niechybnie trafi do więzienia.

Na szczęście istniało więcej sposobów, żeby dostać się do domu, niż przez frontowe drzwi. Brandon szarpnięciem uwolnił ramię z uścisku Petersa i ruszył do wyjścia, zgarniając po drodze płaszcz i kapelusz. W progu się zatrzymał i powiedział donośnym głosem, żeby go było słychać na piętrze:

- Jeszcze tu wrócę.

Verenę, która stała za zakrętem schodów, przebiegł dreszcz. St. John był wściekły z powodu jej odmowy. Dostrzegła to wcześniej po niebieskim ogniu płonącym w jego oczach i zeszywnieniu szerokich ramion. Wstrzyma-

ła oddech, póki drzwi się nie zatrzasnęły, i dopiero wtedy zeszała na dół.

- Fiu! - gwizdnął Herberts. - Pan St. John bardzo się rozgniewał. Nie wiem, czym pani go tak zdenerwowała, ale na pani miejscu jeszcze raz bym się zastanowił. On wkrótce tu wróci.

Peters bez słowa pokiwał głową.

Verena zdobyła się na uśmiech.

- Mam nadzieję, że do tego czasu wpadnę na jakiś pomysł. - Oparła się o poręcz schodów. - Chyba skończę pisać list do rodziców i pójdę spać. To był bardzo długi dzień.

- Tak, milady. Chce pani kapinkę brandy na rozgrzewkę?

- Nie, dziękuję. - Troskliwość Herbertsa równoważyła jego nieokrzesanie i inne wady. Verena ze znużeniem ruszyła do salonu. - Zamknij drzwi na klucz i możesz iść spać.

- Dobrze - odparł kamerdyner. - Mam nadzieję, że nie rozgniewa pani bałagan, jaki ten dzentelmen zostawił w holu. Ociekał wodą, jakby wyszedł z rzeki. Ostrzegam go, żeby nie wchodził, ale nie chciał słuchać. Został pełno śladów.

- Do rana na pewno wszystko wyschnie - powiedziała Verena z roztargnieniem, biorąc pióro do ręki.

Ulewa bębniąca o szyby niemal zagłuszyła trzask drzwi i kroki kamerdynera. Trochę deszczu wpadło przez komin, ogień zasyczał i przygasł.

Verena zaczęła pisać, ale jej myśli krążyły wokół ukradzionych listów miłosnych Jamesa, zaginionego dokumentu Humforda i, co gorsza, wokół Brandona St. Johna. Pożałowała danej bratu obietnicy, że nie zobaczy się z St. Johnem sam na sam. Choć po tym, jak ujrzała go przemoczonego i wściekłego, musiała przyznać, że tak było chyba bezpiecznie.

Westchnęła głęboko i odłożyła pióro. Wyciągnęła

przed siebie nogi, rozmyślając o wydarzeniach dnia. Nic dzisiaj nie szło jej dobrze. Nawet wizyta w mieszkaniu Humforda okazała się tylko stratą kilku godzin. Ten człowiek żył jak mnich, wszędzie panował idealny porządek, jakby lokum od dawna było opuszczone. Oboje z Jamesem przeszukali każdy kątek, ale nic nie znaleźli.

Czas mijał. Nagle skądś dobiegł cichy trzask. Verena przekrzywiła głowę i zaczęła nasłuchiwać. Dźwięk się powtórzył, tym razem głośniejszy. Co to mogło być?

Owiał ją chłodny podmuch, szum deszczu stał się donośniejszy, lampa zamigotała, jakby wiatr poruszył płomieniem, a potem zgasła.

W pokoju zapadła ciemność. Verena wstała z bijącym sercem i zjeżonymi włoskami na karku. Nie była sama. Zrobiła krok w stronę drzwi. W tym momencie otoczyły ją silne ramiona, duża dłoń zamknęła jej usta, tłumiąc okrzyk przerażenia.

- Mówiłem, że wrócę - rozległ się tuż przy jej uchu męski głos.

Skoro nie mogę być młoda i piękna, niech będę stara, ale obsypana biżuterią.

Pani Mitford do siebie, zapinając na szyi słynny rubinowy naszyjnik Mitfordów.

Verena natychmiast rozpoznała głos St. Johna. I usłyszała w nim wściekłość. Bez namysłu ugryzła napastnika w kciuk.

- Cholera!

Brandon zaczął gwałtownie potrząsać dłońią. Teraz trzymał ją tylko jednym ramieniem. Verena uniosła nogę i z całej siły nadepnęła mu na stopę. Dobrze, że akurat miała buty na porządnych francuskich obcasach.

- Au!

Nareszcie była wolna. Mogła pobiec do drzwi. Lub krzyknąć, co zaalarmowałoby Herbertsa i resztę jej nielicznej służby. Zapaliła lampę.

Widok, który ukazał się oczom Vereny, sprawił jej wielką satysfakcję. Brandon St. John skakał na jednej nodze i machał ręką jak dziecko, które przycięło sobie palec drzwiami.

Szkoda, że darli ze sobą koty, bo dostrzegła w nim pokrewną duszę. Życie dla nich obojga było łaskawe, przez

co oboje stali się trochę zbyt pewni siebie i niecierpliwi wobec innych, może nawet arogancy.

- Chyba nie jest aż tak źle - powiedziała, gdy Brandon opadł na kanapę i chwycił się za stopę.

- Jakie buty pani nosi? - wykrztusił, patrząc na swoje z grubej skóry.

Wiedziała, że jest on człowiekiem honoru. Gdy obrzucił ją wyniosłym spojrzeniem, uświadomiła sobie, że ma rację. Nie była mu równa pod żadnym względem. Oczywiście nigdy nie przyznałaby tego na głos, ale nie mogła dyskutować z nim na temat cnoty i zasad.

- Nadal nie wierzę, że włamał się pan do mojego domu jak zwykły przestępca.

Brandon zaczął ssać kciuk. Jego niebieskie oczy płonęły.

- Ma pani bardzo ostre zęby. Jak przeklęta fretka!

- Doprawdy? Nigdy nie musiałam się uciekać do takich sposobów, żeby wyrazić swoje zdanie. Mówiłam panu, że nie chcę dzisiaj oddać długu.

- W ogóle nie zamierzała mnie pani pocałować, prawda?

Verena spojrzała w płomień. Ciekawe, jak się tego domyślił?

- Może.

St. John zmrużył oczy.

- Kłamczucha.

- Nie jestem kłamczucha, tylko krętaczką, a to różnica. Jej słowa skwitował uśmiechem. Verena próbowała zachować powagę, ale bezskutecznie. St. John był naprawdę czarujący na swój szorstki sposób, gdy tak siedział przemoczony na kanapie. Włosy ściemniały mu od wody, przez co oczy wydawały się jaśniejsze.

Raptem drzwi się otworzyły i w progu stanął Herberts.

- Zdawało mi się, że słyszę głosy i... Co on tutaj...

- Herberts! - Verena zmarszczyła brwi.
Kamerdyner poczerwieniał.

- Przepraszam, milady. Po prostu jestem zaskoczony widokiem tego dżentelmena w pani domu. Mam zawołać Petersa?

Verena spojrzała na Brandona. Ubranie kleiło się do niego jak druga skóra. Musiał czuć się fatalnie. A ona była mu winna pocałunek. Przesunęła wzrok na jego usta i nagle stwierdziła, że trudno jej przełknąć ślinę.

- Nie, dziękuję, Herberts. To wszystko.

Sługa dwa razy otworzył i zamknął usta, zanim udało mu się wykrztusić:

- Chce pani, żebym wyszedł? Sam? Czy z nim?

- Możesz odejść, Herberts. Sama poradzę sobie z panem St. Johnem.

- Na pewno, milady? Mogę zostać, jeśli pani chce. I Peters też...

- Wszystko w porządku. Idź już, proszę.

Kamerdyner zaczął się wycofywać z ociąganiem.

- Może powinienem chwilę zostać, gdyby pani czegoś potrzebowała. Podać coś do picia?

- Nie trzeba. Zamknij drzwi.

Sługa westchnął przeciągle, ale spełnił polecenie. I prawie natychmiast znowu zajrzał do pokoju.

- Gdzie ja mam głowę? Zapomniałem powiedzieć, że pan St. John jest trochę mokry. Może przyniosę mu ręcznik, żeby się wysuszył...

- Herberts. - „S” brzmiało bardzo długo.

Kamerdyner znowu westchnął.

- Dobrze.

Tym razem trzasnął drzwiami.

Brandon wstał z sofy i kuśtykając zbliżył się do kominka.

- To najgorzej wyszkolony służący, jakiego w życiu widziałem.

- Jeszcze nie widział pan mojej pokojówki.

- Pokojówki? - Ubranie Brandona zaczęło parować. - Już nie mogę się doczekać. Może udamy się na górę, żeby mi ją pani przedstawiła...

- Proszę przestać! - Na wargach gospodyni zadrżał uśmiech. - Jest pan niepoprawny.

- Raczej zdeterminowany.

- W tym wypadku jest to równoznaczne. - Późna pora i ulewa szumiąca za oknami sprawiały, że we wnętrzu zapanowała intymna atmosfera. Verena już od dawna nie przebywała sam na sam z mężczyzną. Nagle sobie uświadomiła, jaka była samotna. Do teraz. - Nie wiem, dlaczego pan się tak uparł. Przecież nawet mnie pan nie lubi.

- Chcę dostać to, co jest mi pani winna.

Verena przez dłuższą chwilę mierzyła go wzrokiem.

- Nie sądzę, żeby chodziło tylko o pocałunek, bo już dawno by pan go wygzekwował. Myślę, że chce pan czegoś innego.

Brand spojrzał w ogień. Dopiero teraz zauważył, że z jego rękawów bucha para. Lady Westforth była bystrzejsza, niżby sobie życzył.

- Nie mówiłem, że pani nie lubię. - Gdy próbowała coś powiedzieć, uniósł rękę. - Po prostu pani nie ufam.

- Czym zasłużyłam na pańską nieufność? Proszę spytać brata. Gdybym miała inny charakter... - Wzruszyła ramionami. - Ale to nie miejsce ani pora na takie rozważania. Powiem tylko, że nie jestem kobietą, która wykorzystuje innych. Pilnuję swoich spraw, oto cała moja wina.

- I dlatego oszukuje pani w kartach?

Verena się zarumieniła.

- A kto powiedział, że oszukuję?

- Zaprzeczy pani?

- Nie, ale również nie potwierdzam.

St. John popatrzył na nią badawczo.

- Nie przyszedłem, żeby się z panią kłócić, tylko żeby odebrać to, co mi się należy.

Miała rację. Chciał czegoś więcej niż pocałunek. Była mu winna dużo, dużo więcej za te wszystkie godziny, które spędził pod jej domem.

Verena westchnęła z irytacją.

- Jest pan nieznośny.

- A pani rozkoszna, droga lady Westforth.

Powoli przeciął salon. Naprawdę była piękna, a wspomnienie jej kragłości nie dawało mu spokoju. Stał przed nią i zdjął z jej ramienia gęsty, jedwabisty splot. Przesiał go między palcami.

- Co pan robi? - zapytała Verena bez tchu.

- Ma pani śliczne włosy. Są koloru dojrzałej pszenicy. Odsunęła się gwałtownie.

- Nie wierzę, że włamał się pan do mojego domu, żeby prawić mi komplementy.

Brandon opuścił rękę.

- Istotnie. Przyszedłem, żeby...

Jej oczy pociemniały.

-Co?

- Wydobyć z pani wszystkie sekrety.

- Sekrety? Dlaczego pan sądzi, że jakieś mam? - Szerokim gestem wskazała na pokój. - Proszę się rozejrzeć, panie St. John. Jestem zwyczajną kobietą. Uwielbiam prostotę. Co mogłabym ukrywać?

Mówiła w sposób bezpośredni i szczerzy. Brandon nie dał się zwieść, ale był zmęczony, mokry, zziębnięty. A pod tym wszystkim tliła się żądza, rozpalona pocałunkiem w powozie. Ostatnie uniki Vereny jeszcze zwiększyły jego determinację.

Jego wzrok padł na srebrną tacę z butelką bursztynowego płynu i kilkoma kieliszkami.

- Mogę?

- Oczywiście. Przepraszam, że sama o tym nie pomyślałam, ale nie mam w zwyczaju proponować poczęstunku włamywaczom.

- Pani też się napije? - zapytał, nalewając sobie brandy.

- Nie pijam alkoholu.

Brandon uśmiechnął się szeroko. Verena wzruszyła ramionami.

- Proszę do mnie dołączyć, lady Westforth - powiedział, sadowiac się w fotelu przy kominku.

Gospodyni nie ruszyła się z miejsca.

- Wolałabym, żeby pan wyszedł.

- W ten deszcz?

- Boi się pan roztopić?

- Nie, ale przeziębienie jest dla diabłów bardzo niezdrowe. Można powiedzieć, że to wbrew ich naturze.

Jej usta zadrżały.

- Przynajmniej do jednego się pan przyznaje.

- Przyznałbym więcej, gdyby pani ze mną usiadła.

Pociągnął łyk brandy i zamruczał jak kot, gdy trunek rozgrzał mu przełyk. Lady Westforth podeszła do niego wolno.

- Po co pan przyszedł, panie St. John?

- W tym momencie rozkoszuję się kieliszkiem brandy i towarzystwem pięknej kobiety. Później... - Wzruszył ramionami, patrząc na nią ponad brzegiem naczynia.

- Pańskie komplementy nie brzmią prawdziwie.

- A co by pani wołała? Oskarżenia?

- Nie oczekuję aż takich przyjemności.

Brandon się uśmiechnął.

- Proszę się ze mną napić.

- Nie piję - powtórzyła, tym razem z mniejszym przekonaniem.

- Chyba że gra pani w karty?
- Pozwoliłam, żeby duma wzięła górę nad rozsądkiem. Normalnie wypijam tylko kieliszek wina do kolacji. Alkohol zaćmiewa umysł.

- Co byłoby fatalne dla kobiety, która wykorzystuje swój tak intensywnie.

Lady Westforth opadła na sąsiedni fotel i popatrzyła na niego zmęczonym wzrokiem.

- Jest pan zdecydowany mnie nie lubić, prawda? Zastanawiam się dlaczego. Przypominam panu kobietę, która zrobiła panu coś złego?

Brandon zmarszczył brwi.

- Nie jestem taki głupi, żeby karać panią za cudze winy.

- Więc dlaczego pan próbuje?

- Nieprawda. Nie zamierzam pani skrzywdzić.

- Więc czego pan chce?

Brandon spojrzął w kieliszek. Ogień odbijający się w trunku wyglądał jak czerwone iskry na bursztynowym aksamicie. Właśnie, czego chciał? Powinien interesować się tylko jedną rzeczą: prawdą. Ale gdyby był uczciwy, przyznałby, że pragnie Vereny.

- Pocałunku, który jest mi pani winna.

- Tylko?

Skinął głową, patrząc jej w oczy. Dostrzegł w nich żar, taki sam, jaki w nim płonął. Nie skończyłoby się na jednym pocałunku. Opuścił wzrok na jej miękkie, różowe wargi.

- Jeśli to wszystko, proszę odebrać swój dług i wreszcie sobie iść.

Verena zmarszczyła nos, jakby spróbowała czegoś kwaśnego.

Chyba nie przypuszczała, że zaraz zostanie uwiedziona. Brandon doszedł do wniosku, że ułożył dobry plan. Sam pocałunek miał być pierwszym strzałem w bitwie,

tajną bronią, która, odpowiednio wykorzystana, mogła spowodować prawdziwą eksplozję. Na tę myśl aż zaschło mu w gardle.

- Ma pani rację. Powinienem wziąć wygraną i iść do domu.

Lady Westforth złożyła dłonie na kolanach, zamknęła oczy i stuliła wargi. Brand omal nie parsknął śmiechem.

- Co to ma być?

Verena uchyliła jedną powiekę.

- Pocałunek - wymamrotała niewyraźnie, bo usta nadal miała ułożone w ciup.

- Proszę przestać. Nawet nie jestem pewien... - Brandon rozejrzał się po pokoju i potrząsnął głową. - Nie, nie tutaj.

Gospodyni otworzyła oczy.

- Dlaczego?

- Jest za jasno.

- Za jasno? A co za różnica?

- Nastrój romantycznej chwili to bardzo delikatna i ważna rzecz.

- A kto powiedział, że nasz pocałunek ma być romantyczny?

Brandon uniósł brew.

- Zdaje się, że warunki zakładu dają mi prawo do wyboru czasu i miejsca.

Verena zmarszczyła brwi, jakby usiłowała przypomnieć sobie szczegóły.

- Myślę... może...

- Proszę przy najbliższej okazji spytać Jamesona. Tymczasem ja domagam się pocałunku... - Brandon przez chwilę mierzył ją wzrokiem. - W pani sypialni.

Lady Westforth tak gwałtownie zerwała się z fotela, że omal nie upadła.

- Co takiego?

- Słyszała pani. Chcę pocałować panią w sypialni.
- Nie wejdzie pan tam.
- Próbuje pani się wycofać? Dlaczego nie jestem zaskoczony?

- Niczego nie próbuję. Po prostu pan nieuczciwie wykorzystuje sytuację.

- Nikt pani nie zmuszał do przyjęcia zakładu. Odmawia pani wywiązania się z długu? - Brandon wzruszył ramionami. - Cóż, sądzę, że lady Farley, właścicielka domu gry, który tak często pani odwiedza, powinna dowiedzieć się o niesłowności jednej z bywalczyń.

Verena położyła ręce na biodrach i wysunęła brodę.

- Nie będzie pan rozповідаł, że nie dotrzymuję obietnic, ale...

Brandon widział toczącą się w niej walkę. Jeśli rzeczywiście utrzymywała się z hazardu, nie mogła sobie pozwolić na utratę dobrego imienia, bo straciłaby wstęp do domów gry. Wiedziała, że słowo St. Johna ma potężną moc.

Westchnęła z irytacją.

- Dobrze, St. John. Niech będzie, jak pan chce. Ale nikt nie może się dowiedzieć, że wpuściłam pana do sypialni. Jeśli się zgodzę, sekret zostanie między nami.

Brandon odstawił kieliszek na stół i wstał.

- Jestem dżentelmenem.

Verena prychnęła bardzo nie po kobiecemu.

- Proszę za mną, panie St. John.

Podeszła do drzwi i otworzyła je szarpnięciem. Do środka wpadł kamerdyner i wylądował twarzą na dywanie.

- Herberts! Podśłuchiwałeś!

Sługa dźwignął się z podłogi.

- Ja? Podśłuchiwałem? Nie, milady. Myłem drzwi.

- Uchem? Odsuń się.

Herberts skrzyżował ramiona na piersi.

- Chyba nie wpuści pani nicponia do swoich pokojów?

- Założyłam się.

- A ja zrobię z jego twarzy siekany kotlet, zobaczy pani. Nie mogę stać z boku i patrzeć, jak pani doprowadza się do zguby. Mam swoje zasady.

- Nie mieszaj się w moje sprawy - rzuciła lady Westforth kategorięcznym tonem i wyszła na korytarz.

Obaj mężczyźni podążyli za nią. Kamerdyner wybiegł przed swoją panią i zagroził jej drogę do schodów.

- Na litość boską! - W głosie Vereny brzmiała desperacja. - Czy przez cały wieczór będą mnie prześladować uparte osobniki? Założyłam się, Herberts.

- Już to słyszałem. Wolałbym, żeby pani zrobiła lepszy zakład.

Verena westchnęła.

- Ja też, ale... - Oczy jej zabłyśły.

St. John zmarszczył brwi.

- O co chodzi?

- Coś mi przyszło do głowy. - Obdarzyła go triumfującym spojrzeniem. - Nikt nie ustalił, że ma pan pocałować mnie na osobności. Mogę zażądać przyzwoitki.

Brand sposepniał.

- Nie przypominam sobie, żeby była mowa o przyzwoitce...

- Ani nie przypomina pan sobie również, żeby ktoś wykluczył jej obecność. Herberts, ty nią będziesz. - Ruszyła na górę, szeleszcząc jedwabiem. - Idzie pan, panie St. John? Noc wkrótce się kończy.

Brandon patrzył, jak lady Westforth wchodzi po schodach. Był pewien, że każdy jej kołyszący krok ma za zadanie go drażnić.

Kamerdyner stał obok niego i też obserwował swoją panią. Po chwili westchnął.

- Mam nadzieję, że nie jest pan wściekły. Nie zamie-
rzałem się wtrącać. Nie uważam pana za złego człowieka.
Nie tknął pan milady nawet palcem, chociaż spędził z nią
trochę czasu sam na sam. To o czymś świadczy.

- Dziękuję.

- I nie dziwię się, że chce pan ją pocałować. Tylko że
pani... była dla mnie dobra, a ja nie jestem z tych, co ła-
two zapominają takie rzeczy. Więc niech pan idzie i po-
całuje ją szybko, zanim pani wezwie kucharkę i Petersa,
żeby też popatrzyli.

Brandon odniósł wrażenie, że sługa poklepałby go po
plecach, gdyby sądził, że ten gest zostanie dobrze przyję-
ty. Westchnął i postawił nogę na pierwszym stopniu. Na-
gle się zatrzymał.

- Herberts, podoba ci się mój zegarek?

Kamerdyner uniósł ręce.

- Nie wziąłem go, naprawdę!

- Wiem. Jest tutaj. - Brand sięgnął do kieszeni. - Podo-
ba ci się?

Sługa oniemiał.

- Daję ci go.

Herberts wpatrywał się w zegarek z błyskiem pożąda-
nia w oczach.

- Co musiałbym zrobić?

- Nie spiesz się z wchodzeniem na górę.

Kamerdyner popatrzył na schody i czym prędzej wró-
cił spojrzeniem do złotego cacka.

- Ile czasu pan potrzebuje? Nie chcę, żeby pani była na
mnie zła. Potrafi spojrzeć kosym okiem, kiedy jest roz-
gniewana.

- Pięć minut.

- Pięć... O nie, proszę pana. Wiem, co może się stać
w ciągu pięciu minut.

- W takim razie dwie minuty. Chcę, żeby ten pocałunek
był... pamiętny. - Brandon zobaczył, że sługa się waha. -
Daję ci słowo dżentelmena, że nie zrobię niczego wbrew
woli twojej pani. - Uniósł zegarek do poziomu jego oczu.
Złota koperta błyszczała w świetle lamp. - Co ty na to?

Kamerdyner przełknął ślinę ze wzrokiem wlepionym
w kołyszący się przedmiot.

- Nie powinienem.

- Zapewniam cię, Herberts, że nie zrobię jej krzywdy.
Po prostu chcę odebrać wygraną.

Sługa przez chwilę przyglądał mu się bacznie. Inspek-
cja chyba wypadła pomyślnie, bo krótko skinął głową
i powiedział:

- To wysokie schody.

- Tak.

- A ja mam chore kołano.

St. John opuścił zegarek na wyciągniętą rękę. Ten znik-
nął równie szybko, jak wcześniej monety.

- Dwie minuty i ani sekundy dłużej - uprzedził Herberts.

Brandon nie tracił czasu. Popędził na górę, krzywiąc się
z powodu bólu w urażonej stopie. Dotarł na podest w re-
kordowym tempie, ale zobaczył przed sobą długi rząd jed-
nakowych drzwi. Do diaska! Które...

- Idzie pan? - Gospodyni stała w ostatnich po lewej.

Brandon błyskawicznie pokonał dzielący ich dystans.

- Gdzie Her...

Otoczyły ją silne ramiona i zanim dokończyła pytanie,
została wniesiona do pokoju. Brandon przekręcił klucz
w zamku i oparł się o drzwi z rękami skrzyżowanymi na
szerokiej piersi.

Verena stwierdziła, że trudno jej przełknąć ślinę. St.
John nadal był mokry od deszczu, jego ubranie kleiło się
do ciała, tak że wyraźnie rysowały się pod nim mięśnie.

- Gdzie mój kamerdyner?
- Idzie na górę. Nie mamy dużo czasu. - Brandon zrobił krok w jej stronę.
- Proszę zaczekać, aż Herberts...
- Naprawdę pani chce, żeby oglądała nas służba?
- W ogóle nie chcę, żeby mnie pan całował.
- Więc nie powinna była pani się zakładać.
- Nie zamierzałam, ale musiałam odpowiedzieć na pańskie wyzwanie.

St. John wziął ją za ramiona i przyciągnął do siebie.

- Dość gadania.

- Ale ja mam jeszcze dużo do powiedzenia...

Przywarł ustami do jej szyi, a następnie wytoczył nimi gorącą ścieżkę do ucha, aż po plecach Vereny przebiegł dreszcz.

- Naprawdę ma pani coś do dodania po naszej miłej rozmowie - zamruczał, nie odrywając warg od jej skóry. - Obawiam się, że mój umysł eksploduje z wysiłku.

Verena usiłowała zapanować nad pożądaniem.

- Skoro pański umysł jest w niebezpieczeństwie, pozwoli pan, że wezwę służbę. Szkoda byłoby nawet tak niewielkiego rozumku, nie mówiąc o moim dywanie.

Brandon odsunął się, nie zabierając dłoni z jej talii.

- Jest pani kobietą bez serca.

Verena śmiało odwzajemniła spojrzenie, a z jej oczu zniknęły iskierki wesołości. Brandonowi zaparło dech. Na dole, w blasku lampy, jej uroda wydawała się idealna: złote włosy okalające twarz, cera bez skazy, prosty nos. Ale z bliska dostrzegł na nim kilka jasnych piegów. Ponadto zauważył, że dolne zęby są trochę nierówne. O dziwo, te drobne niedoskonałości czyniły ją jeszcze bardziej atrakcyjną.

- Au! - dobiegł ze schodów teatralny jęk Herbertsa. - Uderzyłem się w palec.

Brandon natychmiast się opamiętał.

- Mój pocałunek.

Wziął to, co mu się należało i o czym marzył od pierwszej chwili, kiedy zobaczył uśmiech lady Westforth. Pragnął trzymać ją w ramionach, tulić do siebie. Musnął językiem jej wargi. Verena rozchyliła je z cichym westchnieniem. Ten dźwięk sam w sobie był rozkoszną torturą.

Brandona ogarnął żar, jakiego nie rozpałała w nim jeszcze żadna kobieta.

Gdy rozległo się pukanie do drzwi, Verena zignorowała je i przyciągnęła go do siebie mocniej, chwytając za koszulę. Brandon z pasją odwzajemnił pocałunek, wodząc dłońmi po jej ciele.

- Milady? - W głosie Herbertsa brzmiał niepokój. - Wszystko w porządku?

Czy wszystko w porządku? Verena płonęła z namietności. Pragnęła Brandona St. Johna. Od tak dawna nikt jej nie dotykał. Od tak dawna nie pozwoliła żadnemu mężczyźnie nawet na pocałunek.

Odsunęła się niechętnie. Drżała z żądzy, ale wiedziała, że musi się pohamować.

- Chyba już dostał pan swoją wygraną.

- Naprawdę? - mruknął Brandon, sunąc wargami po jej policzku ku szyi.

Verena zamknęła oczy, nadal go obejmując.

- Tak.

- Milady? - Drzwi zatrzęsły się gwałtownie. - Słyszysz mnie pani?

- Proszę kazać mu odejść - szepnął jej Brandon do ucha.

Powinna odprawić St. Johna, a nie Herbertsa, mówił rozsądek. Lecz zdradzieckie zmysły nie chciały go słuchać. Niebo było tak blisko, na wyciągnięcie ręki, ale...

-Nie.

- Nie?

- Nie mogę. Nie znam pana, nie wiem, po co naprawdę pan tutaj przyszedł...

Brandon położył palec na jej wargach.

- Chcę pani zadać kilka pytań. Jest pani dostatecznie odważna, żeby na nie odpowiedzieć?

Verena wysunęła brodę do przodu.

- A pan ma dość odwagi, żeby zapytać?

Usta Brandona wykrzywiły się w uśmiechu, oczy poweselały.

- Proszę powiedzieć kamerdynerowi, żeby odszedł. Sami sobie poradzimy.

Istotnie.

- Herberts?

Bębnienie ucichło.

-Tak?

- Pana St. Johna tu nie ma.

Długa cisza.

- A gdzie jest?

- Nie wiem. Tutaj nie dotarł. Może wyszedł, kiedy zamykałeś frontowe drzwi.

Znowu milczenie.

- Pewnie wymknął się kuchennymi schodami.

- Możliwe.

- Albo kominem.

- Herberts?

-Tak?

- Dobranoc.

Głośne westchnienie.

- Dobranoc, milady. Dobranoc, panie St. John.

Na korytarzu dało się słyszeć człapanie, a potem skargę na każdym stopniu.

13

Jeśli wierzyć powieści „Glenarvon” lady Caro Lamb, świat kręci się wokół wielkich uniesień, namiętnych uścisków i nieodwzajemnionych miłości. Jeśli chodzi o mnie, wolałabym, żeby ważniejsze były bardziej przyziemne rzeczy, takie jak cena dobrych półbutów i jakość nowych kapeluszy sprowadzanych z Francji.

Panna Mitford do swojej pokojówki Lucy, podczas gdy ta nieszczęsna istota układała jej fryzurę.

Brandon spojrzął jej w oczy.

- Herberts sobie poszedł. Zostaliśmy sami.

- Tak.

Verena wysunęła się z jego objęć i spróbowała doprowadzić suknię do porządku. Niestety bez powodzenia. Cały przód był mokry, materiał kleił się do ciała.

Brandon wyraźnie ujrzał zarys halki związanej na dekolcie cienką wstążką, pełne piersi. A myślał, że już nie może być bardziej podniecony.

Mylił się.

Verena westchnęła z irytacją, zrezygnowała z wysiłków i splotła przed sobą ręce. Policzki miała zaróżowione.

- Odsyłając Herbertsa, powzięłam pewną decyzję - oznajmiła.

- Decyzję? - powtórzył Brand lekko zdziwiony. - Jaką?
- Pomyślałam, że mógłby pan... zostać ze mną. - Dostrzegłszy jego osłupienie, zarumieniła się i dodała pośpiesznie: - Nie na zawsze ani nic w tym rodzaju. Po prostu przyszło mi do głowy, że moglibyśmy być razem bez... Nie żebym nie chciała, ale uważam, że nie powinniśmy myśleć o... - Przycisnęła dłonie do rozpalonych policzków. - Rozumie mnie pan?

Brandon omal się nie zakrztusił. Lady Westforth mówiła dokładnie to, co nieraz on uwodzonym przez siebie kobietom.

- Może byłoby lepiej, gdybyśmy myśleli o tym jako o... - Dobry Boże, ależ to trudne. Przeczesał ręką włosy i skrzywił się, kiedy na kark pociekła mu woda. - Nie sądzę, żebyśmy musieli cokolwiek definiować.

Verena zmarszczyła brwi; ich lekko uniesione końce nadawały jej wygląd elfa.

- Chyba ma pan rację. Słowa nie są takie ważne.

Normalnie Brandon uznałby takie postawienie sprawy za bardzo wygodne, choć zwykle to on dyktował warunki. Lecz pewność siebie lady Westforth działała na niego w osobliwy sposób. Ani odrobinę nie zmniejszała jego żądz. Do licha, za wszelką cenę musiał odzyskać kontrolę nad sytuacją.

Fakt, że Verena próbowała trzymać go na dystans, choć jednocześnie przyznała, że pragnie fizycznego kontaktu, wzmógł jego determinację, żeby zmusić ją do pewnych ustępstw, pokazać, że to on jest u steru. Nie chciał być jedynie jej zabawką.

- Vereno, od pierwszej chwili istnieje między nami wzajemna fascynacja. Nie ma nic złego w tym, że jej ulegamy.

- Gdybym uważała, że jest w niej coś złego, nie proponowałabym, żeby pan został. Ja tylko zwróciłam uwagę,

że fizyczne spełnienie... - zacerwieniła się mocniej - ...niekoniecznie oznacza, że mamy zmienić swoje życie. Jesteśmy dorośli. Nie ma powodu, żebyśmy oczekiwali od siebie czegoś więcej.

Do licha, ależ była rozkoszna! Pragnął jej. Tu i teraz. Chciał jej udowodnić, jak bardzo się myli w swoich chłodnych, logicznych wywodach. Ich wspólna noc będzie namiętna, głęboko zmysłowa i niepozbawiona uczuć. Nie krótkie chwile zapomnienia, tylko coś więcej, dużo więcej.

I czuł, że choć Verena stara się wyglądać na nieporuszoną, cała aż drży z tęsknoty za jego dotykiem.

- Nie zgadzam się z tobą, skarbie. Rano stwierdzisz, że zabrnęliśmy dalej, niż przypuszczałaś.

Słowa zawisły między nimi w powietrzu. Brandon nie mógł uwierzyć, że padły z jego ust. Chyba oszalał, sugerując coś więcej niż przelotną miłośćkę. A jednak on to powiedział. Na głos. Do diaska, co ja wyprawiam?

Najgorsze, że w przeciwieństwie do niego lady Westforth myślała jasno. Awanturnica. Hazardzistka. Oszustka. Nie była kobietą, z którą nawiązałyby dłuższy romans. Może zagrała w nim ambicja, kiedy Verena z góry wykluczyła poważny związek.

Rozchmurzył się. To tylko duma, nic więcej. Z ulgi zdołał się na uśmiech.

Verena chyba nic nie zauważyła. Niedbale machnęła ręką i powiedziała:

- Wątpię. Ale nie czas i miejsce na takie rozważania. Zanim jednak... - Wykonała nieokreślony gest dłonią. - Chciałabym pana spytać o kilka rzeczy.

Jego niedopowiedzenie zawierało w sobie tyle obietnic. Brandon poczuł miły dreszczyk i w tym momencie uświadomił sobie, jaki jest zmarznięty. Verena zwlekała, ale dobrze. On zaczeka cierpliwie, żeby potem mocniej ją rozpalic.

Potał ręką piekące oczy. Przed sennością ratowała go tylko żądza.

- Możemy rozmawiać, jak długo pani zechce, ale najpierw muszę zdjąć mokre ubranie - powiedział zachrypniętym głosem.

Jej oczy się rozszerzyły.

- Zdjąć ubranie? Teraz?

- A kiedy? W trakcie pogawędki? To byłoby niegrzeczne.

Jej wargi zdrząły. Następnie, ku zachwytowi Brandona, Verena sięgnęła do górnego guzika jego kamizelki.

- Myślałam raczej, że oboje się rozbierzemy, oczywiście po rozmowie.

Oboje! Boże, ależ z niej śmiała osóbką. Brandon stwierdził, że cała sytuacja coraz bardziej mu się podoba. Tak. Ciekawe, jak daleko to wszystko zajdzie?

- O czym chciałaby pani porozmawiać, zanim zdejmemy ubrania?

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Mam do pana kilka pytań.

Brandon pomasaował gardło, choć drapało go głęboko w środku.

- Ja również. Kto pierwszy?

Verena ściągnęła usta, przybierając niewinną minę, która zrobiła na nim piorunujące wrażenie. Jej wargi były pełne, ślicznie wykrojone, pasowe jak świeżo rozkwitłe róże, ponętne.

- Pan.

Cudownie! Tęsknił do niej każdym nerwem, a ona wymyślała gry towarzyskie.

- Może usiądziemy? - zaproponował, wskazując na samotny fotel stojący przy kominku; był pewien, że opadnie z sił, jeśli Verena nadal będzie go tak słodko dręczyć.

Gospodyni się zawahała.

- Polecieć, żeby przyniesiono drugi?

- Nie. Mam dość Herbertsa jak na jeden dzień.

Wziął ją za rękę i poprowadził w stronę kominka. Poszła z nim chętnie, ale rzuciła zirytowanym tonem:

- Panie St. John... Brandonie, to tylko chwila. Zaraz każę przynieść drugi...

Usiadł i pociągnął ją na kolana. Jej głowa znalazła się tuż pod jego brodą, nogi przewiesiła przez poręcz. Pasaowała do niego idealnie, jakby została dla niego stworzona.

Zaskoczona, przez chwilę siedziała bez ruchu, a potem zaczęła się wiercić, próbując wstać. Przytrzymał ją mocniej i rzekł cicho:

- Naprawdę nie powinnaś tego robić.

- Dlaczego... - Verena znieruchomiała, jej oczy się rozszerzyły, usta ułożyły w idealne „o”. - Przepraszam.

- Normalnie bym się nie skarżył. - Poglaskał jej ramię, rozkoszując się dotykiem jedwabistej skóry. - Na pewno chcesz najpierw rozmawiać?

Nic nie odpowiedziała, tylko patrzyła na niego z pożądaniem w oczach. Ujął ją pod brodę.

- Vereno - szepnął.

Zamknęła dłoń na jego nadgarstku.

- Proszę tego nie robić.

- Czego?

- Nie kusić mnie. Nie jestem taka silna, jak myślałam.

- Czy to słabość kogoś pragnąć?

- Nie. Ale zapomnieć, że... - Zasznurowała usta.

Brandon odczekał chwilę, lecz Verena nadal milczała.

- Niech zgadnę. Myśli pani, że to słabość ulec najbardziej męskiemu mężczyźnie, jakiego pani w życiu spotkała.

Jej uśmiech był jak promień słońca. Rozjaśnił pokój i ogrzał serce Brandona.

- Jest pan nieznośny, uważając się za pępek świata.

- Może i tak, natomiast pani, madam, jest samowolną, zepsutą kobietą.

- Zepsutą? Przez kogo?

- Przez swoją służbę i tego jasnowłosego wikinga, którego wodzi pani za nos.

Na samą myśl o tym człowieku Brandon miał ochotę warczeć. Nie podobało mu się, jak Lansdowne patrzy na Verenę. Zupełnie, jakby znał ją lepiej niż kogokolwiek i dzielił z nią różne sekrety.

- Jasnowłosy wiking? - Verena najpierw zmarszczyła brwi, a potem się roześmiała. - Ma pan na myśli Jamesa!

- Nie znam jego imienia. - Nadałby mu kilka, ale nie sądził, żeby rozbawiły Verenę.

- Wykorzystam ten przydomek następnym razem, kiedy go zobaczę. Jasnowłosy wiking. Podoba mi się.

Brandon zrobił ponurą minę.

- Niech pani go tak nie nazywa.

- Dlaczego? Lubię wprawiać Jamesa w zakłopotanie.

Brandon pożałował, że nie ugryzł się w język, zanim podsunął jej pieszczotliwe imię dla kochanka.

- Do licha! Ja wymyśliłem ten przydomek i tylko ja mogę nim rozporządzać. A nie pozwalam ci tak mówić do puszącego się pawia, którego towarzystwo za bardzo lubisz.

Verena spojrzała na niego wielkimi oczami.

- Brandonie... jesteś zazdrosny.

- O niego? Nie rozśmieszaj mnie.

Verena nie miała najmniejszej ochoty się śmiać. Miotała nią wiele innych uczuć: podniecenie, strach, niepewność i żądza. Zwłaszcza to ostatnie.

Zmierzyła St. Johna wzrokiem i potrząsnęła głową.

- Jesteś zazdrosny - powtórzyła. - Rozpoznaję objawy.

Brandon objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Je-

go twarz znalazła się zaledwie kilka cali od jej twarzy, niebieskie oczy błyszczały.

- Kim jest dla ciebie Lansdowne?

Nie zamierzała odpowiedzieć, ale w jego spojrzeniu było coś władczego.

- James to krewny.

Brandon oparł czoło o jej czoło. Jego skóra aż parzyła.

- Nie igraj ze mną. Zadałem ci proste pytanie i oczekuję prostej odpowiedzi.

Verena przygryzła wargę. Miała rację. Nie była pewna, dlaczego ukrywa prawdę. Po części jej ostrożność wynikała z głęboko zakorzonego przyzwyczajenia, żeby nigdy nie ujawniać tego, co nie jest absolutnie konieczne.

Tak postępowali Lansdowne'owie. Z nawyku zaczęła kalkulować. Co się stanie, jeśli powie St. Johnowi o Jamesie? Choć intensywnie myślała, nie przychodziło jej do głowy żadne niebezpieczeństwo.

- James to mój brat.

- Brat?

- Jedyny.

Ku jej zaskoczeniu na twarzy St. Johna odmalowała się szczerza ulga.

- Aha. To dużo wyjaśnia. - Objął ją uważnym spojrzeniem. - O tym nie pomyślałem, ale teraz... dostrzegam pewne podobieństwa. - Przesunął palcem po jej brwi. - Masz siostry?

Verena dotknęła jego warg.

- To nie fair. Teraz moja kolej.

Chciała zapytać go o wiele rzeczy. Czy podobają mu się blond włosy? Woli niskie kobiety czy wysokie? Jaki jest jego ulubiony kolor? Czym smaruje grzanki?... Och, o tysiąc drobiazgów. Szkoda, że musiała ograniczyć się do jednego na raz.

Skarciła się w duchu za niewczesną ciekawość i zmusiła do skupienia na najważniejszej sprawie.

- Dlaczego powiedziałeś mi o Humfordzie? Zupełnie, jakbyś chciał mną wstrząsnąć.

W niebieskich oczach pojawił się wyraz żalu.

- Chciałem zobaczyć twoją reakcję. Myślałem, że już wiesz o jego śmierci.

- Byłam przerażona. Jak Humford...

Brandon przytknął jej palec do ust.

- Moja kolej.

Diabeł! Potrafił narzucać swoją wolę. Kiedyś ceniła tę umiejętność, teraz uznała ją za irytującą.

Wzrok St. Johna spochmurniał.

- Co wiesz o liście Humforda? Znalazłaś ją?

Serce Vereny stanęło na chwilę. Dobry Boże, o tym również wiedział. A o niedyskretnych listach Jamesa? Odsunęła się i próbowała wstać.

Przytrzymał ją mocno, marszcząc brwi.

- Odpowiedz, Vereno. Gdzie ona jest?

Przestała walczyć i spojrzała na niego badawczym wzrokiem. Wyznać prawdę? W takiej sytuacji jej brat nie pisnąłby z własnej woli ani słowa. Ale on nadal żył tak, jak nauczył ich ojciec. Nie ufał nikomu, ukrywał, kim jest. Przynajmniej do czasu, aż zakochał się w lekkomyślnej mężatce ze słabością do młodych przystojnych hulaków.

Verena próbowała spokojnie uporządkować fakty, mimo że siedziała na kolanach Brandona St. Johna i czuła jego ciepło.

- Wiem tylko, że zginęła jakaś lista, ale w moim domu jej nie ma.

- Jesteś pewna?

- Szukaliśmy z Jamesem wszędzie.

Brandon przez krótką chwilę patrzył jej w oczy, po

czym westchnął i odchylił głowę na wysokie oparcie fotela. Z jego rysów przebijało zmęczenie.

- Tego się obawiałem. Muszę ją znaleźć, Vereno. Muszę.

Dlaczego? Co takiego znajdowało się na tej przeklętej kartce, że cały świat jej szukał? Nawet ludzie, którzy szantażowali jej brata.

W każdym razie wyznanie Brandona trochę ją pocieszyło. Gdyby to on miał listy Jamesa, nie uwierzyłby jej tak łatwo. Ten, kto ukradł jego miłosną korespondencję, sądził, że zguba nadal znajduje się w Westforth House.

- Po co ci ta lista? Dlaczego jest taka ważna?

St. John przez dłuższą chwilę patrzył na nią spod rzęs, jakby ważył słowa.

- Na które pytanie mam odpowiedzieć najpierw? I czy potem znowu będzie moja kolej? - Opuszką palca przesunął po jej policzku do kącika ust. - Chyba zapytam, jak wyglądasz bez ubrania.

Był czarujący, wesoły i jednocześnie uwodzicielski. Jego niebieskie oczy płonęły, przewiercały ją na wylot. Verena musiała dwa razy przełknąć ślinę, zanim wydobyła z siebie głos.

- Na oba.

- Dobrze, ale będziesz miała wobec mnie dług. - Nachylił się i dodał szeptem: - I drogo mi zapłacisz.

Stateczna kobieta uznałaby siedzenie na kolanach mężczyzny niebędącego jej mężem ani narzeczonym za dość... nieroztropne, wręcz ryzykowne. Verena uważała całą sytuację za podniecającą. Ujęła w dłonie twarz Brandona.

- Jeśli odpowiesz na oba pytania, rano ja odpowiem na wszystkie, które mi zadasz.

- Rano?

Verena musnęła wargami jego czoło, a następnie pod-

kreśliła swoje słowa lekkimi, zmysłowymi pocałunkami w usta:

- Tak. Rano.

Brandon miał ochotę wtulić twarz w jej szyję, posmakować skóry, zacałować. Była pełna sprzeczności: śmiała i zdecydowana, a jednocześnie łagodna i kobieca.

Żadna z dotychczasowych kochanek, nawet doświadczona Celeste, nie podniecała go tak jak Verena. Ona zarazem obiecywała, prowokowała i drażniła.

Ale nie próbowała udawać świętej. Była ciepła, wrażliwa, świadoma swojego ciała, opanowana.

Takie połączenie cech przyprawiało o zawrót głowy.

Brandon nakrył dłonią rękę Vereny spoczywającą na jego policzku, splótł palce z jej palcami.

- Skoro już dzielimy się wszystkim, przyznam, że nie wiem dokładnie, co jest na liście Humforda, ale ma to coś wspólnego z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych.

- James tyle się domyślił. - Verena pokazała w uśmiechu białe zęby. - Jest dobry w łamigłówkach.

- Sama jesteś niezła.

- Staram się - odparła krótko. - Tylko dziwi mnie, że zadajesz sobie tyle trudu, skoro zguby szuka również ministerstwo. Zastanawiam się, dlaczego...

Spojrzała na niego przez rzęsy.

Mała diabliska próbowała wydobyć z niego dodatkowe informacje. Brandon potarł kciukiem jej gładki paznokieć.

- Szukam tej przeklętej listy, bo ktoś w ministerstwie uważa, że zabrał ją mój przyjaciel. Jeśli się nie znajdzie, czekają go przykre konsekwencje.

Verena zamarła, ale nic nie powiedziała.

Czyżby coś ukrywała? Zmienił pozycję, żeby widzieć jej twarz w blasku kominka.

- To ważne, Vereno.

Jej uśmiech był wymuszony.

- Zaczynam zdawać sobie z tego sprawę.

- Dlaczego próbowałaś znaleźć listę?

Spojrzenie Vereny stało się nieprzeniknione.

- Mam powody, równie dobre, jak twoje, Brandonie. Jeśli twój przyjaciel jest niewinny, z pewnością nic mu nie grozi.

- Ale wybuchnie skandal, co dla jego ojca może się okazać fatalne w skutkach. - Brandon objął dłońmi jej twarz i zajrzał w oczy. - Naprawdę muszę odzyskać tę listę, rozumiesz?

Położyła ręce na jego nadgarstkach i odwzajemniła spojrzenie.

- I to jest problem, bo widzisz, Brandonie, ja też muszę ją znaleźć.

Pannie Mitford ktoś wmówił, że mężczyźni lubią posłuszne kobiety, więc ona teraz beczy: „O, tak, panie Fonternoy!” i „Oczywiście, panie Fonternoy!” Moim zdaniem, jedyne, co w ten sposób osiągnie, to ból gardła i rychłą utratę cnoty.

Lucy, pokojówka panny Mitford, do swojego brata Johna, nowego stajennego diuka Devonshire'a, w czasie przypadkowego spotkania przed rzeźnikiem na Bakę Street.

Oto jej szczęście! Po raz pierwszy od czterech lat, czterech długich lat, spotkała mężczyznę, który pociągał ją tak, jak kiedyś Andrew, i co się stało? Oboje szukali jakiejś idiotycznej listy.... no, może nie aż tak idiotycznej, zważywszy na to, że zarówno przyjaciel Brandona, jak i James mogli dużo stracić, gdyby się nie znalazła.

Los nigdy nie był dla niej przesadnie łaskawy, ale teraz okazał się wręcz okrutny: postawił przed nią takiego mężczyznę i natychmiast bezlitośnie go zabrał. Ogarnęło ją rozczarowanie.

Natomiast Brandon nie wyglądał na szczególnie poruszonego.

- Razem poszukamy tej listy i ją znajdziemy - oświadczył.

- I co wtedy?

Musnęła opuszkami jego policzek, rozkoszując się dotykem szorstkiej męskiej skóry, lekkiego kłucia zarostu.

Od jak dawna była pozbawiona tego rodzaju wrażeń? Od czterech lat? Prawie pięciu. Andrew. Zamknęła oczy i oparła czoło o brodę Brandona. Dręczyły ją wyrzuty sumienia. Przestań, skarciła się w duchu. Andrew nigdy nie zakwestionowałby jej prawa do szczęścia. Wierzył w życie doczesne, czerpanie z niego pełnymi garściami, próbowanie wszystkiego, co jest do spróbowania, cieszenie się każdą chwilą.

W głowie niemal słyszała jego głos, nakłaniający ją, żeby zaryzykowała, zaczęła żyć od nowa.

- Vereno?

Zadrzała i ciałniej otoczyła Brandona ramionami.

- Żadnych więcej pytań.

Nie mogła czekać ani minuty dłużej. Potrzebowała go, pragnęła. Uczucia, które uważała za martwe, odżyły w niej z całą siłą.

Brandon zacisnął szczęki, jakby zamierzał się sprzeciwić, ale napotkał jej wzrok, gorący i roziskrzony.

- Rano dokończymy rozmowę - powiedział.

- Od razu po wstaniu - zgodziła się, przesuwając dłonie na jego barki.

To jej nie wystarczyło. Dotknęła wargami jego skroni, a następnie policzka. Narastało w niej podniecenie, przebiegały ją dreszcze.

Brandon wpił się w jej usta, rozchylił je językiem. Verena zadrzała, zmiękła, stopniała pod miłosnym atakiem. Z cichym jękiem otoczyła ramionami jego szyję, przywarła do niego całym ciałem.

Brandon zaczął wodzić dłońmi po jej plecach. Każdy dotyk rozpalał w Verenie jeszcze większy ogień.

Przeczesała palcami jego gęste, wilgotne włosy, kręzące się lekko nad uszami. Boże, ależ go pragnęła. Pożądała.

Brandon przerwał pocałunek.

- Vereno, jesteś pewna... - Nie był w stanie dokończyć zdania.

Dawał jej ostatnią szansę na opamiętanie.

Ale czy ona tego chciała? Wiedziała, że dzisiejszej nocy nigdy nie zapomni. Chwyliła jego rękę, uniosła ją do ust. Uwielbiała te dłonie, długie i silne, stworzone do tego, żeby dawać rozkosz. Spojrzała mu w oczy i zaczęła całować delikatną skórę między wszystkimi palcami. Gdy dotarła do ostatniego, Brandon zacisnął pięść.

- Na litość boską, przestań! - wykrztusił ochryple. - Bo...

Zamknęła mu usta pocałunkiem.

- Rozbierzmy się - powiedziała. - Razem.

Słowo „razem” zabrzmiało podniecająco. Verena wyprostowała się na jego kolanach i rozwiązała wstążkę przytrzymującą suknię. Następnie wyciągnęła pasek różowego jedwabiu na długość ramienia i pozwoliła mu opaść na czerwony dywan.

Potem zsunęła suknię przez ramiona do talii. Miała teraz na sobie tylko halkę, wilgotną od jego mokrej koszuli, ukazującą więcej, niż powinna. Przez cienki materiał wyraźnie rysowały się koniuszki piersi.

Brandon patrzył na nią błyszczącymi oczami, jakby miał lekką gorączkę.

Verena nachyliła się i szepnęła mu do ucha:

- Teraz twoja kolej.

Brandon oparł głowę o tył fotela i uśmiechnął się szelmowsko.

- Wierzysz w fair play.

- Zawsze.

Sięgnął do krawata i przez chwilę gmerał przy węźle. Verena obserwowała go z narastającą niecierpliwością. Każda sekunda zdawała się trwać wieczność.

Już chciała mu pomóc, gdy wreszcie rozwiązał krawat i zdjął go błyskawicznym ruchem. Potem szybko zrzucił koszulę. Obie rzeczy wylądowały na podłodze.

Widok jego nagiego torsu przyprawił Verenę o miły dreszcz: szeroki, rzeźbiony jak u posagu, umięśniony, brzuch płaski i twardy. Przesunęła po nim dłońmi. Gdy dotarła do zapięcia spodni, Brand chwycił jej ręce i unieruchomił.

- Jeszcze nie. Najpierw suknia.

W jego głosie brzmiała rozkazująca nuta. Ale choć wydawał polecenia, Verena czuła, że to ona panuje nad sytuacją. Świadomość, że jest pożądana, w dodatku przez takiego mężczyznę, przyprawiała o zawrót głowy.

Wstała z jego kolan i pozwoliła sukni opaść na dywan, tak że wokół jej stóp powstała biała piana na morzu czerwieni.

Brandon wstrzymał oddech i powiódł po niej wzrokiem. Biała halka z najdelikatniejszej tkaniny podkreślała wszystkie kształty: jędrne piersi, brzuch, zaokrąglone biodra.

Musiał chwycić za poręcze fotela, żeby nie porwać jej na kolana. Z trudem nad sobą panował.

Oczy Vereny lśniły, jakby dręczenie go sprawiało jej radość. Nachyliwszy się do przodu, położyła dłonie na jego kolanach i rozsunęła je, po czym stanęła między nimi, tak że jego potężne uda objęły jej nogi.

Jej brzuch znalazł się dokładnie przed nim, tak że Brandon zobaczył pępek, a kiedy trochę opuścił brodę, dostrzegł ciemny trójkąt. Ogarnęło go drzenie. Boże, ależ była piękna! I stała na wyciągnięcie ręki.

Wyczuł na sobie jej wzrok. Uwielbiał sposób, w jaki iskrzyły się jej oczy. Drażniła się z nim bezlitośnie i rozkoszowała swoją władzą. Opadła przed nim na kolana i delikatnie pchnęła go na oparcie fotela. Pozwolił jej na to, ale mocno trzymał się poręczy. Nie ufał sobie.

Musnęła ustami jego brzuch, a następnie gorącym i wilgotnym językiem przesunęła po żebrach. Brandon z sykiem wciągnął powietrze i przytknął oczy, ale nadal ją obserwował spod powiek. Verena zwarła się z nim spojrzeniem i lekko pocałowała brodawkę.

Brandonomal nie zerwał się z fotela.

- Vereno - wyszeptał ochrypłym głosem.

Chwyliła brodawkę zębami. Wtedy puścił poręczę i zanurzył dłoń w jej włosach. Gdy wyjął spinki, jedwabiste sploty rozsypały się na ramionach. Pogłaskał długie pasma.

- Marzyłem o tym.

- A ja o tym. - Zaczęła ssać jego brodawkę.

- Vereno! - wykrztusił Brandon, zaciskając dłoń na jej ramionach.

Oddychał urywanie. Była prawdziwą czarownicą, muskała go magicznym oddechem, pragnęła go i swoim nieskrywaniem pożądaniem jeszcze bardziej podsycala jego żądzę.

Żadna kobieta nie działała na niego tak silnie. Czuł, że nie wytrzyma ani chwili dłużej. Zerwał się z fotela, jednocześnie podnosząc ją z dywanu.

- Teraz moja kolej.

Rozpiął spodnie z większą energią, niż to było konieczne. Musiał się zmagać z mokrą tkaniną, ale był zdeterminowany, tak że po kilku sekundach stał już nagi.

Verena najpierw patrzyła zafascynowana, potem zaczęła go dotykać, tu i tam zatrzymując się dłużej. Jej palce zostawiały palące ślady. Brandon z trudem stłumił jęk.

- Zdejmij halkę - rozkazał.

Verena przesłoniła rękami zdumiewająco fiołkowe oczy, po czym zabrała dłonie z jego bioder i przesunęła nimi w górę po swoim ciele, do piersi, o których przez cały czas marzył.

- Teraz? - spytała szeptem. Jej usta lśniły od pocałunków.

Brandon zacisnął dłonie w pięści, żeby nie zerwać z niej halki.

Chyba wyczuła jego niecierpliwość, bo roześmiała się cicho. Dźwięk podziałał na niego jak płynny ogień. Miała bardzo zmysłowy śmiech, lekko zachrypnięty, niepoohamowany.

Dotknęła wstążki.

Brandon rozwiązał ją szarpnięciem i zsunął halkę z ramion. Jego oczom ukazała się kremowa skóra.

Cofnął się o krok, żeby popatrzeć na Verenę. Była piękna w ubraniu, ale naga wyglądała jak bogini. Miło zaskoczona, kobieca, bujna, zapraszająca. I jego.

Sam nie wiedział, jak dotarli do łóżka. W jednej chwili stali przy kominku, podziwiając się nawzajem, w następnej leżeli na miękkim materacu, przytuleni do siebie.

Brandon sięgnął łapczywie ustami do jej ust. Były słodkie jak cukier. Zaprzagnął czegoś więcej.

Objął pełną pierś, wziął koniuszek między dwa palce. Verena wygięła się w łuk pod jego dotykiem, uniosła biodra. Brandon ukląkł i przez długą chwilę podziwiał jej doskonałość. Była dziełem sztuki, wykonanym ręką mistrza i ożywionym równie piękną duszą, którą dopiero zaczynał poznawać.

Jęknęła gardłowo, kładąc dłoń na jego nadgarstkach, jakby chciała je skierować do innych, sekretnych miejsc.

- Jesteś taki ciepły - zamruczała, wodząc rękami po je-

go barkach i plecach. - Zupełnie jakby płonał w tobie ogień.

Brandon czuł, że ma gorączkę, ale nie wiedział, czy od stania na deszczu, czy od jej pieszczot.

Rozchylił kolanem jej uda, a ona je uniosła i otworzyła się dla niego. Była tak bezwstydną i namiętną, jak tylko może sobie wymarzyć mężczyzna. Wątpił, czy zdaje sobie sprawę, że jej śmiałość podsyca jego żądze, rozpala w nim płomień.

- Chcę cię spróbować - wyszeptał żarliwie. - Całą.

Słowa te przyprawiły Verenę o przyjemny dreszcz. Brandon był najbardziej zmysłowym mężczyzną, jakiego znała. Każdy jego dotyk wywoływał w niej żywą reakcję, sam głos doprowadzał do szaleństwa.

Brandon uniósł głowę i zmrużył oczy.

- Boisz się?

Serce tłukło się jej w piersiach, brakowało jej tchu jak po długim biegu, ale się nie bała. Była podniecona, zachwycona. Płoneła z pożądania, jakiego nigdy wcześniej nie znała. Czy mogła mu to powiedzieć?

Ujął w dłonie jej twarz, gestem łagodnym i jednocześnie dziwnie szorstkim, jakby z trudem się hamował.

- Naprawdę chcesz? To twoja ostatnia szansa ucieczki przed tym, co nas opętało.

Nie potrzebowała żadnych szans. Pragnęła, żeby jej przypomniał, jak to jest być kobietą, ale jakoś nie potrafiła sformułować sensownego zdania.

Zamiast tego chwyciła Branda za nadgarstki, a następnie przesunęła dłonie na jego ramiona. Uwielbiała gładkość skóry kontrastującą z twardymi mięśniami. Objęła go za szyję, przyciągnęła jego usta do swoich, śmiało wsunęła w nie język.

Brandon jęknął głucho. Gdy odnalazła jego męskość,

wciągnął powietrze przez zęby i zamknął oczy. Jego skóra była wilgotna, oddech chrapliwy.

- Puść mnie, skarbie, bo żadne z nas nie dostanie tego, czego pragnie.

Verena posłuchała go niechętnie. Brandon roześmiał się cicho i potarł czołem o jej czoło.

- Jesteś piękna, wiesz?

Nieprawda. Była niska, miała za szerokie biodra i skłonność do piegów pojawiających się wraz z wiosennymi promieniami słońca. Ale pod gorącym męskim spojrzeniem poczuła się przez chwilę najpiękniejsza na świecie.

Brandon położył dłoń na jej udzie i powoli powędrował palcami w górę. Verena wygięła plecy w łuk.

- Chcę cię posmakować - wyszeptał do jej ucha, nie przestając pieścić.

Gdy zsunął się niżej, Verena wczepiła palce w jego włosy. Jej oddech był coraz szybszy, ruchy gwałtowniejsze. Brandon zdwoił wysiłki, oddając cześć jej kobiecości. W pewnym momencie krzyknęła jego imię i znieruchomiała.

Rękami nadal trzymała jego głowę. Brand z trudem nad sobą panował. Oddychał powoli, nakazując ciału, żeby jeszcze trochę wytrzymało, bo przysiągł sobie, że tej nocy Verena nigdy nie zapomni.

Ona tymczasem westchnęła głęboko i poruszyła się.

- Jeszcze nie - powiedział.

Obsypał pocałunkami jej uda, aż dotarł do wrażliwego miejsca pod kolanami. Verena zadrżała i jęknęła:

- Zabijesz mnie.

- Ale jaka to będzie rozkoszna śmierć - zamruczał Brandon. - Wiedziałas, że w chwili rozkoszy podwijają ci się palce stóp?

Verena uniosła się na łokciach. Gęste blond włosy opa-

dały jej na czoło i ramiona. Była zarumieniona od jego pieszczot, usta miała rozchylone, nabrzmiąte od pocałunków. Od samego widoku zawrzała w nim żądza.

Przesunął się w górę i spojrzał jej w oczy. Piękne oczy o długich rzęsach i zadziwiającym kolorze. Powiódł opuszkami po łukach brwi, a następnie uniósł jej brodę. Verena zarzuciła mu ramiona na szyję, przyciągnęła go do siebie i pocałowała namiętnie, z całej duszy.

Brandon powoli tracił kontrolę nad sobą, gorączkowo błądząc dłońmi po jej ciele.

- Pragnę cię do szaleństwa.

Verena pomyślała, że nie istnieją piękniejsze słowa. Poszła za jego przykładem i zaczęła go całego pieścić. Z jego skóry bił żar, buchał między jej palcami jak smużki dymu.

- Vereno, proszę...

- Weź mnie - szepnęła, rozkoszując się udręką widoczną na jego twarzy.

Położyła dłonie na jego biodrach, oplótła je nogami.

Wszedł w nią z drzeniem. Verena gwałtownie wciągnęła powietrze.

Ich ruchy stawały się coraz szybsze. W pewnym momencie Verena położyła dłoń na brzuchu Brandona i go powstrzymała.

Uniósł się na łokciu z twarzą stężoną jak z bólu.

- Co...

- Leż spokojnie. - Pchnęła go na poduszki, usiadła na nim i przykazała: - Nie ruszaj się.

Brandon chwycił ją za biodra.

- Vereno... Nie...

Znieruchomiała i pochyliła się nad nim, muskając włosami jego tors.

- Co się stało? Jeśli nie chcesz, przestanę.

Objął ją w talii. Jego wzrok płonął.

- Chcę.

Verena zamknęła oczy i uniosła głowę, tak że jasne sploty rozsypały się jej po plecach. Gdy Brandon chwycił w palce koniuszki jej piersi, jęknęła z rozkoszy.

Jego ręce coraz mocniej zaciskały się na jej talii. W pewnym momencie wyprężył się i znieruchomiał.

Kilka minut albo godzin później uświadomił sobie, że Verena nadal na nim leży, a on otacza ją ramionami, jakby się bał wypuścić ją z objęć. Uśmiechnął się do tej myśli, potarł policzkiem satynowe włosy.

- To było piękne.

Poruszyła się, ale ją przytrzymał.

- Nie. Chcę tak spać.

Zaśmiała się z ustami przy jego piersi, przyjemnie łaskocząc rozgrzaną skórę. Brandon nigdy w życiu nie czuł takiego spokoju i odprężenia. Ależ była cudowna!

Znalazł zepchniętą na brzeg wielkiego łóża kołdrę i naciągnął ją na nich oboje.

- Żebyś nie zmarzła - powiedział ochrypłym głosem.

- Wygląda na to, że ty się przeziębiesz.

- Ja? Nigdy nie choruję.

- Nie kuś losu, St. John - ostrzegła Verena, ziewając.

Brandon wtulił twarz w jej włosy. Była zuchwała, błyskotliwa, irytująco pewna siebie, ale doskonalszej kobiety jeszcze nigdy w życiu nie spotkał. Teraz zrozumiał, dlaczego Chase uważał, że właśnie ona odpędzi jego demony. Sam zaczynał wierzyć, że Verena jest w stanie dokonać wszystkiego, co postanowi.

Pocałował ją w czoło i ułożył się wygodniej na miękkim materacu. Pościel była delikatna i świeża, kołdra duża i ciepła, poduszek wystarczyłoby dla dwudziestu osób. Ale najprzyjemniejszy był zapach: lawendy.

Brandon westchnął z zadowoleniem.

- Lubię twoje łóżko.
- Ja również - odparła sennie. - I jestem prawie pewna, że lubię też ciebie. Czasami.
- I powinnaś. Strasznie długo próbowałem się do ciebie zbliżyć.

Verena uniosła głowę. Oczy miała na pół zamknięte, ale jarzyła się w nich iskierka ciekawości.

- A dlaczego próbowałeś?

Brandon uświadomił sobie, że nie zna odpowiedzi. Najpierw chciał jedynie się dowiedzieć, gdzie jest lista Humforda. Ale teraz chodziło mu wyłącznie o Verenę.

Podziwiał ją, czuł do niej sympatię, a nade wszystko pożądał. I na razie to wystarczało.

Uśmiechnął się, ujął ją pod brodę i przesunął kciukiem po nabrzmiątych wargach.

- Chciałem się do ciebie zbliżyć, bo byłem pewien, że całujesz jak anioł. I miałem rację.

Gdy z niedowierzaniem uniosła brwi, zaczął podziwiać ich kształt.

- To wszystko? - spytała z nutą uporu w głosie.

Zajrzał jej w oczy.

- Chciałabyś znać wszystkie moje sekrety, Vereno?

Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę, po czym wolno skinęła głową.

- Więc ty zdradź mi swoje - wyszeptał. - Wszystkie.

Spochmurniała, opuściła rzęsy. Brandon widział, że się zastanawia, ocenia koszty. W końcu potrząsnęła głową i musnęła wargami jego usta.

- Nie teraz. Może później.

Przytuliła się do niego, naciągnęła na nich kołdrę.

Brandon stłumił w sobie uczucie zawodu. Może Verena jeszcze o tym nie wiedziała, ale skończyli z oszukiwaniem się nawzajem.

Głowę oparła na jego ramieniu, nogi splotła z jego nogami, jej oddech poruszał włoski na jego piersi. Brandon się odprężył i ułożył wygodnie.

Rano się dowie, dlaczego Verena szuka listy Humforda. I pozna inne jej tajemnice, nawet gdyby musiał wydość je z niej pocałunkami. Był gotów podjąć się tego trudnego zadania. Uśmiechając się do siebie, odgarnął włosy z jej skroni i wkrótce sam zapadł w sen.

Nie jestem człowiekiem, który skarży się na los. Ale gdybym się urodził, żeby być stajennym i nikiem więcej, chyba bardziej lubiłbym konie, a mniej pieniądze.

John, nowy koniuszy diuka Devonshire'a, do Dawsona, głównego lokaja w drodze na kolację.

Następnego ranka Verena obudziła się przyszpilona do własnego materaca muskularną nogą zarzuconą na jej uda. Była naga i szczęśliwa. Cudowny dzień, doszła do wniosku z sennym uśmiechem.

Nie otwierała oczu, bo przez szpary w zasłonach sączył się blask słońca. Rozkoszowała się chwilą.

Słyszała równy oddech Brandona, słaby zapach jego wody kolońskiej drażnił jej powonienie. Cudownie było leżeć u boku nagiego, ciepłego mężczyzny. Zmarszczyła brwi. Bardzo ciepłego.

Uniosła się na łokciu i spojrzała na jego uśpioną twarz. Włosy miał potargane, brodę i policzki ciemne od zarostu, skórę zaróżowioną. Gdy przyłożyła mu dłoń do czoła, poczuła żar.

O niebiosa, biedak zapewne przeziębził się na deszczu. Przemókł do suchej nitki. Ciekawe, jak długo stał w ulewie pod jej domem? Podobało się jej takie poświęcenie.

Gdyby nie chodziło o Brandona St. Johna, uznałaby je za romantyczne.

Niestety w jego wypadku był to jedynie przejaw uporu. Po prostu nienawidził przegrywać.

Odgarnęła z czoła ciemne kosmyki. W gorączce wyglądał bezradnie i ujmująco, zupełnie nie jak St. John.

Poruszył się i otworzył oczy. Gdy ją zobaczył, w kąciakach jego ust pojawił się uśmiech.

Verena pogłaskała go po głowie.

- Jesteś rozpalony.

- Przez ciebie.

Tylko poruszył wargami, bo z jego gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Brandon zmarszczył brwi.

Verena się zaniepokoiła. Na Boga, czyżby stracił głos?

Znowu otworzył usta i tym razem powiedział dłuższe zdanie, ale słyhać było tylko pojedyncze chrapliwe sylaby. Zacisnął wargi i położył rękę na gardle.

Verena roześmiała się mimo woli.

- Nie próbuj mówić, bo jeszcze bardziej je nadwerężysz.

Posłał jej kose spojrzenie.

Może chodziło o to, że wyglądał intrygująco, gdy tak siedział pośrodku jej różowego łóżka, otoczony koronkową pościelą, z nagim torsem i pochmurną twarzą. Lub o to, że po raz pierwszy od wieków Verenie nie doskwierała samotność. A może po prostu był to skutek miłosnej nocy, ale nagle, nie wiadomo dlaczego, poczuła się silna, wolna, niezwyknięta. Pchnęła Brandona na materac i usiadła na nim okrakiem. Wybuchnęła śmiechem na widok jego zdumionej miny i pochyliła się nad nim, muskając włosami umięśnione ramiona.

- Wiesz, co to oznacza? - spytała.

Potrząsnął głową z czujnym wyrazem oczu. Verena przesunęła palcem po jego ustach i brodzie.

- Skoro nie możesz mówić, nie możesz również zadać mi pytań.

Spodziewała się jakiejś reakcji. Zmarszczenia brwi. Albo warknięcia. Ostatecznie był wielkim Brandonem St. Johnem i nikt nie śmiał mu się sprzeciwić.

I rzeczywiście zareagował gwałtownie. Chwycił ją za nadgarstki i rzucił na materac tak szybko, że zanim się zorientowała, leżała wśród poduszek, z włosami rozsypa- nymi na twarzy.

- Za co to było?

Brand zrobił gest, jakby łamał kij na pół, a następnie wycelował w nią palec.

- Co... A, rozumiem. Mylisz się jednak. Nie złamałam słowa. Mówiłam, że rano odpowiem na wszystkie twoje pytania. Jest rano i... - przyłożyła dłoń do ucha - ... nie nie słyszę.

Spiorunował ją wzrokiem i skrzyżował ramiona na szerokiej piersi.

- Może to nieuczciwe, ale co ja jestem winna? Wiesz, czym grozi przemoknięcie.

Brandon posłał jej jeszcze jedno ostrzegawcze spojrzenie, po czym wstał z łóżka. Słońce padało prosto na niego, złocąc jego biodra i uda. Verenie zaparło dech.

Boże, ależ był wspaniały! I w tym momencie należał tylko do niej.

Przekreśliła się na bok i, oparłszy głowę na rękę, patrzyła, jak idzie do stolika i nalewa wody do szklanki. Krzywiąc się, wypił ostrożnie kilka łyków.

- Może każę podać herbatę...

- Nie. - Głos był ochrypły, skrzeczący.

Brandon znowu podniósł naczynie do ust. Verena obserwowała go, zazdroszcząc szklance, którą trzymał w dużej, cieplej dłoni.

Wkrótce się ubierze i sobie pójdzie, pomyślała. Zmusiła się do uśmiechu. I dobrze. Właśnie tego chciała.

Miała swoją wolność, stały, przyzwoity dochód, wystarczający na utrzymanie. I rodzinę. Czego jeszcze mogłaby pragnąć?

Brandona St. Johna we wszystkie noce do końca życia. O niebiosa, skąd taka myśl? Przez chwilę przyglądała się jego płaskiemu brzuchowi i raptem stwierdziła, że chętnie jeszcze by go dotknęła.

Gdyby potrafiła zdobyć się na szczerość, przyznałaby, że byłoby cudownie mieć tego mężczyznę teraz i na zawsze. Zaniepokoiło ją to marzenie. Czyżby zapomniała, że jest jednym z St. Johnów, w dodatku najbardziej z nich aroganckim, władczym i niebezpiecznym?

Próbowała wyobrazić sobie Brandona w domu gry, przy stole w jadalni, podczas gdy Herberts serwuje zupeł- rozpartego na kanapie w salonie z „Morning Post” w ręce... Lecz żaden obraz nie był wyraźny. Ani jeden.

Bo takie rzeczy nie mogłyby się wydarzyć, niechętnie doszła do wniosku. Brandon St. John pochodził z zupeł- nie innego świata niż ona. Został wychowany w poczuciu wyższości swej pozycji i władzy, natomiast ona zawsze musiała udawać kogoś innego, skrywać swoje pragnienia. Całe jej życie było oparte na oszustwie.

Lepiej, żeby pozostała sama. Z dala od rodziny i każdego, kto mógłby ją osądzać albo nią manipulować. W ten sposób mogła żyć po swojemu.

Co oznaczało, że spędzi jeszcze trochę czasu w łóżku z mężczyzną, którego teraz pożerała wzrokiem. Oczywiście da mu chwilę odpoczynku; przecież jest chory, a ona...

Przestań, skarciła się w duchu. Uspokój się. Bądź rozsądna, obojętna na urok Brandona St. Johna o jędrnych pośladkach.

Pozwoliła sobie na chwilę zapomnienia, ale uczucia głębsze niż zwykła żądza były wykluczone, bo od razu znalazłaby się na przegranej pozycji.

Brandon odstawił szklankę i oparł dłonie na stoliku.

- Potrzebujesz czegoś?

Potrząsała głową.

Sprawił wrażenie, jakby żałował ostatniej nocy. Jej serce zadrżało na tę myśl.

Po chwili z irytacją potarł gardło.

- To tylko przeziębienie - pocieszyła go Verena. - Jutro na pewno poczujesz się lepiej.

- Wątpię. - Głos mu się załamał.

- Nienawidzę mówić: „a nie mówiłam”, ale... - Z uśmiechem klękała na kołdrze, położyła ręce na biodrach i powiedziała grubym głosem: - Jestem Brandon St. John i nigdy nie choruję...

Dopał jej w dwóch krokach, wyciągnął ją z łóżka, postawił na podłodze i przytulił do siebie, chwytając za pośladki.

- Tylko się droczyłam.

Nie wyglądał na zadowolonego. Ale na rozgniewanego również nie.

Cóż. Chyba powinna zapamiętać, że nie wszyscy dorastali w rodzinie, która najbardziej ceniła sobie dowcip i zabawę. Poza tym był chory, co nie poprawiało mu humoru.

- Przykro mi, że się źle czujesz.

Uniósł brew, ale nic nie odpowiedział.

- Możesz mnie już puścić.

Zmrużył oczy, przesunął wzrok z jej twarzy na ramiona i niżej. Pokręcił głową.

Teraz ona z kolei zlustrowała go spojrzeniem.

- Puść mnie natychmiast.

Bez słowa otoczył ją ramieniem w talii i uniósł z pod-

łogi. Musnął nosem jej szyję. Jego gorący oddech przyprawił ją o dreszcze.

- Powinieneś... przestać. - Gdy skubnął wargami płatek jej ucha, zarzuciła mu ręce na kark. - Naprawdę pora, żebyś wrócił do domu. Chase albo inni twoi bracia na pewno będą się o ciebie martwić i...

Uciszył ją mocnym pocałunkiem, od którego zakręciło się jej w głowie. Zapomniała o całym świecie.

Pocałowała go równie żarliwie i gwałtownie zaczerpnęła powietrza, kiedy się odsunął.

Włosy miał zmierzwiłone, na szczęście cień zarostu, na lewym policzku odgniecenie od poduszki. Nie mógł być atrakcyjny. Ale był, i to bardzo. Do licha, dlaczego mężczyźni prezentują się lepiej, kiedy wyglądają gorzej? To po prostu niesprawiedliwe.

Brandon postawił ją na dywanie i próbował odchrząknąć, ale tylko się skrzywił.

- Cholera!

- Każę Herbertsowi przynieść gorącej herbaty. Powinna ci pomóc.

Schyliła się po spodnie i cisnęła je Brandonowi. Złapał je jedną ręką, ale zamiast włożyć, rzucił na oparcie krzesła.

Verena udawała brak zainteresowania jego doskonałym torsem, brzuchem i... Zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech.

- Lista. Szukałaś jej tutaj?

Och, znowu do tego wracali. Omal nie jęknęła z rozczarowania.

- James i ja przeczesaliśmy cały dom. Kilka razy. - Brandon ujął ją pod brodę. - Naprawdę szukaliśmy wszędzie.

Skinął głową z wyrazem zawodu w oczach i puścił jej podbródek.

Verena raptem poczuła się opuszczona. Nie ma nic złe-

go w samotności, powiedziała sobie w duchu. Była do niej przyzwyczajona. Nawet lubiła być sama, ale teraz z jakiegoś powodu boleśnie ścisnęła się jej krtań.

Do licha, co się z nią dzieje?

- Idę się ubrać - oznajmiła.

Głównie dlatego, żeby przerwać ciszę i zagłuszyć własne myśli.

Starła się iść z godnością, niestety okazało się to trudne, jako że była naga. W łóżku ten szczegół jej nie przeszkadzał, ale w świetle dnia wlewającym się przez okna poczuła się skrępowana.

Znajdowała się dwa kroki od garderoby, kiedy zamknęły się wokół niej silne ramiona. Brandon wziął ją na ręce, zrobił cztery kroki i rzucił ją na łóżko.

- Och! Za co to?

Skrzyżował ramiona na piersi i uśmiechał się, prowokując bez słów, żeby spróbowała wstać.

Jej usta zadrżały.

- Nie możesz trzymać mnie tak wiecznie.

- Zobaczymy. Jesteś mi winna parę odpowiedzi. - Tylko pierwsze słowo było jako tako słyszalne.

Naprawdę potrzebuje herbaty, doszła do wniosku Verena. Zsunęła się na brzeg łóżka, ale cerber zastąpił jej drogę z groźną miną i uśmiechem na wargach.

Verena zachichotała. Brandon zrobił jeszcze jeden krok i spojrzał na swoje buty stojące na dywanie. W chwili gdy spuścił z niej wzrok, rzuciła się na drugą stronę łóżka.

Wyprzedził ją bez trudu.

Verena opadła na materac i naciągnęła na siebie prześcieradło.

- To nie fair! Mam dużo spraw do załatwienia.

Brandon kiwnął głową. Jego niebieskie oczy błyszczały.

- Ja również, ale ta jest najważniejsza.

Verena przygryzła wargę. Był niezwykle pociągający, ale naprawdę musiała już wstawać. Wyjść z pokoju, zrobić cokolwiek, żeby otrząsnąć się z czaru, który na nią rzucił.

- Jeśli mnie nie puścisz, będę krzyczeć. Przyjdzie Herberts. I Peters.

Nie przestając się uśmiechać, Brandon zacisnął prawą dłoń i uderzył nią w lewą.

Oczami wyobraźni Verena zobaczyła, jak jego pięść trafia biednego kamerdynera w szczękę. Choć Herberts bywał irytujący, nie zasłużył na takie potraktowanie.

Ukradkiem zmierzyła Brandona wzrokiem. Nawet gdy tak stał przed nią zupełnie nagi, bez spodni, dobrze skrojonego surduta, krawata, lśniącej dewizki, był bardzo męski.

Właściwie Verena uważała go za zbyt doskonałego w każdym umiędzionym calu. W normalnych okolicznościach jego atrakcyjność nie stanowiłaby wady, ale teraz, kiedy życie jej brata wisiało na włosku z powodu tych przeklętych listów miłosnych... Która godzina? Przecież umówiła się z Jamesem.

Chciał odwiedzić wszystkich gości, którzy brali udział w pamiętnej kolacji. Był pewien, że jeden z nich ma klucz do rozwiązania zagadki.

Odwrociła się i spojrzała na zegar stojący nad kominem. Och, dopiero dziewięta trzydzieści. Zostało jej jeszcze pół godziny. Raptem poczuła na sobie nieruchomy wzrok St. Johna.

Brandon przeniósł spojrzenie z zegara na nią i z powrotem. Zmarszczył brwi.

- Spodziewasz się kogoś? - zapytał ochrypłym szeptem.

- Jamesa - odparła lekkim tonem. - Będzie tu lada moment.

Brandon skrzyżował ramiona na piersi i zakołysał się

na piętach. Najwyraźniej nie mógł oderwać od niej wzroku, gdy tak siedziała pośrodku łóżka, na zmiętej pościeli.

- Nie możesz mnie więzić. To... barbarzyństwo.

Uśmiechnął się z rozbawieniem. Verenę zapiekły policzki. Wyżej podciągnęła prześcieradło.

Właśnie dlatego nie powinna była w ogóle zadawać się z St. Johnem. Wpuściła go na niewielki teren, a on rozbił obóz i szykował się do inwazji i podboju kolejnych sfer jej życia. Widziała to w jego oczach.

Uklękła i cała okryła się prześcieradłem, a jego końce związała w gruby węzeł na ramieniu.

Doszła do wniosku, że wygląda jak grecka boginka. Zerknęła na Brandona, ale chyba nie zrobiła na nim wrażenia.

Drań.

- Chcę wstać.

Potrząsnął głową.

- Natychmiast.

Lekki uśmiech wykrzywił jego wargi.

Verena wysoko uniosła głowę i na kolanach dotarła na brzeg łóżka. Z jej ruchów przebijała determinacja.

- Nie drocz się ze mną, St. John. Nie jestem w nastroju.

Gdy uśmiechnął się szerzej, Verena ze złością pokazała mu język. Jej gest spotkał się z natychmiastową reakcją. Zanim zdążyła mrugnąć okiem, Brandon przyszpilił ją do materaca i nakrył własnym ciałem.

Była więźniem we własnym łóżku, a ponętne usta Brandona znajdowały się zaledwie cal od jej ust. Czy naprawdę chciała, żeby ją uwolnił?

16

Kłopot z arystokratami polega na tym, że brakuje im ujęcia dla niskich instynktów. Wszystkie urazy gromadzą się w ich wątrobach i zaczynają je niszczyć, powodując złe humory i skwaśniałe miny.

Dawson, główny lokaj diuka Devonshire'a, do Belvin-sa, garderobianego jego lordowskiej mości, podczas gdy obaj stali w holu, czekając na przybycie swojego pana.

Verena zaczęła walczyć.

- Puść mnie!

Brand ujął ją pod brodę i obrócił jej twarz do siebie. Jego dotyk był zdumiewająco delikatny, w oczach malowało się pytanie.

Verena przełknęła ślinę. Nadal miał gorączkę. Bił od niego żar.

Brandon chyba wyczuł, że złagodniała, bo wykrzywił usta w lekkim uśmiechu i odgarnął włosy z jej czoła.

Verena wiedziała, że jest odporna na wszystko z wyjątkiem jego łagodności, dlatego z tym większą determinacją chciała się uwolnić.

- Puść mnie, proszę.

Przez długą chwilę mierzył ją wzrokiem, jakby próbował odczytać jej myśli. Następnie, ku jej zaskoczeniu, wstał i sięgnął po spodnie.

Verena uniosła się na łokciach, nieco rozczarowana. W końcu musiał ustąpić. Co innego mógł zrobić?

A jednak... byłoby chyba ciekawie, gdyby wypróbował inne, bardziej zdecydowane metody perswazji. Szkoda, że tak łatwo się poddał.

Właściwie czuła się trochę urażona.

- Wychodzisz. To dobrze. Chcę, żebyś sobie poszedł. Chcę...

Otworzył drzwi. Miał na sobie tylko spodnie, co zapewne oznaczało, że nie opuszcza jej domu, tylko idzie sam go przeszukać. Niedowiarek. Czy nie powiedziała mu, że ona i James...

Dobry Boże, James!. Jakby na potwierdzenie jej obaw zegar wybił pełną godzinę. Brat mógł się zjawić w każdej chwili i zobaczyć St. Johna paradującego po rezydencji w niekompletnym stroju.

Nie musiała wyobrażać sobie jego reakcji. Dokładnie wiedziała, jaka będzie. Walka na pięści albo, co gorsza, pojedynk. Przełknęła ślinę. James był nieodrodnym synem swojego ojca, z wprawą posługiwał się pistoletem, a jeśli chodzi o szpadę, nie miał sobie równych. Verena wyskoczyła z łóżka. Musiała zatrzymać Brandona.

- Poczekaj! - Prześcieradło zsunęło się jej z ramienia i zaplątało wokół kolan. Potknęła się i omal nie upadła. Ze złością zrzuciła z siebie tunikę, z której była taka dumna, i popędziła do drzwi. W połowie drogi uświadomiła sobie, że jest naga. - Do licha!

Zawróciła do garderoby i chwyciła różowy szlafrok z falbankami. Włożyła go, biegnąc do wyjścia.

Brand usłyszał tupot bosych stóp na drewnianej podłodze, ale się nie zatrzymał. Na Boga, zmusi Lansdowne'a, żeby odpowiedział mu na pytanie o tę przeklętą listę.

Dużymi krokami maszerował do schodów. Na końcu

korytarza nastąpił na coś ostrego. Skrzywił się i spojrzał w dół. Zobaczył mały kamyczek, zapewne przyniesiony przez kogoś z ulicy. W tym momencie w jego uszach rozbrzmiał głos Vereny, cichy i groźny:

- Jeśli zejdziesz na dół w takim stroju, gorzko tego pozajujesz.

Już nie była ubrana w samo prześcieradło. Na szczęście. Gdy tak chodziła naga po pokoju, omal się na nią nie rzucił. Zapanował nad sobą z wielkim trudem.

Co prawda, różowy szlafroczek okazał się niewiele lepszy. Koronkowe falbanki przy dekolcie przyciągały uwagę do rozkosznych krągłości, pod prawie przezroczystą tkaniną wyraźnie odznaczały się koniuszki piersi. Pieścił je zaledwie parę godzin temu, a teraz sterczały, jakby go kusiły, żeby znowu wziął je w dłoń...

Verena skrzyżowała przed sobą ramiona. Brandon uniósł wzrok i zobaczył dezaprobatę w jej oczach.

- Musisz to robić?

- Tak. - Nie potrafiłby się opanować, nawet gdyby bardzo się starał.

Verena przesunęła ręce tak, że zakryła całe piersi.

- Nie możesz chodzić po domu ubrany w ten sposób. - Zerknęła na własny strój i dodała: - Ja również.

- Domagam się odpowiedzi.

- I usłyszysz je, ale... - Westchnęła. - Tej przeklętej listy tu nie ma. A jeśli jest, nie możemy jej znaleźć.

- Co zrobimy? - Jego głos załamał się przy drugim słowie.

- James i ja wybieramy się z wizytą do wszystkich gości, którzy brali udział w tamtej kolacji. Mamy nadzieję, że któryś sobie coś przypomni, cokolwiek.

Plan wydawał się sensowny. Brandon pokiwał głową.

- Dobrze.

Verena przekrzywiła głowę.

- A ty co zamierzasz?

- Odwiedzę Ministerstwo Spraw Wewnętrznych.

Jej oczy się rozszerzyły.

- Myślisz, że to mądre? Obawiam się, że...

Ktoś zapukał do drzwi wejściowych. Dźwięk kołatki rozniósł się po całym holu.

- O, nie! - Verena chwyciła Brandona za ramię. - To James. Pospiesz się!

St. John cofnął się o krok i uśmiechnął szeroko. Nie mógł się opanować. Verena ciągnęła go z powrotem do sypialni, gdzie uczynił ją swoją. Właściwie dlaczego miałyby się skarżyć?

Była najrozkoszniejszą kobietą, jaką znał. Zwłaszcza teraz, z zapłonioną twarzą, z złotymi lokami rozsypanymi na plecach, w prześwitującym negliżu.

Pozwolił, żeby zaprowadziła go z powrotem do siebie. Po drodze usłyszeli głos Herbertsa witającego gościa i donośne odpowiedzi Lansdowne'a.

Verena zamknęła drzwi i oparła się o nie zdyszana.

- Uciekliśmy w ostatniej chwili - wykrztusiła.

Uciekli? Przed czym? Lansdowne nie imponował posturą. Brandon poradziłby sobie z nim z łatwością.

- Dlaczego się chowamy?

- Jamesowi nie spodobałby się widok półnagiego mężczyzny chodzącego po moim domu. Jest bardzo niebezpieczny w pojedynku z pistolety lub szpady. I bywa gwałtowny, delikatnie mówiąc. Nie miałbyś szans.

Brandon omal się nie roześmiał. Nie bał się Lansdowne'a, ale może dobrze, że Verena o tym nie wiedziała. Zdawała się szczerze o niego niepokoić. Ku własnemu zaskoczeniu stwierdził, że jej troska mu się podoba.

- Powiedz, dlaczego szukacie listy Humforda.

- Ktoś ukradł wiersze miłosne Jamesa pisane do kobiety, która ma bardzo wpływowego męża.

- Brat jest szantażowany?

- Boję się o jego życie.

- To poważna sprawa?

- Tak. Ton listów, które przysyłają... Są w nich groźby.

Brandon zmarszczył brwi. Widział strach w jej oczach.

- Ale historia.

- James często zakochuje się w najbardziej nieodpowiednich kobietach. Ojciec zamartwia się z tego powodu.

- Wiesz, kto ma jego listy?

- Nie. Ale chce je wymienić na tylko jedną rzecz.

Brandon zamknął oczy. Na listę Humforda! Sytuacja komplikowała się z każdą chwilą.

Verena podniosła z dywanu prześcieradło i usiadła na brzegu łóżka.

- Przeszukaliśmy cały dom i nic nie znaleźliśmy. Chyba jej tu nie ma.

Więc gdzie może być? Brandon w zamyśleniu popatrzył na Verenę. Poranne słońce stało już całkiem wysoko, przenikało jasnymi promieniami przez szczeliny w zasłonach. Jeden szczególnie śmiały spoczął na jej stopach, oblał je złotem.

Brandon stwierdził, że nie może oderwać od nich wzroku. Verena była dzielna, ale sama na świecie, który to fakt zdawała się ignorować. Wydawała się taka silna i zaradna, całkiem inna niż jego znajome, które miały wokół siebie rodziny.

Ze znużeniem potarł kark. Co robić, do diabła? Oboje potrzebowali tej cholerniej listy, a żadne z nich nie wiedziało, gdzie ona jest. Zbliżył się do łóżka, podniósł Verenę, ujął ją palcem pod brodę i spojrział w oczy.

- Znajdziemy ją, obiecuję.

Nie uciekła wzrokiem.

- A co potem?

Brandon pokazał, że rozdziera kartkę na pół. Verena uśmiechnęła się słabo.

- Chciałabym, żeby to było takie proste. - Oparła się o niego z westchnieniem.

Przytulił ją i dotknął brodą jej czoła. Jego oddech poruszał jej włosy.

Co zrobią, kiedy znajdą zgubę? Zamknął oczy, czując tępy ból w skroniach.

Wyraźnie odbierał wszystkie szczegóły: ciężar głowy Vereny na swoim ramieniu, jej niebiański zapach: mydła, lawendy, wykrochmalonej pościeli. Kształty przytulonego ciała. Trzymanie jej w objęciach było czymś naturalnym, jakby stali tak wiele razy.

Uznał jednak, że powinni się ruszyć. Verena musiała się ubrać, on wyjść i pomyśleć, jak uporać się z kłopotem.

Ale chwilowy spokój wydawał się taki kruchy, że najlżejszy ruch mógł go zakłócić. Stwierdził, że nie chce nigdzie iść. Nigdy.

Westchnął z rozczarowaniem, gdy usłyszał kroki Herbertsa na korytarzu, a potem głośnie pukanie.

Verena podniosła głowę.

- Zapomniałam...

Drzwi otworzyły się i do środka wparował kamerdyner. Zatrzymał się raptownie na widok swojej pani w objęciach St. Johna.

- A, tu pan jest!

Verena drgnęła, starając się uwolnić z ramion Brandona, ale przytrzymał ją mocno, obrzucając sługę wyzywającym spojrzeniem.

Herberts się zaczerwienił.

- Proszę wybaczyć, milady, ale przyszedł z wizytą pani brat. Czeka na dole.

- Dziękuję, Herberts. Zaraz zejdę.

Kamerdyner cmoknął z dezaprobatą.

- Mam nadzieję, że zejdzie pani szybko. Nie chciałabym patrzeć, jak pani...

- Więc nie patrz - rzucił St. John.

Służący potarł brodę.

- Chyba mogę to zrobić.

- Przynies herbatę do salonu - poleciła Verena z westchnieniem. - Pan St. John ma chore gardło od wczorajszego stania na deszczu.

- Tak? - Herberts wytarł nos rękawem. - Tam chyba mogę zanieść, byle nie tutaj.

Posłał im nieprzychylnie spojrzenie, odwrócił się i wymaszerował z pokoju.

Verena się uśmiechnęła.

- On tylko stara się być opiekuńczy.

- Wiem. - Inaczej nie tolerowałbym takiego zachowania.

Niechętnie wypuścił Verenę z objęć. Poszła do garderoby. W progu się zawahała, jakby toczyła ze sobą walkę.

- Humford. Mówiłeś, że został zamordowany. Jak? Nie pytałabym, ale jeśli ludzie, którzy mają listy Jamesa, to ci sami, którzy go zabili...

Brandon dostrzegł strach w jej fiołkowych oczach. Strach, który ukrywała chyba nawet przed sobą.

- Został uduszony, a jego ciało wrzucono do Tamizy.

Verena pobladła, jej dłonie ściskające framugę zbieleły.

- Rozumiem - wyszeptwała. Wzięła głęboki oddech i opuściła ręce po bokach. - Dziękuję, musiałam wiedzieć.

Brandon zrobił krok do przodu, bardziej zaniepokojony, niż był gotów przyznać.

- Vereno... - Jego głos brzmiał jak zgrzyt zardzewiałej bramy.

- Będę ostrożna. - Rozprostowała plecy. - Muszę się

ubrać. Możesz tu zaczekać, jeśli chcesz. James i ja zaraz wyjeżdżamy.

Posłała mu ostatni, uprzejmy uśmiech, zniknęła w ubieralni i zamknęła za sobą drzwi.

Brandon ruszył w ich stronę, ale po dwóch krokach się zatrzymał. Odprawiła go. Chłodno i bez śladu emocji.

Wiedział wszystko o uprzejmym odprawianiu. Sam tak postępował przez większą część swojego dorosłego życia. Lepiej nie być tym, któremu bardziej zależy. Brandon znał zasady i żył zgodnie z nimi. Ale po raz pierwszy to kobieta go odtrąciła.

Do diabła, co teraz? Zacisnął szczęki, zgarnął swoje rzeczy i zaczął się ubierać. Oboje muszą koniecznie znaleźć tę listę. I co wtedy? Verena będzie walczyć na śmierć i życie, żeby bronić brata, i szczerze mówiąc, nie mógł jej za to winić. On też dla swojego zrobiłby wszystko.

Jak zatem spełnić obietnicę daną Wychamowi? Zdawało się, że węzeł jest nie do rozplatania. Zresztą nawet gdyby jemu i Verenie udało się dojść do porozumienia w sprawie listy Humforda, zostawała jeszcze kwestia ich wzajemnych stosunków.

Pragnął jej. Chciał ją mieć przy sobie nie tylko przez kilka godzin, ale rano, w południe i w nocy. Pożądanie się wypali, zawsze tak się działo. Ale tymczasem... Jeszcze nigdy nie czuł równie silnej żądy. Nigdy nie doświadczył takiej gorącej namiętności połączonej z czymś jeszcze... może czułością.

Ze smutkiem potrząsnął głową, wiążąc krawat. Drzwi sąsiedniego pokoju otworzyły się i zamknęły. Potem na korytarzu rozległy się kroki stłumione przez gruby chodnik. Verena minęła sypialnię i zeszła po schodach, szeleszcząc spódnicami.

Brandon usłyszał szmer głosów w holu, a następnie trzask drzwi wyjściowych.

Zbliżył się do łóżka, żeby wziąć stojące przy nim buty. Prześcieradła i kołdra były skotłowane, poduszki rozrzucone. Uśmiechnął się na wspomnienie chytrej miny Vereny, gdy przyszpilona przez niego do materaca próbowała się uwolnić.

Humor trochę mu się poprawił. Nie było sensu martwić się o przyszłość. Z pewnością znajdą listę i zrobią, co muszą. Do tego czasu upłynie tydzień, może dwa. Wyrzął na korytarz, by się upewnić, że w pobliżu nie ma Herbertsa, po czym wyszedł z sypialni Vereny i cicho opuścił dom.

Słońce przedarło się przez chmury i zdążyło ogrzać powietrze. Brandon zatrzymał się na najniższym stopniu i rozejrzał po ulicy. Wszystko wydawało się świeże. Uśmiechnął się do siebie i cisnął monetę ulicznikowi w obszarpanym granatowym płaszczu, stojącemu obok powozu.

Chłopak sprawdził monetę zębami, wymamrotał podziękowanie, schował ją do kieszeni i odszedł.

Brandon wszedł do powozu. Jedną rzecz wiedział na pewno. Póki James przebywał w Londynie, Verenie groziło niebezpieczeństwo, dlatego on zamierzał być częściej obecny w jej życiu.

St. Johnowie zawsze dbali o bliskich. I przez ten czas, choćby krótki, Verena będzie należała do niego, w każdym rozkosznym calu.

Nie żyłbym inaczej, gdybym był bogatym człowiekiem. Mam skromne potrzeby. Jedyne, czego pragnę, to duży dom, piękne powozy, najlepsze konie, eleganckie stroje, łoża w operze blisko książęcej, mistrz kuchni, solidne kieszonkowe i jedna czy dwie kochanki.

Belvins, lokaj diuka Devonshire'a, do swojego pana, pomagając mu włożyć płaszcz.

Gdy Brand dotarł do domu, Poole, który usłyszał głos swojego pana, natychmiast podjął starania, żeby uczynić jego egzystencję jeszcze bardziej załosną. Próbował go mianowicie namówić na musztardowy okład na pierś. Chory musiał długo protestować, niemal szeptem, żeby kamerdyner wreszcie zostawił go w spokoju.

W końcu Brandon uciekł do White'a. W tym błogosławionym przybytku wiał gazetę i zaszył się w kącie. Oczywiście nie czytał. Umysł miał zbyt zaabsorbowany trudną sytuacją, żeby móc sobie pozwolić na taki luksus.

Ale papierowa bariera chroniła go przed próżną gadaniną i złośliwymi żartami, które bez wątpienia by się posypały, gdyby ktoś go usłyszał.

Po godzinie sączenia herbaty solidnie wzmocnionej brandy, stwierdził, że gardło mniej go boli. Mógł już wypowiedzieć normalnie kilka słów.

Ucieszył się, ale nie dawała mu spokoju myśl, że powinien szybko podjąć jakieś zdecydowane działanie. Przewracał stronicę, bezmyślnie patrząc na ogłoszenia.

W końcu ze zniecierpliwieniem odłożył gazetę i wyciągnął przed siebie nogi. Musi znaleźć tę przekłętą listę. Zarówno ze względu na Verenę, jak i Wychama. Ale co zrobi, gdy już ją będzie miał? Zmarszczył brwi. Może sporządzi kopię i...

- Brandon?

- Roger! - wychrypiał i natychmiast pomasaował gardło. Było za wcześnie na okrzyki.

Wycham stał przed nim blady i zmęczony, w pogniecionym surducie i niedbale zawiązanym fularze. Przeczesał ręką włosy i uśmiechnął się słabo.

- Wiem, że kazałeś mi trzymać się z daleka, ale musiałem przyjechać.

Brandon wskazał mu krzesło. Roger rozejrzał się nerwowo i przesunął je za dużą roślinę, tak że prawie całym się za nią ukrył.

- Właśnie przyjechałem do miasta i zajrzałem do ciebie. Twój kamerdyner powiedział, że nie najlepiej się czujesz. - Wicehrabia popatrzył na niego z troską. - Jesteś chory?

St. John potrząsnął głową.

- To tylko gardło. Co tu robisz?

- Nie mogłem dłużej znieść niepewności. - Roger nachylił się do przodu i dodał z przejęciem: - Colburn wysłał list do mojego ojca. Gdybym nie był czujny, staruszek by go dostał i...

- Colburn?

- Pracuje w ministerstwie. To na niego natknąłem się u Humforda. Na niego i jeszcze jednego mężczyznę, Faradaya czy Farrawaya, nie pamiętam! - Roger nerwowo

zwilżył wargi. - Jeszcze nie znalazłeś? Wiesz, gdzie jest?

Wszyscy zdawali się sądzić, że zguba jest w domu Westforthów, jednak Brand miał co do tego wątpliwości. Verena i James szukali wszędzie... Ale gdzie indziej mogła być ta cholerna lista, jeśli nie tam?

Odepchnął od siebie tę myśl. Verena miała już dość własnych kłopotów.

- Potrzebuję więcej informacji - wychrypiał.

- Więcej? Już powiedziałem ci wszystko, co wiedziałem. - Wycham zgarbił się na krześle. - Sytuacja jeszcze się pogorszyła.

Brandon uniósł brwi.

- Przepraszam. Nie chciałem być melodramatyczny. - Roger potarł twarz rękami. Wyglądał na dziesięć lat starszego. - W liście z ministerstwa, który przechwyciłem, Colburn daje mi tydzień na zwrot listy, bo inaczej mnie aresztuje.

Tydzień. Do diaska!

- Czy Humford wspomniał, co jest na tej liście?

- Podejrzewam, że nazwiska. Dziesięć, może dwanaście. Nie wiem. - Przez twarz Wychama przemknął cień. - Muszę podziękować ci za pomoc. Byłeś w porządku, natomiast ja... - Uśmiechnął się blado. - Nie zawsze postępowałem tak, jak trzeba. Zmarnowałem dotychczasowe życie. Ojciec ma rację. Ale teraz się zmienię.

- Wszyscy robimy rzeczy, których po fakcie żałujemy.

Roger wytarł dłonie o spodnie.

- Nigdy więcej nie będę robił zakładów ani grał w karty. I zacznę częściej odwiedzać ojca. On wie, że coś jest nie w porządku, ale nie powiedział ani słowa.

Brand słyszał ból w głosie przyjaciela i żałował, że nie potrafi dodać mu otuchy.

- Zrobię, co w mojej mocy, obiecuję.

Wszystkie słowa wypowiedział całkiem głośno. Dzięki Bogu za gorącą herbatę. Z każdą chwilą z jego gardłem było lepiej.

Uśmiech Rogera tym razem wydawał się szczery.

- Uda ci się, Brandonie. Zawsze ci się udaje.

Mijający ich członek klubu rzucił St. Johnowi pozdrowienie i z ciekawością zerknął na jego niechlujnego towarzysza.

Wycham dotknął fularu.

- Muszę iść. Jeśli Colburn się dowie, że jestem w mieście... Brand, proszę, informuj mnie na bieżąco. Oszałeję, jeśli nie będę wiedział, co się dzieje. Wyślij wiadomość do mojego mieszkania. Lokaj dostarczy mi ją szybciej niż poczta.

Brandon skinął głową.

- Powiadomię cię, gdy tylko się czegoś dowiem.

Roger chwycił jego dłoń w obie swoje i uściśnął.

- Dziękuję! Wiesz, że bym nie przyjechał, gdyby nie ten cholerny list Colburna. Nie zamierzałem cię popędzać.

Może nadeszła pora, żeby spotkać się z ministerialnymi urzędnikami, którzy mieli czelność grozić synowi hrabiego.

- Gdzie można znaleźć tego Colburna?

Wycham zbladł.

- Nie! Nie chcesz chyba... Trzymaj się od niego z daleka, Brand. To nie jest miły człowiek.

Podobnie jak Brandon, kiedy musiał bronić przyjaciół albo rodziny. Poza tym istniała możliwość, że Colburn będzie w stanie pomóc Verenie. Ktokolwiek szantażował Jamesa, wiedział o Humfordzie i jego liście. Istniał między tymi dwiema sprawami jakiś związek i ministerstwo mogło wiedzieć jaki.

Brand był gotów chwycić się każdej szansy, choćby ni-

kłej. Nadal prześladował go widok twarzy Vereny, gdy powiedział jej o śmierci Humforda.

- Muszę iść - oznajmił Roger. - Mogą wysłać kolejny list do mojego ojca, żeby tylko dostać ode mnie tę cholerną listę. Tyle że ja jej nie mam! A nawet gdybym miał... - W jego oczach pojawiła się panika. - Czy ty... Dostałeś się do domu lady Westforth?

St. John skinął głową.

- To dobrze. Ale bądź ostrożny. Z początku myślałem, że Verena jest niewinna, że została wplątana w sprawę przez niefortunne okoliczności. Teraz... - Wycham zaśmiały się nerwowym śmiechem. - Już nie wiem, komu i w co wierzyć.

Brand poczuł irytację, lecz szybko ją zdusił.

- Wszystko będzie dobrze.

- Nie zasługuję na takiego przyjaciela - stwierdził Roger i dodał z wdzięcznością: - I jestem świadomy, jaki długi mam wobec ciebie.

- Porto - rzucił Brandon. - Całe skrzynie.

Wycham zdobył się na uśmiech.

- Są twoje. A teraz już naprawdę muszę iść. Powrót do domu zajmie mi większą część dnia. Uważaj na siebie, Brand. Pamiętaj, co przydarzyło się Humfordowi.

Było mało prawdopodobne, żeby Brandon o tym zapomniał. Za każdym razem, gdy myślał o zabójstwie, widział rozszerzone fiołkowe oczy Vereny. Patrzył, jak Roger oddala się szybkim krokiem, ze zwieszoną głową i zgarbionymi plecami. Postąpił głupio, że przyjechał do miasta.

Brand zamówił jeszcze jedną herbatę z brandy. Jeśli miał stawić się w jaskini lwa, potrzebny był mu normalny głos.

Kilka godzin i kilka filiżanek herbaty później poczuł się dużo lepiej, ale przeraził go własny głos: gruby, zdarły i chropawy, jakby jego właściciel spędził lata na morzu. Na szczęście już nie drżał, więc Brand nie mógł się skarżyć.

Wszedłszy do niewielkiego biura przy Timms Street, zdjął płaszcz i kapelusz.

- Dzień dobry. Pan St. John do lorda Colburna.

Młodzieniec o wąskiej twarzy i wyłupiastych oczach zerwał się zza biurka.

- Tak, sir! Dostaliśmy pański list godzinę temu. Lord Colburn czeka.

Poprowadził gościa wysokim, zimnym korytarzem, zapukał do ciemnobrązowych drzwi, po czym je otworzył.

Oczom Branda ukazał się wąski, przytulnie urządzony pokój. Na podłodze z desek leżał wyblakły dywan, wzdłuż ścian ciągnęły się półki pełne książek, gazety były ułożone w stosy. W rogu stało duże dębowe biurko, a obok niego, na pozór bezładnie, kilka krzeseł.

Dzień był pochmurny, więc paliła się lampa, oświetlając pomieszczenie żółtym blaskiem. W gabinecie siedzieli dwaj mężczyźni, jeden przy biurku, drugi trochę z boku, niemal ukryty w cieniu. Obaj wstali na powitanie gościa.

Sir Robert Colburn miał wygląd dobrotliwego dziadunia o siwych włosach i oczach okolonych zmarszczkami.

- Pan St. John. Kiedy otrzymałem pańską prośbę o spotkanie, pozwoliłem sobie wezwać Farraguta, jako że szczególnie interesuje się sprawą, którą chce pan omówić.

Niski, łysiejący mężczyzna o przenikliwych czarnych oczach i grubej szyi ukłonił się i powiedział:

- St. John.

Brand skinął głową.

- Przepraszam za mój głos, panowie.

- Chrypka? Miesiąc temu miałem ten sam kłopot. Może chciałby pan odrobinę brandy? Albo gorącej herbaty? Piję ją codziennie punktualnie o czwartej. Działa cuda.

Brand pomyślał, że pięknie, jeśli wypije jeszcze jedną filiżankę, ale uznał, że może jej potrzebować, zanim spotkanie dobiegnie końca.

- Chętnie.

Colburn podszedł do tacy stojącej na biurku, napełnił dwie filiżanki i dolał do nich odrobinę brandy. Następnie jedną postawił przed gościem, a drugą obok dużego fotela z wysokim oparciem.

- Dziękuję. - W tym momencie Brandon dostrzegł na sobie spojrzenie drugiego mężczyzny i protekcyjnalny wyraz malujący się na jego kwadratowej twarzy. - Pan nie pije herbaty, panie Farragut?

Usta zagadniętego wykrzywił słaby uśmiezek.

- To napój dla kobiet i bogaczy, którzy paradują z zadartymi nosami.

Colburn skrzywił się lekko.

- Panu Farragutowi brakuje ogłady towarzyskiej, ale jest jednym z moich najlepszych agentów. Właśnie dlatego wzięłem go do tej sprawy.

- Sprawy?

Sir Robert odstawił filiżankę i westchnął ciężko.

- Obawiam się, że tak. Ale przejdźmy do rzeczy. Byłem zaskoczony, kiedy otrzymałem pański list, choć właściwie powinienem się go spodziewać. St. Johnowie są znani z odwagi, a frontalny atak zawsze jest najskuteczniejszy.

- Wie pan, dlaczego tu przyszedłem.

- Wicehrabia Wycham.

- Roger nie jest zamieszany w tę historię. Obawiam się, że popełniliście błąd.

- Błąd? - Farragut zaśmiał się nieprzyjemnie. - My nie popełniamy błędów, panie St. John. Wycham jest winny jak...

- Arthur. - Colburn potrzaskał głową.

Farragut jeszcze chwilę ruszał ustami, jakby poprzestał na spiorunowaniu gościa wzrokiem.

Jego przełożony westchnął.

- Wiem, że chce pan oczyścić nazwisko przyjaciela, ale sprawa nie wygląda dobrze. Zgubiliśmy pewną rzecz. Jest warta dużo pieniędzy, ale szukamy jej z innego powodu. Chodzi o ratowanie życia.

- Czyjego?

- Paru bardzo cennych osób. Lista zawiera nazwiska najlepszych agentów działających w różnych europejskich portach. Musimy ją odzyskać. Jeśli wpadnie w niepewność ręce, nasi ludzie zginą. - Potrzaskał głową ze szczerą troską w niebieskich oczach.

- Domyślałem się, że to coś ważnego, ale...

- Najgorsze, że nie tylko my jej szukamy, ale również ktoś, kto jest gotowy zabijać w razie konieczności.

- Na przykład Humforda?

Colburn się zawahał, po czym skinął głową.

- Nie przewidzieliśmy takiego niebezpieczeństwa. Oczywiście cała sytuacja to po części jego wina.

- Pracował dla pana?

Gospodarze wymienili spojrzenia.

- Czasami, w drobniejszych sprawach, wykorzystywaliśmy go jako kuriera...

- Tylko, kiedy byliśmy zmuszeni - dodał Farragut, krzywiąc wargi.

Najwyraźniej nie miał dobrego zdania o Humfordzie. Brandon podejrzewał, że ten człowiek źle myśli o wszystkich.

- Dawaliśmy mu tylko mało ważne zlecenia - powiedział Colburn z lekceważącym uśmiechem. - Nie robilibyśmy tego w ogóle, ale jego wuj ma pewne wpływy w Izbie Lordów, a od niej zależą nasze fundusze.

- Co przydarzyło się Humfordowi?

- Popełnił bardzo głupi błąd. Dwa tygodnie temu zniknął jeden z naszych stałych agentów. Byliśmy zdumieni, bo ta kobieta służyła u nas od lat. Z desperacji zwróciliśmy się do Humforda. Nie uprzedziliśmy go, jak ważne ma zadanie. Uznaliśmy, że im mniej będzie wiedział, tym lepiej. - Colburn potrząsnął głową. - Niestety przeliczyliśmy się w naszym rozumowaniu.

Farragut prychnął.

- Ten człowiek był głupcem. Zabójca, który go udusił, marnował czas. Humford ledwo trzymał się na nogach. Wepchnięcie do Tamizy w zupełności by wystarczyło.

Przełożony posłał mu ostre spojrzenie.

- Niezależnie od kłopotów, jakie nam Humford sprawiał, naprawdę żałujemy, że zginął.

- A ja nie - burknął Farragut. - Krzyżyk na drogę.

Colburn go zignorował.

- Sądzymy, że Humford komuś powiedział o swojej misji. Komuś, kto potrafił ocenić wartość przesyłki. Sądzymy, że ten osobnik czekał na niego pod domem lady Westforth, następnie zaciągnął go w boczną uliczkę i tam udusił.

Brand opuścił wzrok na filiżankę. Morderca czatował pod domem Vereny!

- Dlaczego pan uważa, że Wycham ma coś wspólnego z tą sprawą? Nie jest zdolny do takiej zbrodni.

Farragut uśmiechnął się szeroko.

- Nie zna pan swojego przyjaciela tak dobrze, jak pan sądzi. Miał zarówno motyw, jak i okazję.

- Jaki motyw?

- Czterdzieści tysięcy funtów długów karcianych - odpowiedział Colburn. - Wycham jest zdesperowany. A zdesperowani ludzie nie zawsze postępują tak jak w normalnych okolicznościach.

Dobry Boże. Jak Roger powie ojcu?

- Nie wiedziałem, że ma tyle długów, ale nie jest typem człowieka, który w takiej sytuacji morduje.

Farragut prychnął.

- Więc dlaczego ukrywa się u tatusia, skoro jest niewinny?

- Czekam, aż znajdę listę i udowodnię jego niewinność.

Colburn upił łyk herbaty i z cichym szcęknięciem odstawił filiżankę na spodek.

- Jeśli Wycham nie zrobił tego sam, możliwe, że kogoś wynajął.

- Wykluczone.

- Widziano go z ludźmi, których mamy powody posądzać o działanie na szkodę kraju.

- Jest winien pieniądze i rozmawia z niewłaściwymi osobami. - Brandon wzruszył ramionami. - Jeśli to wystarczy, żeby stać się podejrzanym, musielibyście wezwać na przesłuchanie co najmniej połowę towarzystwa.

- Panie St. John - zaczął Colburn, marszcząc brwi - nie sądzę, żeby pan rozumiał, jak poważna jest sytuacja. Zgodziłem się z panem spotkać z dwóch powodów. Po pierwsze, uznałem, że może nam pan pomóc w bardzo ważnej sprawie. Po drugie, istnieje prawdopodobieństwo, że panu, lady Westforth i nawet Wychamowi, jeśli rzeczywiście jest niewinny, też grozi niebezpieczeństwo.

Dzięki Bogu, że Roger znajdował się w drodze do Devonshire. Ale Verena... Sama w Westforth House, z garstką służby do obrony. Dobrze wiedział, jak łatwo dostać się niepostrzeżenie do jej domu.

Poruszył się niecierpliwie.

- Jakie macie dowody?

Farragut sapnął, jego uszy poczerwieniały.

- Przeciwno pańskiemu przyjacielowi? Nie tyle, ile byśmy chcieli, ale dość, żeby go zamknąć, póki nie zdecyduje się współpracować.

Brandon utkwiał w nim zimne spojrzenie.

- Dość, żeby usprawiedliwić rujnowanie jego życia?

- Rujnowanie? - Agent wykrzywił usta. - Niech pan zapyta Humforda, jak to jest mieć rozcięte gardło, oczy wydżone przez ryby...

- Farragut! Ostrzegałem, żebyś pamiętał o manierach. Chyba powinieś nas opuścić.

Skarcony podwładny zaczerwienił się tak jak jego uszy i łypnął spode łba na Colburna, ale po chwili odsunął krzesło i wstał.

- Dobrze, pójdę, ale niech ten człowiek wie, że znajdziemy listę, w taki czy inny sposób.

Posłał Brandonowi ostrzegawcze spojrzenie, po czym wymaszerował z gabinetu i trzasnął za sobą drzwiami.

- Musi pan mu wybaczyć. To on znalazł ciało Humforda.

- Pan Farragut chyba mnie nie lubi.

- Arthur? - Colburn się uśmiechnął. - On nie lubi każdego, kto nie jest w służbie. Powinien pan słyszeć, jak pokpiwał z księcia.

- Przynajmniej jestem w dobrym towarzystwie.

- Istotnie. - Uśmiech zniknął z twarzy Colburna, w oczach znowu pojawił się niespokojny wyraz. - St. John, waham się, czy w pańskiej trudnej sytuacji prosić o przysługę. Jest pan blisko z Wychamem. Zdaje się, że obaj byliście w Eton.

Brandon kiwnął głową.

Colburn powiódł palcem po krawędzi filiżanki.

- Waham się, bo chodzi o delikatną kwestię. Zauważyliśmy, że zaprzyjaźnił się pan również z lady Westforth.

Pewnie obserwowali dom. Ta myśl nie dodała Brandonowi otuchy. Do diabła, było gorzej, niż przypuszczał. Żałował, że nie może gdzieś ukryć Vereny, póki sprawa się nie wyjaśni. Wiedział jednak, że ona i tak nie zgodziłaby się na ucieczkę.

- Ale bałagan! - mruknął.

Usta lorda drgnęły.

- Tak. Bardzo duży bałagan. Panie St. John, nie wie pan przypadkiem, kto ma listę?

- Nie.

Colburn przez chwilę nie odrywał od niego wzroku. Potem westchnął.

- Tak myślałem, ale łudziłem się, że...

- Jest pan pewien, że Humford miał tę listę ze sobą, kiedy szedł do lady Westforth? Może gdzieś ją zostawił.

- Nie. Miał ją przy sobie, kiedy wchodził do jej domu. Wiemy to z całą pewnością.

- Jak to możliwe?

Colburn się uśmiechnął.

- Proszę mi zaufać. Informacja jest pewna. Inna sprawa, co potem stało się z listą. - Wzruszył ramionami. - Pociesza nas jedynie fakt, że zabójca Humforda nie znalazł tego, czego szukał.

- Nie podoba mi się to wszystko.

- Mnie również. - Colburn westchnął po raz kolejny. - Dlatego chciałbym, żeby zostawił pan tę sprawę nam. Możemy dać lady Westforth ochronę.

- Tak jak Humfordowi.

- To był błąd. - Colburn splótł ręce. - Lady Westforth jest uroczą kobietą. Nikt tego nie kwestionuje. Ale powinienem pana ostrzec, że ona i jej brat ukrywają parę rzeczy.

Brandon nic nie powiedział. Nie był zaskoczony, że Verena ma swoje tajemnice. Sam się tego domyślał. Nigdy nie udawała, że jest niewinną panienką na wydaniu. Była dojrzałą, kamienną kobietą, która sporo w życiu doświadczyła. Pewnego dnia zamierzał poznać wszystkie jej sekrety.

Colburn odsunął fotel od biurka.

- Widzę, że jest pan uparty. Niechętnie to mówię, ale jeśli lista natychmiast się nie znajdzie, będziemy musieli podjąć stosowne kroki.

- Jakże?

- Jeśli to okaże się konieczne, wsadźmy wicehrabiego Wychama i lady Westforth do aresztu i zatrzymamy ich tam, póki się nie dowiemy, gdzie jest zguba.

- Skąd pan wie, że nie została zniszczona albo wywieziona.

- Bo znamy ludzi zainteresowanych jej kupieniem. Wszyscy czekają. Ponieważ żaden nie wyjechał z kraju, zakładamy, że lista nadal tu jest.

Brandon podniósł się z krzesła.

- Dziękuję za rozmowę. Dużo się od pana dowiedziałem.

Colburn też wstał.

- Jesteśmy jak otwarta księga, panie St. John. Jeśli będzie pan miał jeszcze jakieś pytania, proszę przyjść. Odpowiem na nie w miarę możliwości.

Brandonowi raptem wpadła do głowy pewna myśl.

- Jakiej wielkości jest ta lista? - zapytał.

- Jakiej wielkości? - Colburn rozłożył dłonie, żeby pokazać wymiary karteczki. - O, taka.

Brandon pokiwał głową.

- Dziękuję. Będziemy w kontakcie.

- Świetnie. A, panie St. John, jeśli znajdzie pan listę, mam nadzieję, że pan ją nam przyniesie.

Brandon się zawahał.

- Tak. Przekażę ją bezpośrednio panu.

- To wszystko, o co proszę. - Między brwiami Colburna pojawiła się mała zmarszczka. - Trzeba sprytnego człowieka, żeby uknuć tego rodzaju intrygę. Uważam, że z dwojga pańskich przyjaciół, lady Westforth jest bystrzejsza.

Brandon nie zamierzał kwestionować tego spostrzeżenia. Wyciągnął rękę.

- Powodzenia, St. John - rzekł Colburn, ściskając jego dłoń. - Naprawdę chciałbym, by pan udowodnił, że się mylimy w tej sprawie. We wszystkich jej aspektach.

Wolę mieć nowego konia niż kochankę. Zawsze przyjemnie jest być miło witany za cenę marchewki zamiast rubinowego naszyjnika.

Jego lordowska mość, diuk Devonshire, do swojego przyjaciela, sir Roberta Daltry'ego, na targu końskim Tattersall.

Verena opadła na sofę w bawialni. Białe organdynowe spódnice rozłożyły się wokół niej jak wielki kwiat.

- Jestem zbyt zmęczona, żeby jeszcze komuś złożyć wizytę. Nogi mnie boją, włosy mi oklapły przez ten okropny deszcz. Jeśli chcesz porozmawiać z lady Bessington, będziesz musiał pojechać do niej sam.

To był męczący dzień, spędzony na odwiedzaniu wszystkich osób, które brały udział w tamtej nieszczęsnej kolacji. Stracili tylko czas. Ponieważ wieść o śmierci lorda Humforda już rozeszła się w towarzystwie, usłyszeli o nim same pochlebne opinie.

Dobrze, że nie wiadano, jak zginął. Mówiono tylko, że utonął w Tamizie, zapewne jako ofiara napadu rabunkowego.

Verena powściągnęła dreszcz; jaka straszna śmierć. James spacerował przed kominkiem, z rękami założonymi za siebie.

- Zobaczą się z lady Bessington wieczorem w teatrze. To ostatnia z osób biorących udział w twoim przyjęciu. Oczywiście poza Wychamem.

Dziwne, że wyjechał z miasta w pełni sezonu. Verena poznała go przed dwoma laty w domu gry. Wycham był tam stałym gościem.

Zastanawiała się, czy Brandon wie coś o miejscu jego pobytu. Próbowwała wyobrazić sobie przyjaźń niedojrzałego wicehrabiego z St. Johnem, ale nie mogła.

James potarł ręką twarz.

- Cały dzień poświęciliśmy na szukanie śladów i nic nie znaleźliśmy.

- Może dowiemy się czegoś od lady Bessington. Ktoś musiał zauważyć, że Humford dziwnie się zachowuje.

- Mam nadzieję - powiedział brat. - Nienawidzę teatru, ale podobno ona nie opuszcza żadnego przedstawienia.

- Ja też nie lubię teatru. Ojciec potrafiłby przyćmić każdego aktora.

- Owszem. Jeśli złapię lady Bessington przed pierwszym aktem, zaraz potem ucieknę.

Verena zrzuciła buty. Odwiedzili dzisiaj aż dziewięć osób. Dziewięć domów, dziewięć długich, nudnych rozmów, niezliczone filiżanki letniej herbaty i tace starych ciasteczek.

Nie tknie herbaty do końca życia.

James przystanął i zmarszczył czoło.

- Musimy podsumować, czego się dowiedzieliśmy.

- Tego, że lady Jessup szuka ochmistrzyni, a pan Sinclair ma najlepsze biszkopty. Muszę wziąć od niego przepis dla kucharki.

Brat zmierzył ją wzrokiem.

- Byłaś dziś w wyjątkowej formie.

Verena przygryzła wargę. Rzeczywiście zachowywała

się dość swobodnie i dużo mówiła, ale tylko z obawy, że jeśli przestanie myśleć, sparaliżuje ją strach o brata.

Przyjrzała mu się bacznie. Był trochę blady. Podejrzała, że jest zdesperowany.

Ona również. I dlatego cały dzień próbowała skupić się na przyjemniejszych rzeczach. Takich jak ostatnia noc, władce dłonie Brandona na jej ciele, zapach wody kolońskiej na pościeli, jego błyszczące oczy.

Na samo wspomnienie przebiegł ją dreszcz. Był zdumiewającym mężczyzną. Szkoda, że takim apodyktycznym. Oczywiście w sypialni ta cecha okazywała się zalecą, ale w codziennym życiu mogła prowadzić jedynie do niezgody.

I rozczarowania. Brandon St. John obracał się w wyższych sferach, w których ona nigdy nie będzie mile widziana.

Ale przecież nie miało znaczenia, co o niej sądzi towarzystwo. Ani ona, ani Brandon nie zamierzali dopuścić do tego, żeby ich znajomość się rozwinęła.

I tak powinno zostać, upomniała się surowo. Poprawiła bransoletkę z granatami, żeby zapanować nad emocjami.

- Słyszałaś mnie?

Verena zamrugała.

- Ja... a coś mówiłeś?

- Najwyraźniej do siebie. Co się z tobą dzieje? Od rana zachowujesz się dziwnie...

W tym momencie rozległo się pukanie i do salonu wsadził głowę Herberts. Błysnął w uśmiechu złotym zębem.

- A tu pani jest! Przyszedł gość. Mam go wprowadzić?

- Nie zagłądaj w ten sposób do pokoju. Wyglądasz jak duch bez ciała. Wejść do środka i powiedz, co masz do powiedzenia.

Kamerdyner się rozpromienił, ale został na miejscu.

- Duch? Może następnym razem, jak będę anonsował gościa, krzyknę: Buu! - Zrobił straszną minę i przewrócił oczyma. - Uuuuuu!

Verena musiała pohamować uśmiech. Jednocześnie poczuła ulgę, że nadal jest zdolna do wesołości.

- K i m jest nasz gość?

Sługa popatrzył na nią szelmowsko.

- Zna go pani bardzo dobrze.

Serce Vereny przyspieszyło. Do licha, dlaczego reaguje w ten sposób na samą myśl o Brandonie?

- Pan St. John?

- We własnej osobie. Muszę stwierdzić, że to miła odmiana widzieć go w koszuli na grzbiecie.

Verena poczuła, że płonie jej twarz. Rzuciła szybkie spojrzenie na brata i zobaczyła, że James gapi się na kamerdynera, jakby przeżył ciężki wstrząs.

- Wprowadź pana St. Johna - poleciła w nadziei, że brat nie odzyska głosu przed wyjściem sługi.

- Co... - Głos Jamesa zabrzmiał podobnie jak ich ojca. - O co tutaj chodzi?

- A kto wie, co ma na myśli Herberts? Och! Gdzie moje buty?

Odegrała małe przedstawienie z ich szukaniem i wkładaniem. Dzięki temu James nie widział jej twarzy, czerwonej jak poduszki na sofie. Gdy się wyprostowała, w progu stał Brandon. Ukłonił się i spojrzał jej w oczy w taki sposób, że zaparło jej dech.

Wyglądał wspaniale. Cudownie. Wysoki, przystojny, czarne włosy opadały mu na czoło, czarny surdut leżał idealnie.

- Lady Westforth - powiedział, muskając oddechem jej palce.

Zadrzała.

- Odzyskał pan głos.

Jeszcze głębszy niż zwykle, zachrypnięty i uwodzicielski. Na sam jego dźwięk Verenie zmiękły kolana. Brandon nadał trzymał jej dłoń, kciukiem głaszcząc kostki.

- Mogę mówić, ale jeszcze nie śpiewać - powiedział.

- Więc nie będziemy pana do tego namawiać. Zaraz kązę podać herbatę.

- Nie, dziękuję. Piłem ją przez cały dzień, żeby wyleczyć gardło. Jeszcze jedna filiżanka, i moje oczy zrobią się brązowe.

Jego kciuk kreślił linie na delikatnej skórze jej dłoni.

Dotyk wzbudził w Verenie uczucia, które wolała ukryć przed bystrookim bratem. James obserwował ją bacznie, z pochmurną miną.

Do licha! Nie chciała, żeby mieszał się w jej intymne sprawy. Siłąc się na obojętność, zabrała rękę i wskazała Brandonowi krzesło naprzeciwko sofy.

- Może pan się rozgości, panie St. John? Pan Lansdowne i ja...

- Ma pani na myśli Jamesa, prawda? - Brandon usiadł na wskazanym miejscu. - A może nie zwraca się pani do brata po imieniu?

Verena gwałtownie wciągnęła powietrze. Co on wyprawia? James przeszył ją wzrokiem.

- Powiedziałaś mu.

Verena poczuła się, jakby była przezroczysta, a jej emocje były widoczne dla całego świata. Założyłaby się, że James domyśla się wszystkich szczegółów jej schadzki. Bez wątpienia aż się palił, żeby wrócić do siebie i napisać do ojca dług list.

Do diaska! To była ostatnia rzecz, jakiej potrzebowała: ojciec przybywający na białym koniu i domagający się za- dośuczynienia. A właśnie tak by postąpił, gdyby się do-

wiedział. Tyle że nie byłby rycerzem na bojowym ruma- ku, lecz jeźdźcem Apokalipsy.

- Powiedziałaś panu St. Johnowi, że jesteś moim bra- tem, bo myślał, że my... - Wykonała ręką nieokreślony gest.

James łypnął na nią groźnie, ale nic nie powiedział.

- Powiedziała również o pańskich listach miłosnych. Mam w związku z nimi kilka pytań.

Verena omal nie jęknęła. Co on próbuje osiągnąć?

James zesztyniał, jego oczy ciskały błyskawice.

- Nie rozumiem, co pana obchodzą moje sprawy, St. John.

Może Brandon chciał wprawić ją w zakłopotanie, naj- pierw przed jej własnym bratem, a potem przed całym miastem. Wkrótce wyśmiewałby się z niej cały Londyn.

Ciekawe, co pomyślałby James, gdyby zadarła spódni- ce, rzuciła się na tego impertynenta i gołymi pięściami wy- tłukła z niego arogancję?

Co za czelność przychodzić do jej własnego domu i zdradzać jej sekrety!

- Potrzebuję drinka - oświadczył nagle James.

Wstał z fotela, przeciął pokój i nalał sobie solidną por- cję brandy. Verena nachyliła się do Brandona i rzuciła ści- szonym głosem:

- Co ty wyprawiasz?

- Doszedłem do wniosku, że nie powinno być między nami żadnych tajemnic.

- To urocze z twojej strony, ale ja lubię swoje sekrety.

Brandon uśmiechnął się szeroko, błyskając białymi zę- bami.

Verena zmrużyła oczy.

- Jeśli nadal będziesz tak postępował, nigdy więcej nie porozmawiam z tobą w łóżku.

St. John wykrzywił wargi.

- I bardzo dobrze. Rozmowa to ostatnia *rzecz*, na którą miałbym ochotę w twoim łóżku.

- Och!

Co za obraźliwa uwaga. I intrygująca. Szczerze mówiąc, ona też wcale nie miała ochoty na pogawędkę w sypialni.

- Próbujesz wprawić mnie w zakłopotanie?

Brandon zmarszczył brwi.

- Oczywiście, że nie! Dlaczego tak sądzisz? Ja tylko staram się podsumować wszystko, co wiemy. Mój ojciec zawsze mówił, że dzielone z kimś brzemie to połowa ciężaru.

James wrócił na fotel z kieliszkiem bursztynowego płynu w ręce. Zerknął na Verenę, potem na St. Johna i z powrotem na siostrę.

- Coś mówiłaś?

- Nic - odparła Verena, rumieniąc się. - Dyskutowaliśmy o potrzebie dyskrecji.

- A to dobre - skwitował James sarkastycznym tonem. - Następnym razem, kiedy powierzę ci sekret, zapewne wypiszesz go na szyldzie i powiesz na frontowych drzwiach.

- Powiedziałam o tobie wyłącznie dlatego, że...

- St. John namotał ci w głowie i uwierzyłaś, że leży mu na sercu twoje dobro. A to nieprawda. Jemu chodzi o coś zupełnie innego.

- Nie jest taki zły - powiedziała Verena niechętnie.

Nie gorszy od niej. Jeśli miała być uczciwa, zeszłej nocy to ona go sprowokowała, a rano praktycznie się na niego rzuciła, choć skończyło się inaczej, niż chciała.

Popatrzyła badawczo na Brandona, zastanawiając się, jaki byłby skutek, gdyby dziś wieczorem zrobiła to samo. Szybko jednak doszła do wniosku, że lepiej zapomnieć o tej kuszącej myśli. Po co komplikować sprawę?

James zmierzył St. Johna wzrokiem.

- Jeśli wykorzysta pan moją siostrę, będzie pan miał ze mną do czynienia.

Ku konsternacji Vereny ta perspektywa niemal ucieszyła Brandona.

- Wszystko źle zrozumiałeś - powiedziała szybko. - Pan St. John zachowywał się w miarę po dżentelmeńsku, nie licząc pierwszego spotkania, kiedy mnie pocałował.

Brat spojrzał na nią ostro.

- Pocałował cię? Kiedy, do diabła?

- Kilka tygodni temu - odparł za nią Brandon. - Pańska siostra całuje bosko.

Verena prychnęła.

- Powiedziałam „w miarę po dżentelmeńsku”. - Skierowała oczy na brata. - Pan St. John przyszedł tutaj, żeby połączyć siły.

- Nie potrzebujemy go - warknął James.

Czyżby? Przecież znaleźli się w patowej sytuacji. Nie mieli żadnych tropów.

- Może nie, a może tak. Pan St. John już wszystko wie.

- Niezupełnie - powiedział Brandon łagodnie i przeniósł wzrok na Lansdowne'a. - Jak się z panem skontaktowali szantażyści? Przesłali list? Czy któryś złożył panu wizytę? James spochmurniał.

- Nie powiem ani słowa.

Verena stłumiła westchnienie. Lansdowne'owie nie pozwalali osobom postronnym mieszać się w ich życie. Ale teraz... Pomyślała o Humfordzie dryfującym po rzece twarzą w dół.

- Niech nam pomoże. Nie znaleźliśmy listy, choć wszędzie jej szukaliśmy.

- Nie potrzebujemy żadnej pomocy - oświadczył James z uporem.

- A ja owszem - rzekł Brandon. - Mój przyjaciel może zostać powieszony za zdradę, jeśli nie znajdę listy.

- A ja mogę obudzić się martwy, jeśli nie oddam jej przeklętym szantażystom.

- Skąd pan wie, że pana i tak nie zabiją? Albo nie zatrzymają pańskich listów, żeby uzyskać coś jeszcze?

James z hukiem odstawił kieliszek na mały stolik przy sofie i zerwał się z fotela.

- Dość tego! Nie wiem, co pan chce osiągnąć, St. John, ale nie jest pan tutaj mile widziany.

Brand nie wyglądał ani trochę na zmieszanego.

- Szkoda, bo zdaje się, że mam pewną informację, która może ułatwić państwu poszukiwania.

Verena wystawiła głowę zza nóg brata, który zasłaniał jej gościa.

- Co pan odkrył?

Brandon też się ku niej nachylił i uśmiechnął.

- Spotkałem się z pewnym człowiekiem, który pracuje w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Lista jest mniej więcej tej wielkości. - Pokazał jej rozmiary dłońmi.

- Taka mała? Szukaliśmy czegoś... James, możesz się odsunąć? Trudno rozmawiać, kiedy stoisz między nami.

Po chwili wahania brat niechętnie spełnił jej prośbę.

- Jak możesz wierzyć temu człowiekowi?

Czy naprawdę ufała Brandonowi? Dziwne, ale chyba tak.

- Ojciec zawsze mówił, żeby słuchać swojego instynktu.

-A mój podpowiada, że twój się myli. - James spochmumiał jeszcze bardziej. - Chwileczkę. Co miałaś na myśli, mówiąc, że St. John odzyskał głos? Kiedy go stracił? I skąd o tym wiedziałas? A o co chodziło Herbertsowi...

- James, proszę - rzuciła Verena pośpiesznie. - To nie pora na taką rozmowę. Pan St. John przyszedł nam powiedzieć, co wie o zaginionej liście.

- Nie wierzę w ani jedno jego słowo. On po prostu chce uwolnić swojego przyjaciela Wychama od podejrzeń.

Verena spojrzała na Brandona.

- Wychama?

James włożył kciuki do kieszonek kamizelki.

- A kogo ministerstwo obwinia o śmierć Humforda?

- On tego nie zrobił. Nie potrafiłby. - Brandon wyciągnął przed siebie długie nogi. Czuł się swobodnie, jak u siebie w domu. - Chcieliby państwo usłyszeć, czego jeszcze się dowiedziałem?

Verena bez słowa skinęła głową. James tym razem nie zaprotestował.

- Ministerstwo zleciło lordowi Humfordowi, żeby przekazał pewną rzecz. Właśnie tę listę.

- Co na niej jest? - spytał Lansdowne.

Brandon zmarszczył brwi.

- Podobno nazwiska agentów działających na kontynencie. Humford nie zdawał sobie sprawy, jak ważne dostał zadanie.

- Dziwię się, że w ogóle mu je powierzyli - stwierdziła Verena. - Nie był najbystrzejszy.

- Może uznali, że będzie mniej podejrzany. I gdyby nie otworzył ust... Najwyraźniej podobało mu się zainteresowanie, które sobie zyskiwał dzięki drobnym przysługom dla ministerstwa. Swoją nową misją też się komuś pochwalił.

- I ten ktoś go zabił - powiedział James.

- Od razu po tym, jak Humford wyszedł z Westforth House. I chyba nie miał już przy sobie przesyłki, kiedy zginął.

- Co wyjaśnia, dlaczego zabójca uznał, że lista jest tutaj. St. John pokiwał głową.

- I dlaczego pan, Lansdowne, został ściągnięty do Londynu.

James zeszywniał.

- Sądzi pan, że moje listy...

- Chcieli jakoś dotrzeć do pańskiej siostry. Ukradli listy miłosne i wykorzystali je, żeby zmusić pana do przyjazdu. Wiedzieli, że zjawi się pan u Vereny, a wtedy będą mogli nakłonić ją do współpracy.

James nie odzywał się przez dłuższy czas. W końcu westchnął.

- To ma sens.

Brandon skinął głową.

- Wycham mówi, że dzień przed kolacją u Vereny Humford poprosił go, żeby za niego dostarczył listę. Na jej przekazanie umówili się w Westforth House.

James wypuścił powietrze z płuc.

- Do diabła! Jeśli człowiek, który zamordował Humforda, ukradł również moje listy, ja...

- Jest pan narażony na atak bezwzględnego osobnika - dokończył Brand.

Verena przełknęła ślinę. Bratu groziło niebezpieczeństwo. Im wszystkim. Ze strachu mocniej zabiło jej serce.

James wstał z fotela i podjął spacer, ze zwieszoną głową i rękami założonymi na plecach.

- Nie podoba mi się to wszystkim.

- I słusznie. Zguby szukają dwie strony: rząd i szantażysta.

- Albo szantażyści - wtrąciła Verena.

- To możliwe - przyznał jej brat.

- Raczej bardzo prawdopodobne - orzekł Brandon.

James westchnął.

- Musimy... - Zatrzymał się i posłał St. Johnowi chmurne spojrzenie. - Dlaczego podzielił się pan z nami tą informacją? Co pan chce zyskać?

Brandon popatrzył na niego ze spokojem. Mógł ruszyć do drzwi, nawet się nie oglądając. Pomóc Wychamowi w inny sposób. Zwrócić się do Marcusa.

Ale teraz zmieniła się stawka.

Pomknął wzrokiem ku Verenie i dostrzegł troskę w jej oczach. Nie zamierzał wyjść, póki nie rozwiąże zagadki.

Miał za dużo do stracenia: mające pięć stóp i dwa cale zjawisko o jasnych włosach, fiołkowych oczach i rozkosznych krągłościach. Stało się jasne, że Verenie grozi większe niebezpieczeństwo niż Wychamowi. Ona znajdowała się najbliżej zaginionej listy.

Prawdę mówiąc, nie była bezpieczna od chwili, kiedy Humford w całej swojej ignorancji wszedł do jej domu i zasiadł przy stole w jadalni.

- Zostają - oznajmił, mierząc Lansdowne'a wzrokiem. - Jak długo będzie trzeba.

- A jeśli zmuszę pana do wyjścia? - rzucił James wojowniczym tonem.

- Nawet jeśli panu uda się ta sztuka, będę wracał do skutku. St. Johnowie nigdy się nie poddają.

- A Lansdowne'owie nie pozwalają obcym mieszać się w ich sprawę.

- Dobry Boże! - jęknęła Verena. - Co to ma być? Zadowolony w pluciu? Zachowujecie się jak dwa koguty, które chwalą swój ogon.

Brandon musiał się uśmiechnąć. James wyglądał na zmieszanego.

- Chyba pomyliła pani przysłowia.

- A pan stracił cały rozsądek. - Spojrzała na brata. - Ty również. Szukaliśmy wszędzie tej przeklętej listy. Potrzebujemy pomocy. Wolę, żeby to był St. John niż ktoś inny.

Brandon uniósł brwi. Verena dostrzegła jego minę i poczerwieniała.

- Popełniłam błąd, mówiąc panu o wszystkim, więc równie dobrze możemy go wykorzystać.

Cudownie. Chciała jego pomocy nie dlatego, że w nią

wierzyła, tylko po prostu była zbyt uparta, żeby jeszcze z kimś podzielić się sekretem.

Spojrzała na brata.

- No więc? Działamy razem? Czy mam zawołać Herbertsa, żeby odprowadził pana St. Johna do drzwi?

Brand czekał. Nie obchodziło go, co myśli James. Nie zamierzał się stąd ruszyć na krok.

19

Kocham kobiety: wysokie, niskie, okrągłe, ale najbardziej zuchwałe. Te ostatnie nigdy nie marudzą i są często dostatecznie bystre, żeby odpędzić nudę drugiego tygodnia znajomości.

Sir Robert Daltry do diuka Wexforda, grając w wista u Boodlesa.

James utkwiał nieruchomy wzrok w St. Johnie.

- Chciałbym najpierw się dowiedzieć, czego pan oczekuje po naszym partnerstwie.

Brandon wygładził rękaw surduta. Rozumiał nieufność Lansdowne'a. Sytuacja nie sprzyjała wierze w ludzką naturę.

- Ponieważ zmierzamy do tego samego celu, milej i roztropniej jest podróżować razem.

- Mam uwierzyć, że dzieli się pan informacjami tylko dlatego, żeby było przyjemnie?

Brandon z trudem powstrzymał się przed zerknięciem na Verenę.

- Rozumiem, dlaczego pan mi nie ufa, ale nie przyszedłem tutaj, żeby pana denerwować.

- Chce pan, żebyśmy zostali współnikami, tak? Wymieniali się odkryciami i tropami?

- Dlaczego nie? Lepiej walczyć razem.
- A kiedy znajdziemy listę?
- Wtedy będzie znaleziona.
- Ale pan potrzebuje jej w innym celu niż my. Co wtedy?

Brand wzruszył ramionami.

- Przekroczymy ten most, gdy do niego dojdziemy. Ale cokolwiek postanowimy, zrobimy to wspólnie.

James nie wyglądał na przekonanego.

- Dość niezwykła propozycja.
- Cała ta sprawa jest niezwykła.

- H m. - Lansdowne zmierzył go wzrokiem. - A jakie pan ma podstawy, żeby nam ufać? Skąd pan wie, że to nie Verena albo ja zabiliśmy Humforda, a potem ukradliśmy listę? Skąd pan wie, że nie sfabrykowaliśmy listów miłosnych i szantażu, żeby ukryć nasz prawdziwy cel?

- Jamesie! - wykrzyknęła Verena.

- Pytanie jest uzasadnione - odparował gniewnie brat. - Humford był tutaj bezpośrednio przed tym, jak został zamordowany. Choć niechętnie to przyznaję, ty i ja doskonale nadajemy się na głównych podejrzanych. Jesteśmy Lansdowne'ami.

Verena poczerwieniała.

- Przykre słowa.

- Ale prawdziwe - stwierdził James, patrząc na nią ze spokojem.

Siostra zacisnęła usta.

Brandon obserwował ich z rosnącym zainteresowaniem. Przypomniało mu się, jak Colburn napomknął, że lady Westforth ma sekrety.

- O co właściwie chodzi, Lansdowne?

James zerknął na siostrę.

- Ja mam mu powiedzieć czy ty?

Verena uniosła brodę.

- Po co?

- Przecież już zdradziłaś mu nasze najmroczniejsze tajemnice. Dlaczego uważasz, że trzeba na tym poprzestać?

Brand uśmiechnął się, kiedy Verena spiorunowała brata wzrokiem.

- Nie patrz tak na mnie - powiedział James. - Skoro ufalaś mu na tyle, by opowiedzieć o moich głupich błędach i późniejszych kłopotach, równie dobrze możesz wyznać wszystko. - I zaraz dodał: - Nie chcę, żeby później wyszło na jaw coś, co mogłoby zakłócić naszą współpracę.

Verena spojrzała na swoje buty, czerwona z gniewu. W końcu, po długiej chwili, wykrztusiła:

- Dobrze. Ale sądzę, że to zły pomysł.

Brandon czekał.

Gospodyni obróciła się lekko, żeby siedzieć twarzą do niego, ale oczy wpiła w swoje splecione dłonie.

- To bardzo trudne wyznanie, ale... chyba powinien pan usłyszeć je od nas. Moja rodzina, Lansdowne'owie... - Ozdobny zegar stojący nad kominkiem odmierzał sekundy. Verena westchnęła i zaczęła od nowa: - Jak pan wie, niektórzy ludzie żyją ze sprytu. Mój ojciec jest uważany za bardzo bystrego.

James potrząsnął głową.

- Ver! Pozwól, że...

- Ja powiem - przerwała mu z rozdrażnieniem.

- Mówisz aluzjami. Wyrzuć z siebie całą prawdę. Jeśli nie ty, zrobi to ministerstwo.

- Ministerstwo... Myślisz, że wiedzą?

- Oczywiście.

- Cudownie. - Verena przełknęła ślinę i nareszcie spojrzała Brandonowi w oczy. - Mój ojciec jest francuskim hrabią.

St. John zmarszczył brwi.

- A mój dziadek miał irlandzki tytuł, hodował konie i był bardzo...

- Nie, nie - przerwała mu Verena, wykręcając palce. - Nie rozumie pan. Ojciec czasami jest francuskim hrabią.

- Czasami?

- A kiedy indziej rosyjskim arystokratą, wypędzonym z kraju przez niefortunne wydarzenia.

- Albo włoskim księciem - wtrącił James. - To jedno z jego lepszych wcieleń.

- Zawsze było mu dobrze w czerwieni - rzuciła z roztargnieniem Verena. Nie śmiała spojrzeć na Brandona.

Brat miał rację. Nadeszła pora, żeby wszystko wyjawić. Lepiej teraz, zanim mocno się zaangażowała. Oczywiście wiedziała, czego się spodziewać. Niedowierzania, a potem nieufności. Poczowała ściskanie w gardle.

Nagle w jej myśli wdarł się zachrypnięty głos Brandona.

- Rozumiem. Wasz ojciec jest... - Potarł czoło. - Dobry Boże!

- Nasz ojciec jest tym, kim chce być - stwierdził James bez ogródek. - I piekielnie dobrze mu to wychodzi.

Brand wolno pokiwał głową, a następnie przeniósł pytający wzrok z Lansdowne'a na jego siostrę.

- A wy?

Verena zmarszczyła brwi.

- Co my?

- Czy któreś z was jest hrabią czy hrabiną? Albo rosyjskim księciem czy księżniczką?

- Oczywiście, że nie - odparła z żarem Verena.

James się zaśmiał.

- Moja siostra jest na to zbyt nieugięta, a ja nigdy nie miałem takich wysokich aspiracji jak mój ojciec. Wystarczy mi mój fach.

- Fach?

Lansdowne zawahał się na moment.

- Gra w karty.

- Aha, rodzinny talent.

Verena wstrzymała oddech. Wydawało się jej, że w głosie St. Johna słyszy nutę rozbawienia. Niemożliwe. Jego duma już pewnie ucierpiała z tego powodu, że zadawał się z oszustami.

Ale kiedy rzuciła na niego ukradkowe spojrzenie, dostrzegła błysk wesołości w jego oczach.

- Wcale mnie pani nie zaskoczyła. Sam panią widziałem przy zielonym stoliku.

- Nie przeszkadza to panu?

- Dlaczego miałyby przeszkadzać?

Właśnie, dlaczego? Przecież nic ich nie łączyło. Mógł sobie pozwolić na podziwianie jej umiejętności. Wzięta głęboki oddech.

- Teraz wie pan już wszystko.

- Naprawdę?

Co jeszcze miałyby dodać? Zanim zdążyła się odezwać, uprzedził ją brat:

- Spodobałby się panu nasz staruszek. To geniusz.

- Naprawdę?

- Tak. Gdyby zobaczył go pan w działaniu, też doszedłby pan do takiego wniosku.

- Nie wątpię. Czy prędko będę miał tę przyjemność?

- Boże uchowaj! Rodzice są teraz we Francji i bez wątpienia robią tam dużo zamieszania.

- Teraz to już wszystkie nasze sekrety - zapewniła Verena.

W ciągu czterech lat, które spędziła przy Kings Street, nigdy nikomu się nie zwierzyła.

To smutne, gdy opowiadanie komuś o własnej rodzi-

nie równa się wyznaniu grzechów. Lansdowne'owie zawsze musieli się spowiadać. Ale może była zbyt przewrażliwiona? Może wszyscy mieli coś na sumieniu? Obrzuciła Brandona uważnym wzrokiem. Ciekawe, co on ukrywał? Że był w niej szaleńczo zakochany?

To byłoby miłe. Przeraziła ją ta myśl. Co byłoby miłe? Raczej potwornie smutne, sądząc po bolesnym ukłuciu w sercu.

- No i jak? - spytał James, patrząc na St. Johna. - Czy nasze wyznanie coś zmieniło? Nadal chce pan połączyć swoją przyszłość z naszą?

- Jeszcze bardziej. Nie mogę się doczekać. - Jego uśmiech był szczery, oczy mu błyszczały. - Moje życie stawało się coraz nudniejsze.

Verena zmarszczyła brwi.

- Sam pan nie wie, co mówi. Ja nieraz tęskniłam za odrobiną nudy.

- Nuda jest dobra, kiedy człowiek sam ją sobie wybiera - odparował Brandon. - W przeciwnym razie gotów jest zrobić wszystko, żeby się z niej wyrwać.

James sprawiał wrażenie, jakby dobrze go rozumiał.

- Więc jak poradzimy sobie z bałaganem, w którym się znaleźliśmy?

- Najpierw musimy zapewnić pańskiej siostrze bezpieczeństwo - odrzekł gładko Brandon.

Verena zeszywniała.

- Co takiego?

James ukrył uśmiech.

- Traci pan czas, St. John.

- Nie powinna tu zostać - oświadczył Brandon z determinacją. - Zwłaszcza teraz, kiedy w sprawę zaangażowało się ministerstwo.

- I wiedzą, że tu jesteśmy - dodał James.

- Wspomnieli o Verenie. O panu nic nie mówili.

- Prędzej czy później się dowiedzą - stwierdziła Verena. - Przypuszczam, że obserwują dom.

Brandon pokiwał głową.

Boże, jakże nienawidziła takich sytuacji! Podobnie było wtedy, gdy mieszkała z rodzicami. Ciągła groźba zdemaskowania, gotowość do ucieczki o każdej porze.

Lata doświadczeń nauczyły ją, że ten moment jest nieunikniony. Na dnie szuflady zawsze trzymała spakowaną torbę na wypadek, gdyby musiała opuścić dom w środku nocy.

Nie korzystała z niej od czterech lat i już nawet nie pamiętała dokładnie, co jest w środku, ale jej widok dodawał jej otuchy.

Teraz rozumiała dlaczego. Lansdowne zawsze pozostanie Lansdowne'em.

- W związku z karierą ojca mam jeden kłopot - powiedział James. - Zawsze znajduję się na przegranej pozycji, gdy wchodzę w styczność z prawem, nawet jeśli jestem zupełnie niewinny.

Brandon pokiwał głową.

- Najpierw chcieli zrzucić winę za zgubienie listy na Wychama. Gdy odkryli historię Vereny, na nią skierowali uwagę.

- Tak - przyznał James. - Szukają kozła ofiarnego.

- Chyba że najpierw znajdą drania - wtrąciła Verena.

- Co sprowadza nas z powrotem do listy - stwierdził Brandon. Istotnie powinni zdemaskować winowajcę. Gdyby tylko odzyskali ten przeklęty świstek! Odgarnął włosy z oczu. - Kiedy zawieziemy pańską siostrę w bezpieczne miejsce, my obaj...

Verena zerwała się z fotela. Jej oczy płonęły.

- Posłuchaj, St. John, jesteśmy współlnikami. Gdzie wy idziecie, tam ja idę.

- Nie ma pani nic do powiedzenia. Tu nie jest bezpiecznie, i koniec.

James popatrzył na niego z aprobatą.

- Dwie minuty partnerstwa, a pan już wydaje rozkazy. Podoba mi się to.

- Tak, bo nie wydaje ich tobie - skwitowała Verena.

- Ver, bądź rozsądna. Nie zaczynaj z nami swoich kobiecych gier.

- Niczego nie zaczynam. - Skrzyżowała ramiona na piersi. - Biorę udział w tym przedsięwzięciu, czy St. Johnowi to się podoba, czy nie. Chyba że zamierza mnie związać i trzymać pod kluczem.

Brand potarł szczękę. Rzeczywiście najchętniej zamknąłby ją pod kluczem. Westchnął ciężko.

- Czy przynajmniej obieca pani, że nie będzie narażać się na niebezpieczeństwo?

- Nie. - Verena zaczęła spacerować po pokoju.

Jej chód przyciągnął jego wzrok. Cechował ją wrodzony wdzięk. Brand doszedł do wniosku, że jeszcze nigdy nie spotkał kobiety, która byłaby tak warta podziwiania.

Verena postukała palcem po brodzie.

- Potrzebny jest nam plan...

Przystanęła tak raptownie, że pod spódnicami wyraźnie zarysowały się jej krągłe biodra.

James usiadł prosto.

Verena przekrzywiła głowę.

- A gdyby... - Spojrzała w dal nieobecny wzrokiem, jakby coś tam zobaczyła.

Brandon zmarszczył brwi.

- Co...

- Ci! - uciszył go Lansdowne, machając ręką. - Niech myśli.

W tym momencie Verena przypominała Brandonowi

matkę. Ona też zawsze spacerowała, kiedy była zdenerwowana. Ciekawe, co by pomyślała o lady Westforth? Dotknął talizmanu, który trzymał w kieszeni, i ze zdziwieniem stwierdził, że jest ciepły.

- A gdybyśmy udawali, że znaleźliśmy listę? - zaproponowała Verena.

- Co by nam to dało? - spytał James.

Umysł Brandona zaczął pracować.

- Chwileczkę. Pańska siostra dobrze mówi. Gdyby udało się nam stworzyć wrażenie, że znaleźliśmy zgubę, pozostałoby nam tylko siedzieć i czekać. Drań byłby zmuszony do działania, zwłaszcza... - Napotkał wzrok Vereny.

- Zwłaszcza gdyby uwierzył, że możemy oddać ją ministerstwu - dokończyła.

- Szach - powiedział Brandon.

- Nie, szach i mat - poprawiła go Verena z błyskiem w oczach.

- Rozumiem! - wykrzyknął James. - To genialny plan. Siostra posłała mu kose spojrzenie.

- Nie udawaj zaskoczonego.

James się zaśmiał.

- Przepraszam.

- To nie powinno być trudne. Znamy wielkość karteczki. Poza tym łądak myśli, że ją mamy.

Brandon w zamyśleniu pokiwał głową.

- Możemy przygotować jakiś świstek. Nikt nie musi oglądać go z bliska.

James z radością zatarł ręce.

- Załadamy zwrotu moich listów w wybranym przez nas miejscu. W ten sposób będziemy panami sytuacji i odkryjemy, kto stoi za tą całą sprawą.

Plan był śmiały, ale dobry, pod warunkiem, że Verena

będzie trzymała się z daleka w momencie wymiany. Brandonowi zaświtała nadzieja.

James zaczął chodzić przed kominkiem.

- Będziemy potrzebowali powozu i szybkich koni. Przywiozłem swoje najlepsze pistolety, ale ty, Ver, też musisz mieć przy sobie dwa.

- Oczywiście - powiedziała siostra rzeczowym tonem, jakby noszenie broni było dla niej codziennością.

- Zaczekajcie - wtrącił Brand. - Jedna rzecz to zwabienie łajdaka przeze mnie i Jamesa, a zupełnie inna spotkanie z nim Vereny sam na sam.

Gospodyni ściągnęła brwi.

- Nie rozumiem.

- Ten człowiek już zabijał i nie zawaha się przed kolejnym morderstwem. Nie pozwolę ci ryzykować.

Verena wytrzeszczyła oczy, a Brandon niemal usłyszał jej myśli. Zupełnie jakby miał coś do powiedzenia w jej życiu. Na pewno nie będzie jej niczego zabraniał.

Owszem!

- Vereno, nie mogę ci na to pozwolić.

- Decyzja nie należy do pana.

- A właśnie, że tak. Jamesie, powiedz jej.

Lansdowne uniósł ręce.

- Nie powiem ani słowa. Zbyt często widziałem jej gniew, żeby wyskakiwać ze swoim zdaniem.

Do czarta! Brandon spiorunował wzrokiem Verenę, która nadal patrzyła na niego z osłupieniem.

- To będzie niebezpieczne.

- Jest niebezpieczne, odkąd Humford dostał swoją mijsję, a ja, uważając go za miłego staruszka, który opowiada zabawne historyjki i lubi udawać szpiega na usługach rządu, zaprosiłam go do siebie na kolację.

Brandon zacisnął szczęki. Do diabła, jak mógł przemó-

wić jej do rozsądku? Zmierzył Lansdowne'a ponurym spojrzeniem.

- Domyślam się, że mi nie pomożesz. Pozwolisz siostrze narażać się na niebezpieczeństwo.

James wzruszył ramionami.

- Przez całe życie ignorowała moje rady. Nie zacznie mnie raptem słuchać.

- Właśnie - przyznała Verena, triumfalnie unosząc podbródek. - Jeśli moje zaangażowanie panu przeszkadza, St. John, może pan odejść. James i ja poradzimy sobie sami.

Brandon znalazł się w pułapce. Jeśli się do nich nie przyłączy, Verena będzie zdana na siebie wobec Bóg wie jakiego zagrożenia.

- Dobrze - wykrztusił z trudem. - Chyba powinniśmy zacząć od razu.

- Co robimy? - spytał James.

- Zachowujmy się, jakbyśmy właśnie znaleźli zgubę.

Verena skinęła głową.

- Ponieważ nie znamy sprawcy, musimy przekonać wszystkich wokół: służbę, krewnych, znajomych i obcych. To proste, doszedł do wniosku Brandon.

- A co z ministerstwem? Powiemy prawdę?

- Nie. Niech pan im szepnie w zaufaniu, że chyba znaleźliśmy listę, ale nie chcemy panu zdradzić, gdzie jest.

- Nie podoba mi się oszukiwanie władzy.

Verena zwarła się z nim spojrzeniem.

- Kto zabił Humforda?

St. John wzruszył ramionami.

- Nie wiemy.

- Właśnie. A kto wiedział, że Humford miał przy sobie listę?

Ministerstwo. Dobry Boże, sprawa z każdym dniem wydawała się coraz bardziej zawiślana.

James zaklął.

- O tym nie pomyślałem. Musimy zachowywać się do-
kładnie tak, jak mówi Verena. Wyglądajmy na podekscyto-
wanych, jakbyśmy naprawdę nosili ten świstek w kieszeni.

- Przydałaby się również kryjówka - dodała Verena, pa-
trząc na biurko. - Może będę trzymać go tutaj?

Brandon zmarszczył czoło.

- Po co ci kryjówka na coś, co nie istnieje? Po prostu
udawajmy, że ją mamy.

Verena ledwo zaszczyciła go spojrzeniem.

- Jeśli choć trochę wypadniemy z roli, zorientują się,
że oszukujemy.

I ktoś znowu straci życie. Igrali z ogniem i dobrze
o tym wiedzieli. Brand podchwycił wzrok Vereny, a kie-
dy sypnęły się im z oczu iskry, wyobraził sobie jej kremow-
ą skórę zaróżowioną z podniecenia, oczy półprzymknięte,
usta szepczące w ekstazie jego imię.

Do licha, co się ze mną dzieje? Pomyśl o czymś innym.

Przed jego oczami stanął obraz zamordowanego Hum-
forda, krwi na bruku. Dwa kroki od jej domu. Musiał za-
cisnąć dłonie na poręczach fotela, żeby się nie zerwać.

- Vereno, nie...

- Brandonie. - Nie ruszyła się z miejsca, nie podniosła
głosu ani nie wykonała żadnego gestu, ale w jej tonie usły-
szał ostrzeżenie.

- Nie mogę uczestniczyć w tej intrydze, jeśli będziesz
narażać się na niebezpieczeństwo.

Jej oczy zabłyśły, ale zanim coś powiedziała, odezwał
się James:

- Wybaczcie, ale zdaje się, że oboje zapomnieliście
o jednej rzeczy: jest nas tylko troje, więc musimy działać
razem, jeśli mamy zdemaskować człowieka, który zabił
Humforda.

Brand oderwał wzrok od Vereny.

- Też tak uważam, więc jeśli chcesz, żebym wam po-
mógł, obiecuję, że będziesz trzymał siostrę z dala od nie-
bezpieczeństwa. Ja będę powoził, ty możesz siedzieć
w środku. Nie ma potrzeby, żeby jechała z nami.

James się zawahał. Po dłuższej chwili spojrzął na nią
z przepaszającym uśmiechem.

- Ver, on ma rację. Tylko byś przeszkadzała.

Lady Westforth położyła ręce na biodrach.

- Och! Nie potrafię zdecydować, który z was bardziej
mnie denerwuje. Dobrze wiesz, że sobie poradzę. Umieję
strzelać i powozić końmi!

- Tak, ale będę się o ciebie martwił i...

- Ojciec by mnie puścił. Nigdy nie kazałby mi zostać.

James zeszytniał.

- Ja nie jestem ojcem.

Brandon odchrząknął.

- Vereno, my tylko próbujemy cię chronić.

- Nie potrzebuję ochrony. Pojadę z wami, chcecie te-
go czy nie.

St. John westchnął.

- Porozmawiamy o tym później. Na razie mamy dużo
do zrobienia.

Verena skrzyżowała ręce na piersi i zacisnęła usta. James
odchrząknął, przenosząc wzrok z siostry na St. Johna.

- Wybaczcie, że się wtrącam, ale... czy nie powinniśmy
zacząć szukać tej przeklętej listy?

Verena wzruszyła ramionami.

- Po co?

- Bo kiedy nasze małe przedstawienie się skończy, mi-
nisterstwo zażąda listy. Nie sądzę, by uwierzyli, że tylko
udawaliśmy, że ją mamy.

Siostra przygryzła wargę.

- Słusznie. Zajmiemy się tym później, choć może nie

będzie takiej potrzeby... - Zawahała się, patrząc na brata.

Brandon usiadł prosto, nagle czujny, ale cokolwiek kryło się za tą wymianą spojrzeń, Verena dokończyła gładko:

- Gdy już schwytamy złoczyńcę.

James zatarł dłonie.

- Myślę, że się uda.

Brandon wstał z fotela. Postanowił, że później wybada Verenę. Teraz miał inne rzeczy na głowie.

- Więc wszystko ustalone. Od tej chwili będziemy się zachowywać, jakbyśmy znaleźli listę.

Lady Westforth pokiwała głową.

- Ile minie czasu, zanim łotr wykona swój ruch?

James zmarszczył brwi.

- Daję mu dwa albo trzy dni. Będzie ostrożny. Nie może sobie pozwolić na ryzyko.

- Obyś miał rację - powiedział Brandon.

Nie było czasu na dalsze rozważania, więc skinął Jamesowi głową, posłał gorące spojrzenie jego siostrze i ruszył do wyjścia.

W holu się zatrzymał. Do diaska, nie podobał mu się ten plan ani trochę.

Ale co mógł zrobić? Gdyby go nie poparł, Verena i James i tak by go przeprowadzili.

- O, już pan wychodzi? - Herberts zbliżał się z jego płaszczem przewieszonym przez ramię. - Właśnie wyczyściłem pańskie okrycie.

Pomógł mu je włożyć, a następnie pospieszył do drzwi. Otworzywszy je, usunął się na bok i wyciągnął rękę.

Brand wyszedł na ganek, sięgnął do kieszeni po monetę, po czym odwrócił się i cisnął ją kamerdynerowi.

Herberts złapał ją odruchowo i rozpromienił się z radości.

- Za co to?

- Żebyś miał oko na panią.

- Pan chce, żebym podglądał ją przez dziurkę od klucza? Oczywiście mogę, ale nie zobaczę dużo, bo pan Lansdowne jest bratem lady Westforth. Tylko będą rozmawiać o pogodzie albo o...

- Na litość... - Brandon nie wiedział, czy się roześmiać, czy zdzielić kamerdynera w szczękę. - Nie chcę, żebyś ją szpiegował, gamoniu, ale strzegł przed... niebezpieczeństwem. Jeśli zauważysz coś podejrzanego, natychmiast mnie zawiadom. - Wyjął z kieszeni wizytówkę i podał ją słudze. - Rozumiesz?

Herberts łypnął na elegancki biały kartonik.

- Chyba nie zaszkodzi, jeśli będę miał oczy otwarte, skoro to i tak jest mój obowiązek. - Uśmiech nagle zniknął z jego twarzy. - Proszę zaczekać! Myśli pan, że coś może się stać? Coś złego?

Brandon kiwnął głową.

Niech nikt nie waży się tknąć Vereny. Może była uparta i samowolna, ale należała do niego. A St. Johnowie zawsze dbali o swoich, nawet jeśli w tym wypadku bliska mu osoba należała do Lansdowne'ów.

Brandon zmarszczył brwi. Chyba powinien poznać jej rodzinę. Najlepiej całą. Ciekawe, gdzie ich szukać? W Tyburn albo, jeśli o tej porze roku przebywali za granicą, w Bastylii?

- Twoja pani jest bardzo niezwykłą kobietą.

- Jasne. - Kamerdyner dotknął palcem nosa i mrugnął okiem. - Proszę się nie obawiać, będę jej pilnował dzień i noc. Jak jastrząb.

W salonie zapadła cisza. Verena nie mogła patrzeć na drzwi, bo oczy zachodziły jej łzami, a gardło ścisnęło się boleśnie.

James zajął fotel, który zwolnił Brandon. Po chwili powiedział cicho:

- Przepraszam.

Siostra bez słowa skinęła głową. Gdy tylko odzyskają listy Jamesa, wyjadą z Londynu. Będą musieli. Verena położyła dłoń na haftowanym obiciu sofy i rozejrzała się po pokoju. To był jej dom. Jedyny, jaki kiedykolwiek miała.

- Zapewne wrócisz do Włoch?

- Żeby dokończyć inwestycje. Pojedziesz ze mną.

Nie obchodziło jej, dokąd pojedą.

- Napiszemy list do ojca, że... - Urwała i zacisnęła usta.

James nachylił się i ujął jej dłoń.

- Chciałbym, żeby wszystko potoczyło się inaczej.

Ona również. Boże, jak bardzo. Zabrała rękę i wytarła oczy.

- Co innego możemy zrobić? Ministerstwo zna moją prawdziwą tożsamość i wkrótce się zorientuje, że ty też tu jesteś, jeśli już nie wie. Nie mamy listy, ale nigdy nam nie uwierzą.

- Zwłaszcza jeśli będziemy udawać, że ją znaleźliśmy - powiedział James z ciężkim westchnieniem. - St. John ma rację. Ktoś zapłaci za tę wpadkę i będzie to jedno z nas.

- Brandon myśli, że może nas ochronić.

- Ver, kim jest dla ciebie St. John?

Kim? Był miły, troskliwy i niesamowicie uparty. Pod pozorami chłodu i wyniosłości ukrywał szlachetną i wrażliwą duszę.

Chyba zaczynało jej na nim zależeć. Za bardzo. Na chwilę pozwoliła sobie zapomnieć o własnym dziedzictwie. Więcej nie popełni tego błędu.

Posłała bratu wymuszony uśmiech.

- Brandon St. John jest dla mnie nikim. Może przyjacielem, ale nic ponadto.

I tak zostanie. Nie było w jej życiu miejsca dla takiego mężczyzny.

Odepchnęła niemiłe myśli. Nie chciała całkiem się rozkleić. Musiała pomóc bratu. James nie miał nikogo oprócz niej.

- Chodź - powiedziała, zacierając dłonie z udawanym entuzjazmem. - Czeka nas praca.

To dziwne, jak jeden incydent może wryć się w pamięć. Weźmy na przykład mnie. Nigdy nie zapomnę dnia, kiedy straciłem pięćdziesiąt funtów, stawiając na konia o imieniu Pechowiec. Głównie dlatego, że żona przypomina mi o nim co najmniej trzy razy w tygodniu.

Diuk Wexford do hrabiego Greyleya, podczas gdy obaj czekali na żony przed modystką na Bond Street.

Parę godzin po opuszczeniu rezydencji Westforthów Brandon nadal rozmyślał o ich planie. Żałował, że nie potrafił wymyślić innego. Musieli wywabić szantażystę z ukrycia. I to szybko, zanim komuś stanie się krzywda.

Nie zamierzał jednak zostawić Vereny samej, tylko pod opieką starego kamerdynera i niedowarzonego lokaja. Postanowił wprowadzić się na jakiś czas do Westforth House.

Gdy wrócił do domu, przywitał go zatroskany Poole.

- Jak się pan czuje? - spytał sługa, mierząc go wzrokiem. - Pański glos...

- Odzyskałem go.

Kamerdyner pomógł mu zdjąć płaszcz. Z pokoju dziennego dochodził zapach cynamonu i jeszcze wiele innych rozkosznych aromatów.

- Wiedziałem, że nie będzie pan chciał okładu z musz-

tardy, więc pozwoliłem sobie zamiast niego przygotować świeży poncz. Gorący rum potrafi zdziałać cuda, szczególnie na chrypkę.

Brand miał nadzieję, że pomoże mu również na kiepski nastrój.

- W takim razie wypiję dwie szklanki.

Po prawdzie, gardło nadal trochę go bolało. Rozmowa z Vereną i jej bratem mocno je nadwerżyła.

- Pan Chase i pan Devon St. John przyszli z wizytą, kiedy pana nie było - oznajmił Poole, wygładzając rękaw płaszcza. - Prosimi, żeby pan spotkał się z nimi na późnej kolacji u White'a. O w pół do dziesiątej. Mam... O, niebios! Co się stało?

Brand odwrócił się i zobaczył, że kamerdyner z osłupieniem patrzy na jego płaszcz.

- O co chodzi?

- Pańskie guziki, sir! Zniknęły.

Eleganckie i drogie okrycie z doskonałej szetlandzkiej wełny, z kapturem, zdobiły kiedyś dwa rzędy dużych, mośiężnych guzików. Teraz nie było żadnego.

- Przeklęty złodziej! Uduszę Herbertsa przy najbliższej okazji.

- Sir?

- Kamerdyner Westforthów. Lubi ładne błyszczące przedmioty.

Poole wytrzeszczył oczy.

- Błyszczące przedmioty? Jak kos?

- Tylko że większy. I zdecydowanie bardziej podstępny.

- Kamerdyner, który kradnie! - Poole najwyraźniej nie mógł dojść do siebie. - Na pewno pan żartuje.

- Chciałbym. - Brandon ponownie rzucił płaszcz słudze. - Na razie nic nie da się zrobić. Odwieś go. Później odzyskam guziki.

Kamerdyner aż zeszywniał z oburzenia.

- Może ja powinienem to zrobić. Mam to i owo do powiedzenia temu indywiduum. Parę uwag na temat naszej profesji.

Brandon zastanawiał się przez chwilę; jego służący był dobre dwadzieścia funtów cięższy od Herbertsa.

W końcu niechętnie potrząsnął głową.

- Dziękuję, Poole, nie, ale doceniam twoją gotowość.

Mógł sobie tylko wyobrazić reakcję Vereny, gdyby jego kamerdyner zaatakował jej sługę. Podejrzewał, że lady Westforth dość lubi Herbertsa.

- Dobrze, sir. - Poole przewiesił płaszcz przez ramię. - Proszę spróbować ponczu rumowego. To mój specjalny przepis.

Zapach był tak kuszący, że Brandon bez długiego namawiania skierował się do salonu. W kominku płonął ogień, a nad nim wisiał kociołek z korzennym napojem.

Brand nabrał go do metalowego kubka, aż przez brzeg przelała się cynamonowa piana.

Ostrożnie pociągnął łyk, żeby nie poparzyć języka. Mikstura spłynęła po obolałym gardle, rozgrzała żołądek. Do licha, ależ była dobra.

St. John opadł na miękki fotel i położył nogi w butach na niskim stoliku. Popijając poncz, zaczął rozmyślać o niebezpieczeństwach romansu z niezależną kobietą. Znał ich kilka, ale podobnej do Vereny jeszcze nigdy nie spotkał. Prawdę mówiąc, nie przypominał sobie również mężczyzny o takiej pewności siebie.

Oczywiście jej siła niekoniecznie brała się z czterech lat samotnego życia, ale zapewne także z wychowania.

Pamiętał wyraz jej twarzy, kiedy James napomknął o rodzicach, oraz jej późniejsze słowa. Ciekawe, jak to jest przeżyć kolorowe dzieciństwo?

Pomyślał o własnym, o ciepłe i spokoju. Jemu niczego nie brakowało, natomiast Verena miała... miłość. Świadczył o tym sposób, w jaki ona i James na siebie patrzyli. Nie wiedziała jednak, co to poczucie bezpieczeństwa.

Brandon rozparł się w fotelu. Po raz pierwszy w życiu chciał się kimś opiekować, chronić przed wszelkimi zagrożeniami. Było dla niego boleśnie oczywiste, że dzieciństwo zostawiło na duszy Vereny blizny.

A wzięwszy pod uwagę to, co wiedział o Westforcie, jej małżeństwo też trudno było nazwać rajem. Verena potrzebowała kogoś, kto umiałby obejść barierę, którą wokół siebie wzniosła. Kogoś, kto by o nią dbał i...

Brandon gwałtownie opuścił nogi na podłogę. Dobry Boże, cóż to za myśli? Jedyne sposobem na zapewnienie bezpieczeństwa Verenie... Zacisnął szczęki... To ją poślubić. A przecież on nie należał do mężczyzn, którzy się żenią. Do diabła, nie potrafił interesować się kobietą dłużej niż dwa tygodnie, nie mówiąc o dotrwananiu do ślubu.

Verenę znał od ponad dwóch tygodni. I spędził wiele godzin w jej towarzystwie, a jego zainteresowanie nie osłabło ani trochę. Wręcz przeciwnie, stawało się coraz silniejsze.

Chwileczkę! Działo się tak wyłącznie dlatego, że oboje byli zaangażowani w intrygujące śledztwo. Gdy lista się znajdzie, jego namiętność wygaśnie. Jak zwykle.

Z jakiegoś powodu ta myśl wcale go nie pocieszyła. Raczej przyprawiła o smutek. Verena była rozkoszna. Piękna, zmysłowa, inteligentna i uzdolniona. Takiej kochanki zawsze pragnął.

Właśnie. Kochanki. Cóż, pewnego dnia pewnie będzie musiał się z kimś ożenić. Ale będzie to osoba roztropna, spokojna i cicha, na przykład taka jak jego matka. Uczucia, które żywił dla Vereny, wynikały z faktu, że znajdo-

wała się w niebezpieczeństwie. Jako St. John miał wrodzony instynkt opiekuńczy.

Po prostu nagle ocknął się w nim rycerz, nic więcej. Z wyraźną ulgą ponownie zagłębił się w fotelu i oparł nogi na stoliku. Jego obowiązkiem było chronić Verenę. I będzie ją chronił.

Jeszcze dzisiaj przeniesie swoje rzeczy do Westforth House, prosto do sypialni pana domu. I niezależnie od reakcji Vereny nie wyprowadzi się, póki sprawa zaginionej listy nie zostanie rozwiązana.

Zachowujmy się, jakbyśmy właśnie znaleźli zgubę. Brandon westchnął. Co zrobi, jeśli naprawdę tak się stanie? Jego wzrok padł na biurko.

Napisze do Wychama. Nie będzie oszukiwał przyjaciela.

- Do diabła, nie podoba mi się to wszystko - mruknął do siebie.

Wstał z fotela i sięgnął po papier listowy. Zanurzył pióro w atramencie.

Rogerze!

Nie mam dużo czasu, ale myślę, że się niepokoisz, jak sprawy stoją. Chyba wiem, gdzie jest lista. Właściwie jestem tego pewien.

Zawahał się. Czy powinien wspomnieć o Verenie? Tak. Czy to nie będzie się równało zaproszeniu mordercy do jej domu? Oczywiście, towarzyszył jej James, ale nie przez cały czas. A Herberts, choć był niezwykle zręczny w przywłaszczaniu sobie świecących cacek, nie stanowił zagrożenia dla osobnika zdeterminowanego. Natomiast jeśli chodzi o Petersa... Tak, ten człowiek był naprawdę groźny, ale jednocześnie naiwny i niezdolny do poradzenia sobie z łotrem tak przebiegłym jak ten, który zabił Humforda.

Ta myśl przyprawiła Brandona o dreszcz. Dobrze, że zamierzał się wprowadzić do Westforth House jeszcze tego wieczoru. Zanurzył pióro w kałamarzu.

Słusznie podejrzewałeś lady Westforth. To ona ma listę, ale sądzę, że wkrótce ją odzyskam. Tymczasem uważaj na siebie i uspokój ojca.

Podpisał list, wysuszył go i zapieczętował. Następnie wezwał Poole'a.

Kamerdyner zrobił zadowoloną minę na widok pustego kubka stojącego przy jego łokciu.

Brandon wręczył mu list.

- Wyślij to jeszcze dzisiaj.

- Dobrze, sir. Coś jeszcze?

- Tak. Spakuj moje rzeczy. Wyjeżdżam za godzinę.

Poole zamrugał ze zdziwieniem, ale powiedział z ukłoniem:

- Oczywiście, sir. Zapakować strój wieczorowy?

- Wszystko. Nie będzie mnie jakiś tydzień albo dwa. Mam nadzieję, że nie dłużej.

Zaczął się podnosić z krzesła, gdy raptem przyszła mu do głowy pewna myśl. Zachowujmy się, jakbyśmy znaleźli zgubę.

Musiał napisać jeszcze jeden list. Wziął następną kartkę i szybko skreślił wiadomość. Podał ją kamerdynerowi.

- Każ to dostarczyć na Timms Street dwa. Do rąk własnych sir Roberta Colburna z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Następnie poszedł się przebrać do kolacji.

Verena westchnęła i przewróciła się na bok, zastanawiając się, kiedy przyjdzie sen. Księżyc świecił jasno za

oknami Westforth House. Mocniej otuliła się kołdrą, obserwując, jak długie białe palce przeciskają się przez szpary w zasłonach i kreślą koronkowe wzory na ścianie.

Za wcześnie poszła do łóżka. Razem z bratem spędzili resztę popołudnia i część wieczoru na przygotowaniach. Kazali znieść ze strychu wszystkie kufry i zapędzili domowników do pakowania. James argumentował, że gdyby rzeczywiście znaleźli listę, taka właśnie byłaby ich reakcja: ucieczka zaraz po odzyskaniu jego listów miłosnych.

Zostało jeszcze dużo do zrobienia. Służbę poruszyła wiadomość, że pani wkrótce wyjeżdża. Verena była pewna, że rano cała ulica dowie się o jej rychłej podróży. A po dwóch dniach cały Londyn zacznie roztrząsać możliwe powody jej nagłego wyjazdu.

- Uciekam jak szczur z tonącego okrętu.

Verena wtuliła się w poduszkę. Znowu była Lansdowne, bez domu, wciąż w drodze.

James został na kolacji, a następnie poszedł się przebrać przed udaniem się do teatru, gdzie zamierzał rozgłosić wieść o jej ucieczce.

Odrzuciła przykrycie. Jakże nienawidziła bezsennych nocy. W ciągu długich, strasznych tygodni po śmierci Andrew całymi nocami leżała, nie mogąc zmrużyć oka. Z początku była to reakcja na stratę, ale później skutek dojmującego uczucia, że po raz pierwszy w życiu jest samotna. Całkowicie. Ta świadomość z jednej strony ją przerażała, a z drugiej dawała poczucie wolności.

Podobnie jak przebywanie z Brandonem. Rzucał jej wyzwania, prowokował, zmuszał, żeby stała się silniejsza. Verena zakryła oczy ramieniem. Przez wszystkie lata od śmierci Andrew nikt nie pobudził jej do życia tak jak Brandon. Zaczynała rozumieć, że przez cały ten czas gnu-

śniała, chowała się przed światem. Pomyliła stagnację z bezpieczeństwem.

Dopiero kiedy nagle pojawił się St. John i wyrwał ją ze stanu samozadowolenia, uświadomiła sobie, jaka jest naprawdę. W swoich wysiłkach odcięcia się od dziedzictwa Lansdowne'ów zmieniła się w ich przeciwieństwo, w osobę, która boi się oddychać, żeby nie spowodować jakiejś reakcji. Próbowwała stopić się z otoczeniem, zniknąć z widoku. Niemal jej się udało, aż z największym pośpiechem przybył Brandon, żeby uratować brata z jej szponów.

Musiała się uśmiechnąć na myśl o ich pierwszym spotkaniu, o wyrazie twarzy St. Johna, kiedy podarła czek i obsypała go białym konfetti.

Od tamtej chwili wytworzyła się między nimi więź, zupełnie jakby znaleźli się w korcu maku i rozpoznali. Było to rozkoszne uczucie. Verena nauczyła się je pielęgnować, choć wiedziała, że ono samo nie wystarczy.

Zastanawiała się, czy po jej wyjeździe Brandon kiedykolwiek o niej pomyśli, czy będzie się martwił o jej bezpieczeństwo tak samo jak o swoich braci. Zamrugała, odpędzając łzy, które napłynęły jej do oczu. Czuła się pusta. I dręczył ją lęk, że od tej pory będzie musiała żyć z tym poczuciem.

- Przestań - mruknęła.

Zostało im jeszcze kilka dni, żeby cieszyć się sobą, zanim nastąpi to, co nieuniknione. Może Brandon zakradnie się dzisiaj do jej sypialni. Na tę myśl przebiegł ją dreszcz. Tęskniła do jego dotyku od ich pierwszej miłosnej nocy.

Poruszyła się niespokojnie. Miała ochotę na gorącą kąpiel i filiżankę parującej czekolady, gęstej i mocnej. Może przestanie dzięki temu rozmyślać o innych, mniej niewinnych, rzeczach.

Usiadła i przesunęła górę poduszek na jedną stronę. Tak, duża filiżanka czekolady. Jeśli...

W głębi domu rozległo się skrzypnięcie. Verena знаła ten dźwięk. To było okno w salonie. Jego zawiasy od dawna wymagały naoliwienia. Ktoś próbował przez nie wejść.

St. John! Wskoczyła z łóżka i wygładziła koszulę, niemal drżąc z podniecenia. Brandon był jak pomarańcza, twardy i szorstki na zewnątrz, w środku słodki i miękki. Przynajmniej tak sądziła. Może powinna go obrać, żeby się upewnić. Zachichotała cicho, sięgając po szlafrok. Włożyła go pospiesznie, stopy wsunęła w czerwone aksamitne pantofle. Bezszelestnie otworzyła drzwi sypialni i ruszyła korytarzem, omijając deski, które mogły zaskrzypieć.

Na podeście się zawahała i spojrzała w panujący na dole mrok. Ledwo usłyszała szmer dobiegający z salonu. Jakby ktoś postawił nogę na luźnej klepce i natychmiast ją cofnął.

Aha! Uniosła przód szlafroka i zaczęła schodzić na parter, trzymając się jednej strony schodów. Gdzieś zegar wybił godzinę. Dziesięć uderzeń; Rzeczywiście było późno.

Dotarła do drzwi salonu i przystanęła, żeby posłuchać. Ze środka dobiegały różne odgłosy: zgrzyt metalu o drewno, brzęk wazonu stojącego na półce nad kominkiem, potem dźwięk odsuwanej szuflady sekretarzyka.

Szuflady? Co on wyprawiał? Położyła rękę na gałce i wolno pchnęła drzwi. Salon, tak jak hol, był pogrążony w całkowitej ciemności. Wśliznęła się do wnętrza i przywarła do ściany.

Musiała zrobić jakiś hałas, bo w pokoju nagle zapadła kompletna cisza. Verena przykucnęła i zakryła ręką usta, żeby stłumić chichot.

Cisza się przedłużała. Verenie ścierpły nogi, ale jej podniecenie rosło. W końcu, gdy już miała się odezwać, tuż obok niej rozległ się szelest ubrania.

Frontalny atak był jej jedyną nadzieją. Wstała raptownie.

- A! Przytąpałam cię...

Poczuła uderzenie i oślepiający ból. Upadła. Potem ogarnęła ją ciemność.

Brand szedł St. James Street w stronę White'a. Choć było po zmierzchu, na ulicy roiło się od ludzi, którzy spacerowali, wsiadali do powozów lub z nich wysiadali, podchodzili do siebie, żeby zamienić kilka słów.

Brandon wyjął z kieszonki nowy zegarek i sprawdził godzinę. Kwadrans po dziesiątej. Już widział przed sobą klub, kiedy nagle ktoś chwycił go za ramię.

- Lansdowne! - St. John zmarszczył brwi. - Coś się stało?

- Chciałem z tobą porozmawiać. - James wskazał na White'a. - Domyślam się, że idziesz do klubu. Mogę pójść z tobą?

- Oczywiście. - Gdy ruszyli dalej, zapytał: - Jesteś członkiem?

Po twarzy Lansdowne'a przemknął krzywy uśmiech.

- Nie sądzę, żeby do tego szacownego przybytku wpuszczali oszustów bez grosza przy duszy.

- Nie jesteś oszustem bez grosza. Twój ojciec to rosyjski arystokrata.

- Dzisiaj, ale jutro... - James wzruszył ramionami.

Brand wsadził ręce do kieszeni płaszcza.

- Jak to było żyć w ten sposób?

- Ekscytująco. Niepewnie. Czasami strasznie. Ale nigdy nudno.

- Verena, zdaje się, źle wspomina dzieciństwo.

James zatrzymał się raptownie i wpił w niego nieruchome spojrzenie.

- Moja siostra nie zawsze wie, co jest dla niej najlepsze.

To było ostrzeżenie. Brandon nie bardzo wiedział, jak

na nie zareagować. Ale zanim zdążył się odezwać, Lansdowne ruszył dalej.

- Cieszę się, że cię złapałem. Dziś wieczorem widziałem się z lady Bessington i okazało się, że ona coś pamięta. Siedziała obok Humforda na przyjęciu u Vereny.

- Co powiedziała?

- Że Humford pił przez cały wieczór jak smok. Wyglądał również na zdenerwowanego. Wciąż patrzył na zegar, ale z drugiej strony robili to wszyscy, bo spóźniał się wicehrabia Wycham. W końcu Verena uznała, że ten nie przyjdzie, i zaprosiła gości do stołu. Gdy wszyscy siadali, Humford poklepał się po kieszeni surduta i zbłądł.

- Zorientował się, że zgubił przesyłkę.

James pokiwał głową.

- Chyba tak.

- Czy lady Bessington jeszcze coś sobie przypomniała?

- Podobno Humford kilka razy się chwalił, że kupił sobie nowy surdut i tabakierę. Wyglądało na to, że ostatnio trafiły mu się jakieś pieniądze. Lady Bessington pomyślała, że pewnie miał szczęście przy stoliku.

- Lady Farley twierdzi coś innego - powiedział Brand. - Był jej winien sporą kwotę.

Przez jakiś czas szli w milczeniu.

- Zaczęliście realizować plan? - spytał w końcu Brand.

- Zawsze czujny i obowiązkowy, co?

- To poważna sprawa.

- Tak. Oczywiście. Zaraz po twoim wyjściu Verena i ja kazaliśmy znieść kufry ze strychu.

St. John ściągnął brwi.

- Po co?

- Bo właśnie tak byśmy zrobili, gdybyśmy naprawdę znaleźli listę. - James spojrzał mu prosto w oczy. - Nie moglibyśmy tu zostać, przecież wiesz.

Serce Brandona przejął chłód.

- Dlaczego?

James uśmiechnął się ze smutkiem.

- Jesteśmy Lansdowne'ami. Nigdy nie zostajemy tam, gdzie jesteśmy niemile widziani. Gdy zaczniemy rozgłaszać, że mamy tę cholerną listę, ministerstwo nigdy nie uwierzy, że tylko udawaliśmy. Będziemy musieli wyjechać.

- Oczywiście.

Idąc dalej ulicą, Brandon usłyszał za sobą jakiś hałas, ale nie zwrócił na niego uwagi. Jeśli James miał rację, Verena wkrótce zniknie z jego życia. Poczuł wielki ciężar na piersi. Dobry Boże, co on zrobi, kiedy...

W tym momencie rozległo się rżenie konia, a po nim okrzyk przerażenia. Jakiś mężczyzna idący naprzeciwko Brandona spojrzał ponad jego ramieniem i wytrzeszczył oczy. Na jego twarzy odmalował się strach.

St. John odwrócił się błyskawicznie. Jakiś powóz wjechał na chodnik i pędził prosto na nich. Koń miał dziki wzrok i biegł, jakby ścigało go stado wilków. Brand w ułamku sekundy dostrzegł zgarbionego woźnicę o twarzy zasłoniętej przez czarny kapelusz.

Zabije nas! Chwycił Jamesa za ramię i szarpnął, lecz było już za późno.

W następnej chwili powóz gwałtownie skręcił, ale zdążył potrącić Lansdowne'a. James krzyknął i runął na ziemię.

Powóz potoczył się dalej. Ludzie pierzchali przed nim na boki, ulica rozbrzmiała gniewnymi wrzaskami. Brandon ukląkł przy Jamesie.

- Moja noga - jęknął Lansdowne.

Obiema rękami trzymał się za kolano. Spomiędzy jego palców wypływała krew i wsiąkała w nogawkę spodni.

St. John zaklął cicho.

- Poczekaj tutaj, a ja...

- Brand!

To był Devon. Jego twarz wyrażała troskę. Pojawił się również Chase.

- Wezwałem lekarza.

- Dziękuję. - Na czoło Brandona wystąpił pot, strach zmienił się w gniew. - Musimy zabrać cię z ulicy, Jamesie. Możesz chodzić?

Lansdowne miał zamknięte oczy, brwi ściągnięte.

- Daj mi... chwilę.

Brandon pokiwał głową. Spojrzał za oddalającym się powozem i zauważył ulicznika stojącego na końcu St. James Street. To był ten sam chłopak w obszarpanym granatowym płaszczu, którego dwa dni temu widział przed domem Vereny.

Oberwaniec słuchał tęgiego osobnika w wyblakłym czarnym płaszczu i niemodnym kapeluszu. Mężczyzna gestykulował energicznie. Kiedy trochę obrócił głowę, Brand go rozpoznał. To był Farragut.

Agent wcisnął monetę w rękę chłopca i spojrzał w kierunku St. Johna. Na chwilę ich oczy się spotkały. Potem Farragut naciągnął kapelusz mocniej na czoło i pomaszlował w przeciwną stronę. Ulicznik wtopił się w tłum.

Do diaska, co to miało znaczyć?

- Brandon? - Nad nim pochylał się Chase.

- Widziałeś, co się stało?

- Tak. Przez okna Whitea, ale nie mogłem dotrzeć do drzwi.

Devon pokiwał głową.

- Wszyscy się w nich stłoczyli, żeby popatrzeć. - Wskazał na zniszczenia poczynione przez powóz. - Wjechał na chodnik, jakby cholerny woźnica celował prosto w was. Serce omal mi nie stanęło. Gdyby nie skręcił w ostatniej chwili...

- Wiem. - Brandonowi też serce waliło ze strachu, ale nie zamierzał się do tego przyznać. - To był wypadek.

- Wypadek? - powtórzył Chase, marszcząc brwi. - Nie nazwałbym tego...

- Przepraszam. - Za nimi stał chudy mężczyzna w surducie. - Jestem doktor Lindson. Mogę zbadać tego młodzieńca?

- Oczywiście.

Brandon wstał, ale James chwycił go za nadgarstek.

- Udało się - wykrztusił, walcząc z bólem.

Udało się? Co... Brandowi oddech uwiązł w krtani. Plan! Ale tak szybko? Jak to możliwe... Mój Boże, Verena. Poczul ściskanie w piersi. Spojrzał na Devona.

- Zajmij się panem Lansdowne'em. Ja muszę iść.

- Ale dlaczego? Co się stało?

Jednak Brandon nie odpowiedział. Pędził ulicą jak szaleniec, głośno stukając butami. Proszę, Boże, niech będzie bezpieczna.

Mój brat Brandon? U niego wszystko w porządku, dziękuję. Ostatnio, kiedy go widziałem, odpoczywał. Życie potrafī być wyczerpujące, gdy się nie ma nic do roboty.

Hrabia Greyley do lady Birlington, stojąc przed labiryntem Vauxhall Gardens.

Brandon wbiegł po stopniach Westforth House. W środku nie paliły się żadne światła, z wyjątkiem salonu. Tłumiąc niepokój, głośno zastukał kołatką.

Jak zwykle nikt się nie zjawił. Brandon zapukał jeszcze raz, aż dźwięk odbił się echem w całym domu. W końcu zniecierpliwiony przyłożył dłoń do ust i krzyknął:

- Herberts! Otwórz cholerne drzwi!

Zasłona w salonie poruszyła się, a chwilę później w progu stanął kamerdyner.

- Do diaska! - zaklął St. John. - Nie słyszałeś...

Nos i oczy Herbertsa były czerwone, jakby płakał, wargi żałośnie skrzywione.

Serce Brandona zatrzymało się na moment.

- Verena...

Sługa wytarł nos grzbietem dłoni.

- W salonie. - Jego głos drżał, po policzku stoczyła się łza. W uszach Brandona zaszumiała krew. Odepchnął słu-

gę i wpadł do domu. Dobry Boże, czyżby przyszedł za późno?

Drzwi salonu były otwarte, światło wylewało się do holu. Brand wpadł do środka i zatrzymał się raptownie.

Verena leżała na kanapie, z głową owiniętą białym bandażem. Brand podszedł do niej ze ściśniętym gardłem. Patrząc na nią bez słowa, dziękował w duchu, że jej pierś unosi się i opada, ręka zaciska na chusteczce. Nawet lekki grymas bólu przyprawił go o dreszcz radości.

Zerknął przez ramię na Herbertsa.

- Co się stało?

Kamerdyner pociągnął nosem.

- To było okropne. Usłyszałem hałas na dole. Kiedy otworzyłem drzwi salonu, zobaczyłem panią na podłodze, zwiniętą w kłębek.

- Posłałeś po lekarza?

Verena uchyliła powieki.

- Nie chcę lekarza. Po prostu trochę boli mnie głowa, to wszystko.

Choć była blada, głos miała silny. Brandon ukląkł przy kanapie, ujął dłoń Vereny, splótł jej palce ze swoimi. Ciężar gniojący jego pierś trochę zelżał.

- Dobrze się czujesz?

Odchylił brzeg bandaża i zobaczył na czole potężny siniak.

Verena się skrzywiła.

- Nie czuję się dobrze. Boli mnie głowa i zęby. Mam sztywny kark. Jak w ogóle możesz zadawać takie pytania?

Do diabła, to nie powinno się zdarzyć. Mieli udawać, że znaleźli listę, a szantażystę naciskać na wcześniejsze spotkanie. Nic więcej.

Spojrzał na Herbertsa.

- Drzwi i okna były zamknięte?

- Jasne, że tak! Peters i ja sprawdziliśmy wszystkie przed pójściem do łóżek.

- A później? Łatwo zbić szybę i wejść przez okno.

Kamerdyner potrząsnął głową. Jego wargi zadrżały.

- Powinienem był czuwać. Uprzedzał pan, że coś może się wydarzyć.

Wydymuchał nos w chusteczkę. Gdy chował ją z powrotem do kieszeni, Brandon dostrzegł znajomy monogram: jego własny.

Herberts zauważył jego wzrok i poczerwieniał tak samo jak nos.

- Przepraszam, pewnie upuścił ją pan w holu. - Wyciągnął rękę z chusteczką. - Proszę.

St. John spojrzał na zmięty i niezbyt czysty kawałek płótna.

- Nie, dziękuję. Możesz ją zatrzymać.

- Dziękuję. - Herberts jeszcze raz wytarł nos. - To najgorszy dzień w moim życiu. Zaniedbałem obowiązki.

- Nie. Nie mogliśmy przewidzieć, że coś takiego się zdarzy. - W każdym razie nie tak szybko. - Gdzie Peters?

- Posłałem go po pana i po pana Lansdowne'a.

James. Brandon spojrzał na bladą twarz Vereny. Nie mógł teraz powiedzieć jej o wypadku.

- Jak Peters wróci, przyślij go do mnie. Wkrótce zjawi się pan Lansdowne. Trzeba przygotować mu pokój.

Verena otworzyła oczy.

- James się u mnie zatrzyma? Pytałam go, ale odparł, że woli mieszkać w hotelu.

- Zmienił zdanie.

Brandon pogładził kciukiem wierzch jej dłoni. Verena zamknęła oczy, ale jej rzęsy zadrżały, kiedy musnął ustami palce.

Wolno uniosła powieki. Gdy ich spojrzenia się zwały,

Brand zalała fala ciepła. Czystego pożądania. Zaskoczył jego siłą, puścił rękę Vereny. W chwili kiedy to zrobił, jej usta się skrzywiły, fiołkowe oczy wypełniły łzami.

Znowu ujął jej dłoń.

- Spokojnie, kochanie.

Spod rzęs wypłynęła pojedyncza łza.

- Boli mnie głowa i jestem... - Stłumiła szloch. - Och, do diabła!

- Herberts, macie w domu laudanum?

- Już je przyniosłem, ale pani go nie tknęła. - Sługa potrząsnął głową. - Uparta dziewczyna.

- Nie chcę - potwierdziła Verena, ale niezbyt pewnym tonem.

Kamerdyner wziął ze stolika małą brązową buteleczkę i łyżkę. Podał je St. Johnowi.

- Może panu się uda. Nie ma powodu, żeby pani tak cierpiała.

- Przynieś wody.

Herberts natychmiast wybiegł z salonu. Wrócił błyskawicznie, ze szklanką w ręce. Brand odkorkował buteleczkę i nalał trochę brązowego płynu na łyżkę. Podsunął ją Verenie.

- Otwórz usta.

- Nie.

Odwrociła głowę, jedną ręką dotykając bandaża na czole. Drugą, zwiniętą w pięść, przycisnęła do żołądka.

- Poczujesz się lepiej.

- Śmierć też by pomogła, a nie chcę jej spróbować.

Brandon uniósł brew.

- Nie zmuszaj mnie, żebym wlał ci lekarstwo do gardła.

Verena otworzyła oczy.

- Nie zrobiłbyś tego...

Brand wsunął łyżkę między jej rozchylone wargi. Ve-

rena się zakrztusiła, ale przełknęła płyn, łypiąc na niego groźnym wzrokiem.

Brandon wręczył jej szklanekę wody, a buteleczkę i łyżkę oddał Herbertsowi.

- Powinno zadziałać.

- Chciałabym, żebyś sobie poszedł - burknęła Verena. Popiła lek wodą i skrzywiła się z obrzydzeniem. - Paskudztwo.

- Nie zostawię cię samej.

Nigdy. Już zawsze będzie bezpieczna. W jego ramionach. Gdzie jej miejsce.

- Nie mogę uwierzyć, że ktoś chciał skrzywdzić moją panią - powiedział Herberts, kręcąc głową. - To zbrodnia.

Verena z wyrzutem spojrzała na Brandona.

- Muszę napić się czekolady, żeby pozbyć się tego okropnego posmaku w ustach.

Kamerdyner popatrzył na nią sceptycznie.

- Myśli pani, że czekolada to dobry pomysł po takim ciosie w głowę? Lepszy byłby kapuśniak.

Gospodyni skarciła go wzrokiem.

- Nie chcę kapuśniaku, tylko czekolady.

Brandon doszedł do wniosku, że jeszcze nigdy nie widział bardziej rozkosznej, choć nieznośnej pacjentki. Przycisnął jej palce do swoich ust. Była taka dzielna. Większość kobiet, które znał, szlochałaby histerycznie, natomiast ona wykorzystywała swój stan jako pretekst, żeby spełnić zachciankę.

Obejrzał się na Herbertsa.

- Słyszałeś?

Kamerdyner schował chusteczkę do kieszeni.

- Czekolada nie pomoże pani na ból głowy.

- Decyzja należy do niej. Ruszaj się, i to szybko.

- Dobrze.

Sługa rozprostował ramiona i wymaszerował z pokoju.

Gdy tylko drzwi się za nim zamknęły, Brandon puścił dłoń Vereny i wstał.

- Zaniosę cię do twojego pokoju. W łóżku będzie ci wygodniej.

Verena dzwignęła się na łokciu.

- Dziękuję bardzo, sama pójdę.

- Doprawdy? - Schylił się i wziął ją na rękę.

- Jesteś nieznośny.

- Powinnaś się oszczędzać.

Zaniósłszy ją na górę, położył na brzegu materaca i wyrównał skotłowaną pościel. Verena czekała cierpliwie, nie spuszczać z niego wzroku. Gdy wszystko było gotowe, Brandon delikatnie przeniósł ją na środek łóżka.

- No, tylko bądź grzeczna - przykazał.

Nie wiedział, dlaczego serce go boli, jakby kogoś stracił. Podszedł do drzwi i krzyknął na Herbertsa.

Prawie od razu na schodach zadudniły kroki.

- Sir?

- Przynies trochę zimnej wody i świeże ręczniki.

Herberts skinął głową.

- Czekolada prawie gotowa.

Wypadł z pokoju i niemal pobiegł na dół.

Brand odwrócił się do Vereny. Miała zamknięte oczy, a po jej policzku wolno toczyła się łza. Westchnął i usiadł na brzegu łóżka.

- Uważaj, bo ja też się rozpłaczę.

Popatrzyła na niego z żalną miną. Brandon miał tylko jedną siostrę, ale ta siostra nauczyła go wielu rzeczy. Wyciągnął rękę i wziął Verenę w objęcia.

- Spokojnie, skarbie, już dobrze.

Tulił ją, muskał policzkiem jej włosy, głąskał po plecach. Ale pocieszając ją, przez cały czas myślał o tym, że chętnie zabiłby człowieka, który ją skrzywdził.

Po paru minutach do pokoju wszedł Herberts z miską, dzbankiem wody i filiżanką parującej czekolady. Przystanął, gdy zobaczył swoją panią w objęciach St. Johna, ale szybko odzyskał rezon.

- Dobry płacz jest tym, czego pani potrzebuje. Przyniosłem ręczniki na okładki i chłodną wodę do obmycia twarzy. Nie chce pani mieć czerwonego nosa, prawda?

Verenę nie obchodził kolor nosa, póki Brandon trzymał ją w ramionach. Co za boskie uczucie być tuloną, niczego nie oczekiwać, niczego nie dawać, tylko rozkoszować się chwilą. Może po prostu zaczęło działać laudanum, ale nie pragnęła teraz niczego innego.

Herberts zwlekał z odejściem, zapewniając, że sprawdził wszystkie okna na parterze. Przerwało mu wołanie Petersa.

Gdy tylko kamerdyner zniknął za drzwiami, Brandon się roześmiał. Dźwięk zabrzmiał kojąco w uszach Vereny.

- Powinnaś zobaczyć, co zrobił z twoim nocnym stolikiem.

Verena zerknęła ostrożnie. Herberts w swojej chęci służenia uformował dodatkowe ręczniki na kształt dużych kwiatów.

- Gdzie on się tego nauczył? - spytała zdumiona.

- Szkoda, że go nie widziałaś. Poprawiał każdy z pięć razy, zanim efekt go zadowolił. - Brand odgarnął włosy z jej twarzy. - Musimy obmyć skaleczenie. Chyba poradzimy sobie sami.

Verena skinęła głową. Dzięki niebiosom za laudanum. Z wolna ogarniało ją miłe odrętwienie. Jeszcze chwila, a nie będzie czuła własnego języka, pomyślała.

Szukała w myślach jakiejś błyskotliwej uwagi, która pozwoliłaby zapomnieć o jej okropnym czerwonym nosie.

- Nasz plan chyba się powiódł.

Brandon zacisnął usta.

- Nie rozpraszaaj mnie. Możesz usiąść?

Kiwnęła głową i skrzywiła się, choć ból był coraz słabszy. Brandon ułożył wysoko poduszki za jej plecami, a następnie delikatnie zdjął bandaż z czoła.

Obserwowała go spod rzęs. Był najprzystojniejszym mężczyzną na świecie. I siedział na brzegu jej łóżka. Żałowała, że nie ma całej gromady przyjaciółek, przed którymi mogłaby się pochwalić. To smutne. Znała wiele osób, ale żadnej na tyle dobrze, żeby jej się zwierzyć.

Oto kolejny dowód, że zapomniła, jak żyć.

Brandon odłożył bandaż i popatrzył na jej czoło.

- Jak wygląda?

- Niebiesko. Bardzo niebiesko.

Verena dotknęła siniaka.

- Auu!

Twarz Brandona złagodniała.

- Nie ruszaj, skoro boli.

Verena zachichotała.

- Dobrze, ale ty możesz. Prawdę mówiąc, pozwalam ci dotykać mnie całą. - Wykonała szeroki gest, od którego omal się nie przewróciła na bok.

W oczach Brandona pojawił się wesoły błysk.

- Jesteś zamoczona od laudanum - stwierdził z uśmiechem i powiódł kciukiem po jej brodzie. - Zrobię ci zimny okład.

Verena chwyciła jego rękę i przytuliła ją do policzka, patrząc na niego z tęsknotą.

- Nie zostawisz mnie?

- Nie.

- Nigdy?

Nachylił się ku niej. Jego niebieskie oczy płonęły.

- Obiecuję zostać tak długo, jak będziesz mnie potrzebowała, i jeszcze jeden dzień.

- Jeden dzień?

- Bardzo, bardzo długi dzień. - Wyprostował się. - Zrobię ci okład.

Verena niechętnie puściła jego dłoń. Gdy tylko oddalił się od łóżka, poczuła się samotna. Samotna, niepewna, przejęta lękiem. Ale nie przed kolejnym napadem. Jej obawy były związane z Brandonem. Z jego utratą. Z zatręciem siebie.

Wrócił z mokrym ręcznikiem i ostrożnie przemył jej czoło. Tylko raz sprawił jej niewielki ból. Kiedy skończył, powiedział cicho:

- No, powinno być dobrze.

Odłożył ręcznik do miski i przyniósł jej czekoladę.

- Sądzę, że to wyleczy wszystkie twoje dolegliwości.

Verena wzięła od niego filiżankę i głęboko wciągnęła cudowny aromat. Spróbowała kremowego napoju. Smakował równie bosko, jak pachniał. Zamknęła oczy, rozkoszując się gorzko-słodką ambrozją.

Nagle uświadomiła sobie, jak śmiesznie musi wyglądać w oczach Brandona, kiedy tak wzdycha nad filiżanką czekolady. Zerknęła na niego spod powiek.

- Przepraszam - bąknęła z niepewnym śmiechem. - Nie zapytałam, czy ty też miałbyś ochotę. Mogę odlać połowę do drugiej filiżanki.

- Nie, dziękuję. Wystarczy mi twoja błoga mina. - Odgarnął pasmo włosów z jej twarzy. - Sama dokończ czekoladę. Pomoże ci zasnąć.

Zrobiła, jak radził, ale przez cały czas czuła na sobie jego wzrok. Obserwował ją zachłannie, jakby się bał, że mu zniknie, gdy na chwilę odwróci spojrzenie. Verena wypięła ostatni łyk i oddała mu pustą filiżankę.

Odstawił ją na stolik.

- Pora spać.

Laudanum działało. Nos i brodę miała zdrętwiałe. Poza tym sypialnia lekko przekrzywiła się w jedną stronę.

Verena westchnęła z zadowoleniem i rozejrzała się po znajomym pokoju. Na łóżko wydała więcej pieniędzy niż na pozostałe umeblowanie. Było dla niej domem. Bezpiecznym schronieniem. Ale po raz pierwszy od czterech lat nie chciała leżeć w nim sama.

Pochyliła się do przodu i oparła głowę na ramieniu Brandona.

- Zostaniesz ze mną?

Zesztywniał, a na jego twarzy pojawiło się napięcie.

- To nie byłoby rozsądne.

- Ale przyjemne. - Jej palce same zacisnęły się na kłapach jego płaszcza. Zmarszczyła brwi. - Nawet się nie rozebrałeś.

- Nie zdążyłem.

Coś było nie tak z jego okryciem. Ale co? Przyjrzała mu się uważnie i uśmiechnęła szeroko. Do licha, jest dużo bystrzejsza, niż przypuszczała.

- Wiem! Nie masz guzików.

- Herberts.

- Aha.

Musiała się skupić, żeby oderwać palce od kłap. Gdy tylko go puściła, St. John wstał. Ogarnęła ją lekka panika.

Brandon chyba ją dostrzegł, bo zapewnił pospiesznie:

- Nigdzie nie idę.

Zdjął płaszcz i rzucił go na fotel.

Jej piękny fotel. Przypomniała sobie, jak ostatnim razem Brandon w nim siedział i trzymał ją na kolanach. Ten mebel już zawsze będzie dla niej czymś szczególnym. Zwłaszcza kiedy wszystko się skończy, a ona na zawsze opuści Anglię.

Myśl o wyjeździe zepsuła jej humor. O, Boże, opusz-

czała dom, ulubione łóżko, Brandona. Nieprzelane łzy ścisnęły ją za gardło.

- No, przestań, skarbie.

Jej wargi zadrżały.

- Nic nie mogę na to poradzić.

- To laudanum. Musisz się wyspać.

Brand usiadł z powrotem na brzegu łóżka i musnął jej policzek grzbietem dłoni. Gest podzielał na nią hipnotyzująco.

- Zamknij oczy. Będę tutaj, kiedy się obudzisz.

Smutek zelżał, ogarnęła ją senność. Głowa nadal ćmiła, ale ból był daleki i przytępiony.

Leżała wtulona w pościel, podczas gdy Brandon delikatnie głaskał ją po włosach i twarzy. Wyobraziła go sobie, jak szepcze słowa pocieszenia. Ale nie miłości... nie on.

Uśmiechnęła się sennie i położyła dłoń na jego ręce. Uwielbiała jego lekki dotyk, zupełnie jakby bał się zrobić jej krzywdę. Po chwili zamruczała:

- Już mi lepiej.

- To dobrze. Teraz zaśnij.

- Nie chcę spać - powiedziała, choć oczy same się jej zamykały.

- Hm. - Nadal gładził jej włosy.

Verena uśmiechnęła się z zadowoleniem. Pieszczota działała na nią usypiająco.

- Mama tak robiła, kiedy źle się czułam.

- Moja też.

- Tęsknię za nią. - Otworzyła oczy. - A ty za swoją?

- Codziennie. Opowiedz mi o swojej rodzinie, Vereno.

Brandon chciał poznać jej rodzinę. Był takim dobrym człowiekiem. Wtuliła policzek w jego dłoń.

- Mam brata.

- Wiem. Jest bardzo do ciebie podobny.

Kochany James. Zjawiał się zawsze, kiedy go potrzebowała. Ciekawe, gdzie teraz się podziewa. Obiecał, że niedługo wróci, a minęło już wiele godzin.

- Zastanawiam się, gdzie jest James...

- Masz innych braci albo siostry? - przerwał jej Brandon.

- Dwie siostry. Są młodsze. Ja jestem najstarsza z rodzeństwa, choć od brata starsza tylko o dwie minuty.

- Ty i James jesteście bliźniakami?

- Tak. - Westchnęła głęboko. Laudanum to cudowny lek. - Mam wspaniałą rodzinę. Mój ojciec uważa, że jestem najlepszym karciarzem, jakiego zna. Oczywiście z wyjątkiem chwil, kiedy piję porto.

- O, tak. Wydaje się, że to było lata temu. - St. John objął jej twarz ciepłymi dłońmi. - Dlaczego nie wróciłaś do rodziny po śmierci Westfortha?

- Bo chciałam zachować tę sypialnię, mój azyl. - Zaśmiała się cicho. - Brzmi dziwnie, prawda? Kocham rodziców, ale są zbyt uzależnieni od dreszczyku emocji.

- W przeciwieństwie do ciebie.

- Pragnę spokoju. Domu. Mojego własnego łóżka z puchatymi poduszkami i nakrochmaloną pościelą.

Brandon przesunął kciukiem po jej policzku, rozkoszując się jedwabistą gładkością skóry.

- Ciągłe przeprowadzki bardzo ci doskwierały?

Uśmiech zniknął z twarzy Vereny. Otworzyła oczy, mokre jak po deszczu.

- Czasami było mi bardzo ciężko - wyszeptała. - Za każdym razem, gdy znajdowałam przyjaciółkę, musieliśmy wyjeżdżać. - Jej głos zadrżał. - Tak jak teraz.

Wyjeżdżać. Brandon stwierdził, że nienawidzi tego słowa. Uświadomił sobie wstrząśnięty, że nie chce, by Verena zniknęła z jego życia. Pragnął... Zamknął oczy. Właśnie, czego?

Verena chyba dostrzegła ból na jego twarzy, bo położyła ręce na jego policzkach.

- Czasami życie z rodzicami było cudowne.

- Cudowne?

- Oni nie są potworami. Tylko... oportunistami.

- Masz na myśli: oszustami?

- To również. Ale kochali swoje dzieci. I dbali o nas.

Za mało, pomyślał Brand. Ciekawe, czy ktokolwiek troszczył się o Verenę tak, jak na to zasługiwała.

- Co Westforth myślał o twoich rodzicach?

- Andrew? - Uśmiechnęła się leniwie. Jej mowa stawała się coraz bardziej niewyraźna: - Bawili go. Chyba lubił ich bardziej niż swoich.

Gdy umilkła na dobre, Brandon starannie otulił ją kołdrą.

- Śpij, Vereno. Będę tutaj, kiedy się obudzisz.

Postanowił, że dotrzyma słowa. Tego dnia i następnego, a najlepiej i kolejnego. Tak długo, jak będzie trzeba, by mieć pewność, że jest bezpieczna i pod dobrą opieką.

Verena wtuliła twarz w poduszki i zasnęła z ręką przyściśniętą do policzka. Brandon obserwował ją przez dłuższy czas. Potem jeszcze raz poprawił jej okrycie i usadowił się w fotelu przy kominku, żeby poczekać na świt.

22

Jedną rzecz można powiedzieć o St. Johnach: nigdy nie wiedzą, kiedy przestać. Akurat to w mężczyznach mi się podoba.

Lady Birlington do lady Jersey po tym, jak Chase St. John wypił za dużo brandy na wieczorne muzycznym u Wexfordów.

Następnego ranka Brandona obudził chłód panujący w pokoju i ból w karku. Był za duży, żeby spać w fotelu. I za stary.

Wyprostował się i spojrzał na łóżko. Verena zniknęła.

Zerwał się na równe nogi. Do diaska, gdzie ona jest? Podbiegł do drzwi i otworzył je gwałtownie. Omal nie wpadł na Herbertsa.

- A, tu pan jest! Lady Westforth pyta, czy zejdzie pan na śniadanie.

Brandon przyłożył rękę do serca.

- Tak, oczywiście.

- Powiem jej, że pan już idzie. - Kamerdyner zmierzył go wzrokiem. - Na komodzie leży grzebień, gdyby pan chciał się przyczesać.

Udzieliwszy mądrej rady, odwrócił się i wyszedł na korytarz.

Brandon szybko doprowadził do porządku ubranie i włosy. Był już gotowy do wyjścia, gdy nagle jego wzrok padł na małe biurko i leżący na nim papier listowy. Po chwili namysłu sięgnął po pióro i otworzył kalendarz.

Niedługo później zszedł na dół. Verena siedziała przy stole, przed nią stał talerz z grzanką. Wyglądała na spokojną, lecz oczy miała pochmurne, a siniak na czole kontrastował z białą skórą.

Gdy napotkała wzrok St. Johna, na jej policzkach wykwitł lekki rumieniec.

- Jak się czujesz? - spytała.

Bolały go wszystkie kości, zapewne po upadku na chodnik, kiedy ratował Lansdowne'a.

- Dobrze. Chciałem powiedzieć ci wczoraj, że James...

- Jest w pokoju gościnnym. Właśnie od niego wyszłam.

- Co z nim?

- Obolały. Głównie z tego powodu, że nie może nam pomóc.

- Pomóc nam?

Na ustach Vereny pojawił się lekki uśmiech.

- Dostaliśmy następną listę.

Podała mu niewielką złożoną kartkę. Brandon rozpostarł ją i przeczytał.

Lady Westforth!

Gospoda Królewski Jeleń w Linie Sutton, w południe.

Niech pani przyjdzie sama i przyniesie listę.

Brandon podniósł wzrok.

- Kiedy to przyszło?

- Dziś rano. Liścik znalazł na ganku lekarz Jamesa.

St. John odłożył kartkę na stół.

- Jest zaadresowany do ciebie.

- Tak. Wcześniejsze były do Jamesa. Pewnie wiedzą, że jest ranny, i nic dziwnego, skoro to prawdopodobnie oni zaaranżowali wypadek. - Wstała od stołu. - Wyruszam za godzinę.

Brandon dopiero teraz zauważył, że Verena ma na sobie prostą suknię podróżną.

- Nie możesz...

- Muszę. Mój brat leży w łóżku, ma złamaną nogę. Następny razem będzie gorzej, dużo gorzej.

- Skąd wiesz, że ci ludzie nie zabiją cię w chwili, gdy się pojawisz?

- Bo mam listę.

Brandon potarł czoło.

- Do diaska! Nie podoba mi się ten pomysł.

- Mnie również. Jedziesz ze mną?

W tym momencie drzwi się otworzyły i do jadalni wmaszerował Herberts, niosąc półmisek z szynką.

- Proszę!

Brand go zignorował. Patrzył na Verenę.

- W liście kazali ci przyjechać samej.

Jej usta wykrzywił uśmiech.

- I pojedę sama. Tylko ja i stangret.

Brandon znieruchomiał. Jako woźnica miałby z wysokiego kozła doskonały widok na całe otoczenie, mógłby ją chronić. Tak... Podchwycił spokojny wzrok Vereny i w jednej sekundzie odczytał jej intencje.

Skinął głową.

- Dobrze. Będę twoim stangretem. Jaki jest twój plan?

- Pojedziemy powozem do gospody Królewski Jeleń. Tam odegram wielką scenę ze szlochaniem, krzykami i udawaniem przerażonej. Kiedy uznają, że jestem oszalała ze strachu, nie będą spodziewali się oporu.

- To dobry plan. - Ujrawszy jej zaskoczony wzrok, dodał: - Atak hysterii wyjaśni również, dlaczego nie wyśiadasz z powozu.

Herberts cmoknął językiem.

- Powinna pani słuchać tego dżentelmena.

Verena spojrzała na swoje ręce.

- Nie mamy listy. Moją jedyną nadzieją jest to, że kiedy odzyskam korespondencję Jamesa, ucieknę stamtąd, nim się zorientują, że zostali oszukani.

Brandon pokiwał głową.

- Chyba to jedyny sposób.

Kamerdyner wyprostował chude ramiona.

- Jeśli chodzi o mnie, jestem gotowy do pomocy.

Verena potrząsnęła głową.

- Nie, nie! Nie sądzę, żeby to było konieczne. Ale dziękuję za propozycję.

- To nic wielkiego. Peters może tu zostać i otwierać drzwi, a ja...

- Herberts! - Brandon uniósł brew. - Chcemy, żebyś pilnował pana Lansdowne'a.

- Ale ja...

- To ważne.

Sługa się przygarbił.

- Dobrze. I pewnie mam wyczyścić srebro.

- Właśnie - potwierdziła pani domu.

Kamerdyner uniósł brew.

- Jestem dobrym strzelcem.

- Podobnie jak pan St. John.

- I umiem powozić zaprzęgiem.

Verena poklepała go po ręce.

- Na pewno, ale potrzebujemy cię tutaj, żebyś doglądał pana Lansdowne'a.

Herberts westchnął.

- Dobrze, ale myślę, że popełnia pani wielki błąd, nie zabierając mnie ze sobą.

Brandon spojrział na Verenę.

- Zdaje się, że Herberts sporo wie o obecnej sytuacji.

- Czyta moją pocztę.

- Nie całą - zaprotestował kamerdyner.

Verena posłała mu groźne spojrzenie.

- Nie powinieneś czytać nic. No, St. John, co sądzisz o naszym małym planie?

- Będzie musiał wystarczyć. - Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę. Zauważył, że siniak nabrał fioletowej barwy. - Nie opuścisz powozu. Zmusisz ich, żeby podali ci listy przez okno. W chwili gdy je dostaniesz, ja ruszę z kopyta.

Mówił z taką pewnością siebie, że Verena poczuła się raźniej. Plan był prosty. Do jego przeprowadzenia wystarczyły dwie osoby. I miał przewagę zaskoczenia. Ojciec byłby z niej dumny.

- Więc ustalone. Możemy wyruszyć za pół godziny.

- Herberts. - Brandon sięgnął do kieszeni surduta i wyjął z niej kopertę. Wręczył ją kamerdynerowi. - Dopilnuj, żeby dostarczono go jeszcze dzisiaj. To do mojej siostry, hrabiny Bridgeton.

Verenę zdziwiło, że w takich okolicznościach Brandon ma głowę do pisania listów. Chyba że...

- Nie wyjawileś nikomu naszej tajemnicy, prawda?

- Oczywiście, że nie. To zwykła prośba o przysługę.

Herberts westchnął.

- Przekazanie korespondencji to bardzo odpowiedzialne zadanie. Sądzi pan, że można mi zaufać? A jeśli zapomnę zanieść list i...

Brandon wsunął monetę w jego dłoń.

Sługa się rozpromienił.

- Może jednak będę pamiętał.

Verena wyciągnęła szyję, żeby dojrzeć adres, ale Brandon zasłonił jej widok.

- Już mówiłem, że to do Sary, mojej siostry.

- Aha.

Ciekawe, czy udałoby się przekupić Herbertsa, żeby niechcący otworzył kopertę?...

- Idę zobaczyć, co z panem Lansdowne'em.

Drzwi zamknęły się za kamerdynerem i Verena została sam na sam z Brandonem. Widziała, że już nigdy więcej go nie zobaczy. Oby tylko nic mu się nie stało, kiedy będzie jej pomagał. Boże, jakże nienawidziła czekania, zastanawiania się, co straszego się wydarzy, niepewności.

- Mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze.

- Pójdzie, jeśli będziesz ostrożna. Żadnych bohaterских wyczynów, proszę.

Verena w milczeniu skinęła głową. Chciała podbiec do Brandona, zarzucić mu ramiona na szyję, poczuć jego zapach. Ale raptem ogarnęła ją nieśmiałość, jakby była piętnastolatką.

- Vereno.

Podszedł do niej tak blisko, że jego surdut dotykał jej sukni.

- Muszę ci powiedzieć jeszcze jedną rzecz. - Odzyskał głos, ale nadal lekko chrypiał.

- Co?

- Spójrz na mnie.

Podniosła oczy i zaraz tego pożałowała. Był taki duży, silny, władczy. Miała ochotę wsunąć dłonie pod jego surdut, przytulić się mocno i najlepiej nigdy nie puścić.

- Brandonie, ja...

Wziął ją w objęcia i przygarnął tak mocno, że musiała walczyć o oddech. Boże, ależ będzie za nim tęsknić. Jej

serce zamarło na tę myśl. Za niecałą godzinę będą w drodze. Płótno koszuli ocierało jej policzek, zapach wody kołońskiej koł zmysły.

- Musisz się przebrać, jeśli masz wyglądać jak stangret.

- Wiem. Może Peters coś mi pożyczy.

- Nie będziesz wyglądał modnie.

Brandon St. John, ulubieniec wyższych sfer, powoli zmieniał się w prawdziwego Lansdowne'a.

Ta myśl, o dziwo, jeszcze bardziej ją zasmuciła.

- Musimy iść. James będzie czekał.

Uśmiech zniknął z twarzy Brandona.

- Co się stało, Vereno?

- Nic. Ale z rękami też musisz coś zrobić. Mój ojciec twierdzi, że zawsze można po nich poznać człowieka.

Brandon spojrzał na swoje wypiełgnowane dłonie.

- Masz rację. Wysmaruję je sadzą z kominka. Zaczekaj.

Z uśmiechem podszedł do drzwi, otworzył i ukłonił się nisko.

- Za panią, proszę pani! - powiedział, naśladując Herbertsa.

Verena się uśmiechnęła, choć gardło miała ściśnięte.

- Nie tak zachowałby się sługa.

- Założmy, że jestem impertynenckim sługą.

Jego niebieskie oczy zaiskrzyły się wesoło. I było w nich coś jeszcze. Verenę przebiegł dreszcz.

Nie. Dostatecznie bolesna była świadomość, że wkrótce się rozstaną. Nie chciała potem jeszcze bardziej cierpieć.

- Powinniśmy już iść.

- Nie, póki mnie nie pocałujesz. - Nachylił się tak, że jego usta znalazły się o cal od jej ust. - A kiedy wrócimy, zamierzam z tobą porozmawiać.

Nie wrócą razem. Zaraz potem, kiedy ona i James od-

zyskają listy, popędzą jak wiatr do Dover, gdzie już czeka na nich statek. *Zwilżyła* wyschnięte usta.

- Później, gdy już będzie po wszystkim.
- Więc mnie pocałuj i ruszajmy.
- Nie mamy czasu...

Położył dłonie na framudze drzwi, tak że uwięził ją w swoich ramionach.

- Vereno, jeden pocałunek.

Ostatni. Za parę godzin będzie w drodze do Włoch, a w Anglii zostawi serce.

Brandon musnął wargami jej usta. Ich subtelny dotyk, pełen wahania, wywołał w niej gwałtowną reakcję. Objęła St. Johna za szyję, przywarła do niego całym ciałem i rozchyliła usta. Przebiegły ją dreszcze. Jeden pocałunek, choćby gorący i namiętny, to było za mało. Zapragnęła czegoś więcej.

Była bezwstydną, pozbawioną zasad, ale już o nic nie dbała. Wspomnienie tej chwili miało stać się jej najdroższym.

Brandon wyczuł jej desperację. Pragnął Vereny jak szaleniec. Myślał o niej zaraz po przebudzeniu i z myślą o niej zasypiał. Potrzebował jej jak...

Odśunęła się i oparła o futrynę, cała zapłoniona.

- Musimy iść.

- Jeszcze nie - powiedział Brandon zdławionym głosem.

Verena gwałtownie zaczerpnęła oddechu. Powietrze między nimi zawsze było pełne napięcia, teraz stało się tak gęste, że niemal widoczne.

Brandon sięgnął do klamki, zamknął drzwi i ku zdumieniu lady Westforth przekręcił klucz w zamku.

Potem stanął twarzą do niej. Jej wyrazu nie można było z niczym pomylić. Verena przełknęła ślinę, cofnęła się kilka kroków i trafiła nogami na brzeg kanapy.

Brandon podszedł bliżej i otoczył ją ramionami.

- Przez jedną chwilę nie myśl o tym, co wydarzyło się ostatniej nocy. Albo co może się stać dziś po południu. Teraz jest tylko obecna chwila i my. - Jego głos rozpałał jej zmysły, niczym ogień trawiąc wszystko na swojej drodze. - Pocałuj mnie, Vereno.

Potrząsnęła głową.

- Więc pozwól, że ja cię pocałuję.

Musnął palcami jej policzek. Verenę przeszło mrowie. Wiedziała, że Brandon ją uwodzi. I co w tym złego? - pomyślała. Dlaczego nie ulec namiętności? Może po raz ostatni w życiu.

Do licha, należała się jej odrobina szczęścia. Zasłużyła na to, by swój ostatni dzień w Anglii spędzić w ramionach mężczyzny, którego... Pohamowała się w ostatniej chwili przed wyznaniem największego grzechu: że kocha Brandona St. Johna.

- Vereno - wyszeptał.

Ujął jej dłoń i złożył delikatny pocałunek we wnętrzu, drażniąc skórę gorącym oddechem.

Zwarli się spojrzeniami, Verena przesunęła opuszką po jego ustach. Brandon chwycił jej palec zębami i ugryzł delikatnie. Następnie powiódł wargami ku nadgarstkowi, a w niej rozgorzał ogień.

- Pragnę cię, Vereno. A ty mnie?

W odpowiedzi zaplotła ręce na jego karku i przyciągnęła jego usta do swoich. Brandon jęknął głucho i zaczął dłońmi błądzić po jej ciele, jakby nigdy wcześniej jej nie dotykał.

Nawet nie wiedziała, kiedy się rozebrali. W jednej chwili byli w kompletnych strojach, w następnej szarpali się z guzikami i haftkami, a w kolejnej ubrania leżały wokół nich na podłodze.

Verena przywarła piersiami do nagiego torsu Brandona. Samo dotykanie przestało jej wystarczać. Zapragnęła poczuć go wszystkimi zmysłami. Mury obronne, które wokół siebie wzniosła, kruszyły się szybko. Całkowicie się zatraciła, wpijając się ustami w jego usta.

- Jesteś moja - szepnął Brandon ochryple do jej ucha.

Verena pozbyła się wszelkich hamulców. Z radością obserwowała jego twarz, pod wpływem jej śmiałych pieszczot wykrzywioną w rozkosznej udręce.

W końcu Brandon jęknął:

- Nie wytrzymam dłużej.

Osunął się przed nią na kolana, pochylił i przywarł ustami do jej piersi. Verena wplotła palce w jego gęste włosy i przyciągnęła go bliżej. Zmysły miała wyostrome. Czuła wilgotny ślad, który zostawiał na jej skórze gorący język, ciepło bijące od kominka, brzeg kanapy uciskający tył jej nóg, dłonie Brandona na swoich kolanach. Wszystkie szczegóły zapadały w jej pamięć i potęgowały żądzę.

Błądząc rękami po jego szyi i barkach, otoczyła udami biodra, zarzuciła mu ramiona na kark, wpiła paznokcie w plecy.

Następnie zaczęła się pod nim wić w zmysłowym tańcu. Dla Brandona była to prawdziwa tortura. Ledwotrzymał na wodzy własne pożądanie.

Gdy już myślał, że z nim przegra, Verena gwałtownie wygięła ciało. Musiał objąć ją z całej siły, żeby nie spadła z kanapy. Doprowadziwszy ją do ekstazy, przestał się hamować. Potem przytulił ją do siebie mocno.

Kochał ją tak, jak nie mógłby pokochać żadnej innej.

- Vereno - szepnął, poruszając oddechem jej włosy. -

Ja...

- Nie, Brandonie. Musimy jechać.

- Vereno, my...

- Nie. - Jej uśmiech zadrżał lekko. - Nie możemy... Nie teraz.

W duchu niechętnie przyznał jej rację; zegar tykał, a mieli dużo do zrobienia. Bez słowa skinął głową i wstał.

Ubrali się w milczeniu. Twarz Vereny była pełna napięcia. Brandon kilka razy próbował coś powiedzieć, ale zniechęcał go wyraz jej oczu.

W końcu wygładziła włosy i przywołała na usta niepewny uśmiech.

- Porozmawiamy później. Po...

St. John ujął ją pod brodę.

- Kiedy będziesz gotowa. - Musnął ustami jej policzek.

Z początku chciała się cofnąć, ale kiedy on sam zrobił krok do tyłu, przyciągnęła go z powrotem i położyła głowę na jego ramieniu. Brandon ją objął i tak stali, póki zegar nie wybił godziny.

Verena podeszła do małego biurka, wzięła świstek papieru i schowała go do torebki.

- Musimy iść.

Brandon kiwnął głową.

- Pożyczę rzeczy od Petersa.

Razem wyszli z pokoju. Verena zawołała Herbertsa.

Niedługo potem Brandon, w starym płaszczu i zniszczonym filcowym kapeluszu, pomógł jej wsiąść do powozu. Gdy zamykał za nią drzwi, dostrzegł znajomego oberwańca. W chwili gdy zaciał konie, chłopak puścił się przed siebie biegiem.

W normalny dzień Verena byłaby zadowolona z jazdy powozem na resorach. Powóz Brandona był dużo lepiej przystosowany do dalszych podróży niż jej, który niebezpiecznie przechylał się na każdym zakręcie. Ale nic nie mogło uprzyjemnić długiej i męczącej drogi do Little Sut-

ton.

Była tak zdenerwowana, że bolała ją żołądek. A fakt, że Brandon znajdował się blisko i jednocześnie daleko, nie poprawiał jej nastroju.

Dotarli do Little Sutton o pierwszej i zatrzymali się, żeby spytać o gospodę. Tam czekała na nich kolejna wiadomość, dostarczona przez urwisa o brudnej twarzy. W liście kazano lady Westforth jechać na polanę znajdującą się pół mili od miasteczka.

Zgodnie z planem Verena poinformowała wszystkich, którzy byli w zasięgu głosu, że jest zmęczona, głodna i marzy tylko o powrocie do Londynu. Narzekała, jęczała, a w końcu wybuchnęła płaczem, tak że pokojówka musiała odprowadzić ją do powozu.

Brandon nawet nie zsiadał z kozła.

Verenę zdumiało, jak łatwo przyszły jej łzy. Gdy ruszyli w dalszą drogę, minęło kilka minut, zanim się opanowała. O wyznaczonej godzinie powóz wtoczył się na polanę.

Verena dotknęła torebki, w której trzymała pistolet. Wyjęła go i upewniła się, że jest naładowany, po czym wychyliła się przez okno.

Ze wszystkich stron otaczały ją gęste zarośla i wysokie drzewa. Rozejrzała się z niepokojem. Nie widziała Brandona, ale była świadoma jego obecności. Siedział na kozle, wystawiony na atak, a ona mogła się tylko modlić, żeby szantażyści nie nabrali podejrzeń.

Słychać było jedynie śpiew ptaków i szum wiatru w listawiu. Powóz się zakołysał, gdy St. John zeskoczył na ziemię i ruszył do koni, jakby chciał sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Chwilę później Verena stwierdziła:

- Nikogo tutaj nie ma.

- Zaczekaj - rozkazał Brandon cicho.

- Chcę wysiąść. - Nie mogła znieść bezczynności, podczas gdy on wystawiał się na niebezpieczeństwo.

- Nie. Jesteś w sukni. Jeśli coś pójdzie źle, nie uciekniesz szybko do powozu.

- Nie znasz mnie, jeśli tak myślisz.

Pomknął ku niej spojrzeniem, gorącym i władczym.

- Znam cię za dobrze, żeby wypuścić z powozu.

Verena mocniej zacisnęła dłonie na torebce.

- Zastanawiam się, gdzie...

- Stój! - dobiegł głos ze skraju polany.

Był znajomy. Verena zamknęła oczy.

Kiedy je otworzyła, zobaczyła Rogera Carringtona, wicehrabiego Wychama. W dłoni trzymał pistolet, wycelowany prosto w nią.

Mężczyźni nigdy nie rozumieją, że kobieta potrzebuje mężczyzny, który słucha. Rozumie. Płaci jej rachunki. I oczywiście kocha ją do szaleństwa, nawet kiedy jej biodra stają się coraz szersze z powodu niefortunnego upodobania do słodyczy.

Lady Jersey do pani Cowper, obserwując walca u Almacka.

Brandon nie mógł uwierzyć własnym oczom. Wycham zdrajcą. Z wolna narastał w nim gniew, głęboki i gorzki.

Roger odbezpieczył pistolet. Metaliczny dźwięk rozniósł się po całej polanie.

- Nawet o tym nie myśl, Brand.

St. John zacisnął szczęki.

- Co ty, do diabła, wyprawiasz, Rogerze? To niedorzeczne!

- Wcale nie. Chodzi o przetrwanie. Nie mam wyboru. Vereno, proszę do nas dołączyć.

Lady Westforth otworzyła drzwi powozu.

- Zaczekaj! - Brandon zrobił krok w jej stronę, ale zatrzymał się, kiedy ujrzał wylot lufy. - Po co każesz jej wysiadać?

- Bo chcę widzieć wasze ręce. I nie myśl o użyciu bro-

ni, którą ukryłeś w powozie. Zastrzelę twoją damę, jeśli będę musiał.

Brand zwinął dłoń w pięści.

- Roger Carrington - odezwała się Verena z pogardą w głosie. - Powinnam się była domyślić.

Wycham poczerwieniał.

- Nic nie rozumiesz.

- Wiem, że szantażowałeś mojego brata.

Wicehrabia sięgnął do kieszeni i wyjął z niej zmięty plik listów. Rzucił je na ziemię.

- Są wasze. Gdzie lista?

St. John ruszył w stronę powozu, ale po dwóch krokach przystanął.

- Mogę zapytać, jak wszedłeś w posiadanie korespondencji Lansdowne'a? To nadzwyczajny zbieg okoliczności, że zdobyłeś ją akurat wtedy, gdy zginęła lista.

- Prawda? Właściwie musiałem trochę pomanipulować losem.

Verena zmarszczyła brwi.

- Pomanipulować?

- Wiedziałem, że tak po prostu nie oddacie listy. Zwłaszcza kiedy się zorientujecie, że może ona przedstawiać pewną wartość. Dlatego musiałem uknuć drobną intrygę.

- Skąd dowiedziałeś się o Jamesie?

- Poznałem wątpliwej sławy pana Lansdowne'a kilka miesięcy temu, we Francji. Od razu uderzyło mnie podobieństwo do ciebie.

- Słyszałeś o jego romansie.

Wycham wzruszył ramionami.

- Za niewielką sumkę można od kiepsko opłacanego sługi wydobyć więcej informacji, niż się potrzebuje. Reszta nie była trudna.

- To podłość - warknął St. John. Jak mógł się aż tak pomylić?

- Nie, dobre planowanie.

Brandon aż się gotował. Musiał nakazać sobie spokój, bo Verena go potrzebowała.

Roger machnął pistoletem.

- No, Vereno, daj mi tę przeklętą listę.

- Jeśli ją wykorzystasz, popełnisz zradę - ostrzegł go Brandon.

- Nic mnie to nie obchodzi.

- Rogerze, nie wiem, co zamierzasz, ale...

- Zdajesz sobie sprawę, ile wynoszą moje długi?

- Twój ojciec...

- Nie ma pieniędzy. Żadnych. - Wycham zaśmiał się krótko. - O, tak, ja też byłem zaskoczony. Stracił wszystko, inwestując w najbardziej niedorzeczne przedsięwzięcia. Nic mu nie zostało. - Na jego czoło wystąpił pot. - Całe moje życie opierało się na przeświadczeniu, że kiedyś odziedziczę tytuł. Zostałem wychowany na bogatego i wpływowego człowieka, a nie na nędzarza. Do diabła, nie potrafię być biedny. Muszę dostać listę. Jest warta fortunę.

Verena potrzęsnęła głową.

- Są gorsze rzeczy niż bieda. Na pewno możesz...

- Dawaj tę cholerną listę!

- Rogerze - zaczął Brandon, robiąc krok do przodu - jeśli tak bardzo potrzebujesz pieniędzy, chętnie...

- Nie! Sam je zdobędę.

Ten histeryczny ton w głosie Brandon dobrze pamiętał ze szkolnych czasów.

- Pogarszasz sprawę. Odłóż pistolet i...

- Dawajcie listę!

Lady Westforth sięgnęła do torebki i wyjęła z niej złożoną karteczkę.

- Masz.

Nawet nie ruszyła się z miejsca. "Wycham utkwiał wzrok w świstku, który trzymała w palcach, i jak zahipnotyzowany zaczął iść w jej stronę. Już wyciągał rękę po kartkę, ale w tym momencie porwał ją wiatr.

- Łapcie ją!

Verena schyliła się i ukradkiem nabrała garść ziemi. Kiedy się wyprostowała, cisnęła nią w oczy Rogerowi.

Wycham wrzasnął i zatoczył się do tyłu, przyciskając ręce do twarzy.

Tymczasem St. John wyjął spod kozła ukrytą broń, ale zanim zdążył wycelować, z lasu dobiegł głośny strzał. Strzelba wypadła mu z ręki.

Za Rogerem stał Farragut. Jego brązowe oczy płonęły gniewem.

- Do diabła! - zaklął St. John.

- Naprawdę pan myślał, że Wycham jest zdolny do zaplanowania takiej intrygi?

Verena spojrzała na Brandona.

- Kto to jest?

- Pozwól, że dokonam prezentacji - odezwał się wicehrabia, mrugając zażawionymi oczami. - To Farragut. Pracuje w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych.

- Owszem. Tkwię tam od czterdziestu lat. I co z tego mam? Nic! Postanowiłem więc przekuć swoją wiedzę na złoto.

- Lista - powiedziała cicho Verena.

- Tak. Lista wszystkich naszych agentów w Europie. Sama Francja jest gotowa zapłacić za nią ponad sto tysięcy funtów.

Verena przyłożyła dłoń do czoła, jakby rozboleła ją głowa.

- I dał pan ją Humfordowi?

- Wycham miał ją ukraść w tamten wieczór, kiedy odbywało się u pani przyjęcie. Cała wina spadłaby na Humforda.

- Ale on zgubił listę - powiedział Brandon.

Farragut łypnął na niego spode łba.

- Cholerny głupiec. Ostrzegałem go, że to ważny dokument. I co zrobił? Zgubił go, zanim dzień się skończył. St. John spojrzął na Rogera.

- Jak się wpakowałeś w tę historię?

Farragut zarechotał.

- Lepiej ja to wyjaśnię. Potrzebowałem kogoś, kto zmyliłby trop i odwrócił ode mnie uwagę. Roger okazał się doskonały. Zdesperowany młody utracjusz. Gotowy zrobić niemal wszystko, żeby uwolnić się od długów, nawet zlikwidować Humforda.

Brandon przeniósł wzrok na przyjaciela.

- Zabiłeś Humforda?

- Ja... tylko uderzyłem go w głowę. Chciałem go ogłuszyć. Bałem się, że ściągnie na nas policję i...

- Mój Boże! - wykrztusiła Verena. - Zamordowałeś go przed moim domem, wrzuciłeś ciało do Tamizy i spokojnie wróciłeś na kolację.

- Nie, przecież Roger mówi, że uderzył go w głowę - wtrącił Brandon. - Kto w takim razie podciął mu gardło?

Wicehrabia zerknął na Farraguta. Ten obrzucił go pogardliwym spojrzeniem i skrzywił usta.

- To ja pozbyłem się ciała. Wycham omal nie zemdleł. Ledwo starczyło mu sił, żeby dowlec się z powrotem do domu lady Westforth. Nie ma odwagi do takich rzeczy.

Carrington zbladł i rzucił przez zęby:

- Tym razem zrobię to, co muszę.

- Rogerze, przecież nie potrafisz zabić człowieka z zimną krwią - odezwał się Brandon cichym głosem. - To do

ciebie niepodobne. Nie mógłbyś żyć ze świadomością popełnienia zbrodni.

Przez twarz Wychama przebiegło drżenie.

- Po co tu przyjechałeś...

- Opanuj się! Bądź choć raz mężczyzną.

Farragut zaśmiał się ochryple.

- Roger Carrington? Chciałbym to zobaczyć. Na szczęście, gdy już będzie bogaty, nikt nie będzie kazał mu udowodniać męskości.

- Jestem mężczyzną - oświadczył Wycham błady jak płótno.

Wycelował pistolet w Brandona.

St. John wiedział, że na ziemi u jego stóp leży strzelba. Gdyby udało mu się po nią sięgnąć, nie prowokując Rogera do strzału na oślep... Dobry Boże, co robić?

Udawajmy, że już ją mamy. Oczywiście.

- Przepraszam.

Wycham ze zdziwienia uniósł brwi.

- Za co?

- Za to, że cię zabiję.

- Ale ty... nie masz...

Brandon błyskawicznym ruchem schylił się po strzelbę, podniósł ją i wypalił... ale nie w Rogera. Farragut zatonął się do tyłu i runął na ziemię. Jego broń poleciała w górę i spadła w krzaki.

Carrington otworzył i zamknął usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Verena podeszła do niego z małym pistoletem w ręce.

- Rogerze, odłóż broń.

Wycham spojrzął na krew sączącą się z kącików ust nieruchomego Farraguta. Potem bez słowa zamknął oczy i wypuścił pistolet z ręki.

- Przepraszam - wyszeptał. - Tak mi przykro.

Przepraszam. Czy jest lady Westforth? O, Boże! Czyba zgubiłam bransoletkę.

Pani Cowper do Herbertsa, gdy przyszła z wizytą do lady Westforth następnego dnia po ogłoszeniu radosnej nowiny.

Verena otworzyła drzwi i zajrzała do pokoju Jamesa.

- Ver!

Weszła i usiadła na brzegu łóżka.

- Wyglądasz lepiej. Co powiedział lekarz?

- Za kilka dni wstanę i zacznę chodzić o kulach. W samą porę, bo w sobotę odpływa nasz statek.

Wiadomość powinna ją ucieszyć, ale przyprawiła o łzy.

- To dobrze.

Brat ujął jej dłoń i uśmiechnął się krzywo.

- Wcale nie. Gdzie St. John?

- Był tutaj rano, ale się z nim nie spotkałam.

Nie mogła. Od strasznych przeżyć z poprzedniego dnia unikała Brandona. Nie mogła się z nim zobaczyć. Serce jej pękało.

James westchnął.

- Jesteś pewna, że chcesz wyjechać z Londynu?

Nie.

- Wiesz, co się stanie, jeśli zostaniemy. - Podejrzenia, szepty. - Nie mamy tej przeklętej listy.

James potarł brodę i zmarszczył czoło.

- Chyba tak. Ja tylko... Vereno, w życiu spotyka nas tak niewiele szczęścia. Nie zmarnuj swojej szansy.

Verena miała ściśnięte gardło, oczy ją piekły. Niczego nie marnowała. Wstała z łóżka i poklepała dłoń brata.

- Jedyne, co tracę, to czas. Muszę się pakować.

Posłała mu uśmiech i wyszła z pokoju. Znalazłszy się za drzwiami, oparła głowę o drewnianą futrynę. Gdy tylko noga Jamesa wydobrzeje, wyjadą i wszystko będzie, jak trzeba. Niebawem znajdzie się wśród rodziny.

- A, tu jesteś - rozległ się za nią głęboki głos.

Verena gwałtownie zacerpnęła tchu i przycisnęła dłoń do mocno bijącego serca.

- Brandon! Wystraszyłeś mnie!

- Nie chciałem. - W wąskim korytarzyku od razu zrobiło się ciemniej i przytulniej. - Jak twój brat?

- Lepiej. - Verena skierowała się do schodów, żeby uciec tam, gdzie jest więcej światła. Dlaczego jej serce tłukło się w piersi i zamierało za każdym razem, kiedy Brandon był w pobliżu. - Doktor powiedział, że za kilka dni James wstanie.

St. John ruszył za nią na dół.

- To świetnie. Wszystkim nam przyda się odrobina wypoczynku.

Verena zatrzymała się pod drzwiami salonu.

- Jak się tu dostałeś?

Brandon wzruszył ramionami.

- Mam swoje sposoby.

- Przekupiłeś Herbertsa, tak?

Otworzył drzwi i usunął się na bok.

- Nigdy ci nie powiem.

Verena się zawahała, wspominając ostatni raz, kiedy weszła do tego pokoju. Oblał ją war. Zerknęła na Brandona i zobaczyła, że on myśli o tym samym. Jego spojrzenie pobiegło ku kanapie, na ustach pojawił się lekki uśmiech.

Do licha! Nienawidziła pożegnań. Ze sztywno wyprostowanymi plecami weszła do salonu. Nagle sobie uświadomiła, jak bardzo lubi swój dom. A już za tydzień będzie musiała opuścić go na zawsze. Szybko zamrugała powiekami, odpędzając łzy.

„Zegnać się” to najokropniejsze słowo w słowniku. Z piekącymi oczami podeszła do okna wychodzącego na ulicę. Tyle miała do powiedzenia, a nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Brandon stanął obok niej.

- Kiedy ostatnim razem byliśmy w tym pokoju, zacząłem coś mówić, ale kazałaś mi zaczekać.

- Tak, bo...

- Chciałbym cię o coś zapytać. Oczywiście jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Powinna go odprawić. W tej chwili.

- Możesz mnie pytać o wszystko.

- Dlaczego twoje kufry nadal stoją w holu?

Verena zeszczywniała.

- Kufry?

- Tak. Zajrzałem do nich, czekając. Czyste suknie, nocne koszule, tego rodzaju rzeczy. Zamierzałaś udawać, że wyjeżdżasz, ale teraz sam nie wiem, co myśleć. - Jednym ramieniem oparł się o framugę okna, drugim jej dotykał. - Planujesz uciec z kraju.

Verena zwilżyła wargi i odwróciła się do niego twarzą.

- Brandonie, nie mamy wyboru. Nie wiemy, gdzie jest lista, i póki jej nie znajdziemy...

- Pora przestać uciekać. - Jego oczy płonęły. - Raz na zawsze, Vereno. Czy kiedykolwiek używałaś tego określenia? Na zawsze. To piękne słowa.

- Nie uciekam. Przystałam cztery lata temu.

- Naprawdę? A może zamieniłaś ucieczkę na ukrywanie się? - Dotknął jej włosów. - Kiedy cię poznałem, zauważyłem rzeczy, które nie miały sensu. Drobiazgi, ale znaczące.

- Jakie?

- Byłaś znana w półświatku jako uwodzicielka. - Nachylił się i musnął policzkiem jej policzek, wywołując u niej dreszcze. - Nie udało mi się jednak znaleźć nikogo, kto twierdziłby, że był twoim kochankiem. Ani jednego mężczyzny.

Verena zadrżała.

- Może dobrze ukrywałam swoich kochanków.

- A może żadnego nie miałaś, bo wtedy musiałabyś się otworzyć.

- Ta rozmowa jest bez sensu, Brandonie.

- Przeciwnie. Dość szybko sobie uświadomiłem, że nie mogę żyć bez ciebie.

Verena spojrzała na swoje dłonie. Dziwne, że człowiek patrzy na nie codziennie, a tak naprawdę ich nie widzi. Palce były długie i smukłe, choć paznokieć kciuka wydawał się trochę za szeroki.

- Brandonie, nie wiesz...

- Wyjdiesz za mnie, Vereno?

Tak samo prosił ją o rękę Andrew. Ale w przeciwieństwie do niego Brandon miał dużo, dużo do stracenia. Co gorsza, ona również.

- Nie - wyszeptała. - Nie mogę.

- Dlaczego? Nie kochasz mnie?

Wręcz płonęła z miłości.

I dlatego musiała go odtrącić.

- Zastanów się dobrze. Jestem Lansdowne. Moja rodzina to oszuści.

- Podobnie jak mój brat Devon. Byłby świetnym aktorem.

- Tak, gdyby nie był St. Johnem.

Brandon zmarszczył brwi.

- Jesteś najbardziej upartą kobietą na świecie. Nie obchodzi mnie...

- Ale zaczniesz obchodzić, kiedy bracia odwrócą się do ciebie plecami. Gdy rodzina przestanie wymawiać twoje imię, ludzie, których uważałeś za przyjaciół, przestaną cię poznawać, a za plecami będą z ciebie drwić. - Uniosła wzrok. - Wiesz, jak to jest? Masz pojęcie? To boli bardziej niż rana zadana nożem.

- Dobry Boże, czy właśnie tak się stało, kiedy wyszłaś ze Westfortha?

- Gorzej.

Brandon obserwował ją przez dłuższą chwilę. W końcu westchnął.

Verenie ścisnęło się gardło. Pojadą z Jamesem do Włoch, potem do Francji. A jej serce... Gdzie będzie?

Zamknęła oczy i zrobiła ruch, jakby chciała się odwrócić, ale Brandon zacisnął dłoń na jej ramionach.

- Chyba masz rację. Nasze małżeństwo rzeczywiście wywołałoby skandal. Podobnie jak twoje poprzednie.

- Tak - wyszeptwała. - Po śmierci Andrew... było strasznie.

Brandon przytknął wargi do jej skroni i powiedział ciicho:

- Tym razem będzie inaczej. Wspólnie stawimy czoło wszystkiemu, co nam się przydarzy. Nigdy nie zostawię cię samej. Rozumiesz? Nikt nie zrobi ci afrontu, bo miałby ze mną do czynienia.

- Brand, nie możesz narażać się na ludzką pogardę.

- A ty? - Nachylił ku niej twarz. - Spójrz na mnie.

- Nie dam rady przejść przez to samo co kiedyś.

Brandon zmarszczył brwi.

- A co ze mną, Vereno? Nie ma dla ciebie znaczenia, że cię kocham? Że nie mogę bez ciebie żyć? Boisz się, że wybuchnie skandal, jeśli za mnie wyjdiesz? A jeśli mnie nie poślubisz?

Verena zmarszczyła brwi.

- Nie rozumiem...

- Umrę.

- Nie umrzesz.

- Część mnie umrze. - Ujął w dłoń jej twarz. - Ty jesteś częścią mnie, Vereno, czy tego chcesz, czy nie. Jeśli pojedziesz do Włoch, pojedę za tobą.

- Ale twoja rodzina...

- Zrozumię. - Wziął jej rękę i położył ją na pierścionku, zawieszonym na wstążce. - Należysz do mnie.

Jej palce zacisnęły się na srebrnej obrączce.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Powiedz, że za mnie wyjdiesz i uchronisz przed strasznym życiem włóczęgi. Jeśli się nie zgodzisz, będzie duży kłopot, bo widzisz, napisałem do twoich rodziców i zaprosiłem ich na nasz ślub.

Verena wytrzeszczyła oczy.

- Co zrobisz?

Brandon uśmiechnął się szeroko.

- Słyszałaś. Zaprosiłem twoich rodziców na ślub. Powinni być już w drodze. Mam nadzieję, że zdążą do soboty.

- Dlaczego?

- Bo wtedy się pobierzemy. Już załatwiłem specjalną dispense.

- Brandonie, jak...

- I jeszcze jedno. Już rozesłałem zaproszenia.

- Rozesłałeś?

- Nie osobiście. Nie jestem dobrym organizatorem. Ale moja siostra tak. Podobnie jak bratowa. Sara i Anna wszystkim się zajmą, przynajmniej tak mnie zapewniają. Mam nadzieję, że będziesz zadowolona.

- Ale na pewno można odwołać...

- Dwieście zaproszeń?

Verena bezgłośnie poruszyła wargami.

Brandon potrząsnął głową.

- Nie sędzę. To znaczy moglibyśmy spróbować. Ale o kilku na pewno zapomnimy. - Westchnął. - Nie mówią o orkiestrze, torcie, balu...

- Jakim balu?

- Na twoją cześć. Mój brat Marcus jest zdecydowany zabić wzrokiem każdego, kto ośmieli się nas obrazić. Dlatego urządzamy wielki bal, na którym zostaniesz przedstawiona jako pani Brandonowa St. John.

Przycisnął jej palce do ust.

- Ale jeśli nie zechcesz za mnie wyjść, będę przygotowywać się na skandal.

- Jaki skandal?

- Kiedy nie zjawisz się przy ołtarzu, stanę się pośmiewiskiem całego towarzystwa. Bo ja tam będę.

To wyglądało na szantaż. Usta Vereny zadrżały lekko.

- Będziesz, tak?

- Tak. I ludzie zaczną gadać, wiesz.

- Wyobrażam sobie.

- Wolę nie myśleć, co mnie czeka. - Brandon westchnął dramatycznie. - Zwłaszcza że uchodzę za dobrą partię.

Verena musiała przygryźć wargę, żeby się nie uśmiechnąć.

- Rozumiem, że możesz mieć wiele kłopotów, szczególnie że jesteś taki przystojny.

- Właśnie. - Przesunął opuszkami po jej policzku. Dotknięcie było lekkie jak piórko, wzrok pałący. - Vereno, jeśli mnie nie poślubisz, i to szybko, nigdy już nie będę szczęśliwy. Kocham cię.

Jej serce zadrżało.

- Brandonie, nie mogę...

Pocałował ją. Tak mocno, że kiedy się odsunął, omal nie straciła równowagi.

- No więc? - zapytał ochryple. - Uchronisz mnie przed błędami, przedwczesną śmiercią i samotną starością? - Rozwiązał wstążkę przewleczoną przez dziurkę od guzika. - Wyjdiesz za mnie, Vereno?

Wsunął jej obrączkę na palec.

Srebro było ciepłe. Brandon miał rację. Niezależnie od jej decyzji skandal i tak wybuchnie. Tylko że jeśli ona zostanie, razem stawia mu czoło.

- Tak, Brandonie - powiedziała z sercem przepełnionym radością. - Wyjdę za ciebie.

Epilog

Miłość to wspaniała rzecz. A najlepsze jest całowanie.

Herberts do nowej pokojówki państwa Pemberly, Anne, w trakcie próby nakłonienia fertycznej dziewczyny do „zaszczylenia swoją obecnością jego mieszkania”.

Ślub uznano za wydarzenie sezonu, ale państwo młodzi byli zbyt szczęśliwi i zajęci sobą, żeby zwracać uwagę na opinię towarzystwa. Brandon nie mógł uwierzyć w swój dobry los. Miał u boku wszystko, czego pragnął i o czym marzył. Obejmował Verenę ramieniem, gdy przyjmowali życzenia na wielkim balu, który wyprawił Marcus, i myślał tylko o tym, że na zewnątrz stoi powóz.

2 niecierpliwością czekał na miesiąc miodowy. Pragnął żony tylko dla siebie. Jego nieznośna siostra nakłoniła Verenę, żeby pozwoliła jej wprowadzić się do Westforth House na tydzień przed ślubem i pomóc w przygotowaniach. Brandon wiedział jednak, że w rzeczywistości Sara zamierza chronić uroczą narzeczoną przed jego awansami.

Na szczęście dla wszystkich zainteresowanych pokój Vereny znajdował się bezpośrednio nad werandą. Brandonowi całkiem spodobało się zakradanie co noc przez okno do sypialni przyszłej żony.

Verena podchwyciła jego spojrzenie i uśmiechnęła się,

a on przyciągnął ją do siebie i pocałował. Nigdy nie miał jej dość. I uświadomił sobie z radością, że tak będzie zawsze. Im dłużej z sobą przebywali, tym bardziej się potrzebowali.

Verena otoczyła go ramieniem w pasie i oparła jasną głowę o jego bark, rozsiewając lekki zapach lawendy. To był koniec długiego i wyczerpującego tygodnia. Jej rodzice rzeczywiście przyjechali. Tym razem twierdzili, że są krewnymi dawno nieżyjącego rosyjskiego arcyksięcia. Brandon musiał im oddać, że mieli wygląd i manieri arystokratów. Nikt niczego nie podejrzewał.

W pewnym momencie z sali balowej wyszedł James, wspierając się na kulach ozdobionych kolorowymi wstążkami.

- Widzę, że odwiedziła cię nasza siostra Charlotte - zauważyła z uśmiechem Verena.

- O, tak - odparł James z westchnieniem. - Gdybym był koniem, próbowałaby zapleść mi ogon. Dobrze, że związała wstążki na kulach, a nie na nogach.

Brand się zaśmiał. Rodzina Vereny była uroczą. Po chwilowej konsternacji towarzystwo też się nimi zachwyciło. Od razu posypały się zaproszenia.

Oczywiście Lansdowne'owie nie zamierzali pozostać w Londynie tak długo, żeby ktoś ich zdemaskował. Ojciec Vereny już planował odwiedzić Włochy, tym razem jako zubożały angielski diuk. Brand zadbał o to, żeby rodzina miała dość pieniędzy na podróże i obiecał, że będzie raz do roku składał im z żoną wizytę. Takie rozwiązanie wszystkim bardzo odpowiadało.

Z kolejki czekających wyszedł kolejny gość. Lekko przygarbiony, o siwych włosach i krzaczastych brwiach...

- Lord Colburn!

Starszy człowiek się uśmiechnął.

- Nie spodziewał się pan, że przyjdę, prawda? - Ucis-

nał rękę St. Johnowi, a następnie z galanterią pocałował dłoń panny młodej. - Przepraszam za spóźnienie. Miałem na podjeździe starcie z pewnym stangretem. Najbardziej nieokrzesany osobnik, jakiego w życiu widziałem. - Machnął ręką ze śmiechem. - Przepraszam. Plotę jak głupiec. To wiek.

- Znalazł pan listę? - spytała Verena.

James przysunął się o krok.

- Mam nadzieję, że tak.

Colburn potrząsnął głową.

- Obawiam się, że nie, choć byliście państwo tak uprzejmi i pozwoliliście nam przeszukać dom.

- Szkoda - powiedziała Verena, marszcząc brwi. - Obawiam się, że nigdy nie poznamy końca tej historii.

Brandon przesunął dłoń z jej talii na plecy.

- Na pewno znajdzie się we właściwym czasie.

Verena posłała mu uśmiech. Jej fiołkowe oczy były pełne miłości. Nie zważając na otoczenie, mąż nachylił się, żeby ją pocałować...

- A, tu pan jest! Nie powinien pan zostawić tych czułości na miesiąc miodowy?

Brandon westchnął.

- Herberts.

- Dobry Boże! - wykrzyknął James. - Co tutaj robisz?

Wystrojony w nową granatowo-beżową liberię z lśniącymi mosiężnymi guzikami sługa włożył kciuki w kieszenie i zakołysał się na piętach.

- Niech pan spyta panią.

Colburn zmarszczył brwi.

- Znają państwo tego człowieka? To ten sam, który próbował zająć drogę mojemu stangretowi, kiedy skręciliśmy na podjazd!

- To dlatego, że trochę się spieszyłem. - Herberts pochy-

lił się do przodu i dorzucił konfidencjonalnym tonem: - Przydałyby się panu nowe konie, sir. Obecne to chabety.

Brandon zerknął na żonę.

- No więc?

Verena uśmiechnęła się szelmowsko.

- Herberts nie był szczęśliwy jako kamerdyner.

- Biedak! - skwitował James, choć nie wyglądał na przejętego.

- I okazało się, że jest utalentowany w innych dziedzinach - dodała słodko Verena.

- Racja. Potrafię zaparkować powóz co do cala.

Pani St. John uśmiechnęła się do męża.

- Pomyślałam, że skoro wzięłeś do nas Poole'a, Herberts może zostać stangretem.

- Poole chyba lubi być kamerdynerem - stwierdził sługa, wypinając pierś. - A tymczasem ja jestem świetnym woźnicą. Zdziwił się pan, co, sir?

- Brandon! - W ich stronę zmierzał Devon z bardzo ponurą miną. Tuż za nim szedł Chase. - Stałem na frontowym trawniku, żegnając się z lady Tarleton, kiedy ktoś ukradł mi nowy zegarek.

Jego brat pokiwał głową.

- A mnie spinkę od krawata.

- To nie ja! - zastrzegł się stangret, unosząc rękę.

- Herberts - powiedziała Verena z naganą.

Sługa ze skrucną potrząsnął głową.

- No, dobrze. To przecież taka radosna okazja.

Zaczął wyjmować z kieszeni różne przedmioty. Po chwili na marmurowym stoliku powstał lśniący stos.

- Dobry Boże! - wykrztusił Colburn, patrząc na górę pierścionków, dewizek, spinek do krawata i innych drobiazków. - To dopiero kolekcja.

- Mój zegarek! - wykrzyknął Devon. Sięgnął po nie-

go pospiesznie, wytarł rękawem i schował do kieszeni.

- I moja spinka! - zawołał Chase.

James mrugnął do Herbertsa.

- Dobra robota, stary.

Nowy stangret napeęczał z dumy.

- Dziękuję, panie Lansdowne. Staram się nie zaniedbywać swojego hobby.

Colburn wziął do ręki lakierowaną tabakierkę.

- Wygląda znajomo. Zastanawiam się... Mój Boże!

- Co się stało? - zapytał Brandon.

- Już wiem! Należała do Humforda! Miał ją przy sobie, kiedy ostatni raz go widziałem. W dniu, kiedy daliśmy mu listę.

Verena zmarszczyła brwi.

- Chyba nie zażywał tabaki.

- Istotnie - przyznał Colburn.

Otworzył kciukiem blaszane wieczko. Na podłogę wypadł mały świstek papieru.

- Lista! - wykrzyknął James. - Herberts ukradł tabakierkę Humfordowi, gdy ten przyszedł na kolację do Vereny.

Brandon się roześmiał.

- To wyjaśnia, dlaczego zaczął jej szukać w środku kolacji. Wiedział, że przed chwilą ją miał, a nagle zniknęła. Chyba wpadł w panikę.

- Nie mogę uwierzyć, że się znalazła - powiedziała Verena z radością. - Dzięki Bogu.

Colburn się rozpromienił.

- Rzeczywiście dzięki Bogu. Wybaczcie mi, państwo, ale muszę iść.

- Oczywiście.

St. John odprowadził wzrokiem Colburna, który ruszył do wyjścia, niemal biegnąc z podniecenia.

Verena oparła głowę na ramieniu męża i westchnęła uszczęśliwiona.

Brandon spojrział w wesołe oczy żony i nagle zatęsknił za miśnięciem miodowym. Nie za pół godziny, tylko natychmiast. W tej sekundzie. Zanim weźmie ją w ramiona na oczach gości.

Ujął jej dłoń i położył ją sobie w zgięciu łokcia.

- Herberts, myślisz, że uda ci się wydostać powóz z tego tłoku?

- Jasne, że tak. Państwo są gotowi do podróży?

- Już ruszacie? - spytał Devon, wyraźnie zawiedziony. - Nie pożegnacie się z Marcusem i Sarą?

- Po co? - odezwał się Chase. - Marcus nie przejmie się takim drobiazgiem, a Sara uzna, że ich nagły wyjazd jest bardzo romantyczny.

- Bo to prawda - oświadczyła Verena.

Cały świat wydawał się jej przyjazny, pełen obietnic i miłości.

Brandon pocałował ją w rękę.

- Jedziemy?

Odpowiedziała spojrzeniem, które sprawiło, że czym prędzej pociągnął ją do wyjścia. Chwilę później Verena siedziała w nowym powozie, a Herberts wspinał się na kozioł. Brandon zawahał się przy drzwiach. Miał taką łobuzerską minę, że Verena z trudem powstrzymała się przed zarzuceniem mu ramion na szyję.

- Chwileczkę, kochanie - powiedział. - Muszę jeszcze coś zrobić.

Devon, który razem z Chase'em stał na ganku, rzucił spojrzenie na podjazd.

- Wygląda na to, że Brandon wraca. Chyba doszedł do wniosku, że jednak powinien pożegnać się z Marcusem.

Chase poszedł za wzrokiem brata i zobaczył, że Brand

idzie ku nim przez trawnik, trzymając ręce w kieszeniach.

- Ja bym nie wrócił.

- Nie? Nawet, żeby się pożegnać?

- Nawet.

W połowie trawnika Brandon przystanął i krzyknął:

- Chase!

Brat uniósł brwi i zrobił krok do przodu.

-Co?

- Zaopiekuj się tym.

Gdy Brandon coś rzucił, Chase nie zdążył nawet pomyśleć, tylko odruchowo wyciągnął rękę i złapał jakiś mały przedmiot. Talizman.

- Do diabła! - ryknął. - Zabieraj go z powrotem!

- Nie. Teraz należy do ciebie. Może cię uratować.

Brandon pomachał mu ręką i popędził do powozu.

Chase spojrział na Devona. Ten uniósł ręce w górę i zaczął się cofać.

- Nie patrz na mnie! Pierścionek jest twój.

Do diabła! Talizman był ostatnią rzeczą, której Chase potrzebował. Akurat dzisiaj.

Pobiegł wzrokiem ku drodze. Powóz państwa młodych utknął między starym wehikułem a landem. Herberts miotał obelgi na starszego woźnicę, który sprawiał wrażenie głuchego. Ściskając pierścień w dłoni, Chase przeskoczył przez balustradę i puścił się biegiem przez trawnik.

Ale w tym momencie lando ruszyło, a Herberts zaciął konie. Chwilę później powóz pędził podjazdem, kołyszając się niebezpiecznie. Ze zdumiewającą szybkością wszedł w zakręt.

Chase patrzył za nim, póki nie zniknął z widoku. W ręce czuł ciepło metalu. Do diaska, co teraz robić? Nie wróci do siebie, aż... Zmarszczył brwi, w gardle poczuł ściskanie. Może nigdy.

Spojrzał na obrączkę. Wygrawerowane na niej dziwne runy lśniły w blasku lamp.

- Do diabła, tylko nic nie knuj - powiedział groźnie. - Nie zostałem stworzony do małżeństwa i prędzej w piekle będzie zimny dzień, niż ja się ożenię.

Następnie schował talizman do kieszeni i ruszył do swojego faetonu.